

Prof. Ola Hnatiuk

Hejt
na Ukraińców?
Wskazówka
nadeszła
z Moskwy ▶10



Łukasz Żal

Filmów
nie robimy
dla Oscarów
i czerwonych
dywanów ▶24



WYSOKIE OBCASY

**Kiedy
pisałam
„Pucia”,
nie myślałam
o pieniądzach**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)



MAGAZYN

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

Wakacje z apkami

Pociąg napakowany
wczasowiczami
już nam odjechał

▶ 30



FOT. GETTY IMAGES

wyborcza
Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



**Młodzieżówka KO
od kulis**
Kolesiostwo?
My mówimy
networking ▶4

**Przemoc
wobec dzieci**
Władza rodzicielska
to w Polsce
świętość ▶16

**Zniósł
„Kosmiczne
jaja”**
Mel Brooks
kończy sto lat ▶34



**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Sobota – czwartek, 27 czerwca – 2 lipca 2026 | Redaktor prowadzący **Andrzej Kulasek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 148.11247,1

Nakład 69 tys. + **322 tys. prenumerat cyfrowych**

Agnieszka
Kublik



A czy to są dobrzy lekarze?

Od tygodni żyjemy opowieściami o tym, jakie majątki zbijają lekarze. 1,7 mln zł rocznie, ponad 4 mln zł rocznie! Jak tu ogarnąć takie sumy? Przeliczamy, po ile biorą dyżurów, ile za dyżur, w ilu placówkach mają kontrakty. Ale nie zastanawiamy się wcale, jak oni w ogóle leczą? Czy to są dobrzy lekarze? Jak to możliwe, że pytania o jakość ich pracy wyparły pytania o ilość złotych?

Na początku tego stulecia prof. Zbigniew Szawarski, wybitny bioetyk, dostrzegł zjawisko, które dziś jest w centrum naszej uwagi. „Większe pensje nie oznaczają wyższej wrażliwości czy bardziej rozwiniętego poczucia odpowiedzialności moralnej. Duże pieniądze nie zawsze idą w parze z uczciwością. Często towarzyszy im rosnąca pazerność” – pisał w 2003 r. Dorzucę jeszcze parę wad. Od dawna zbieram opowieści o lekarzach, pielęgniarkach, a nawet salowych. Znamy o tym wiedzę i mi je przekazują.

Fascynuje mnie relacja między słabszymi a silniejszymi, potrzebującymi pomocy i tymi, którzy mają jej udzielać. Zwykle w sytuacjach granicznych.

Ja nie jest od dawania rad” – okulista do pacjenta, u którego wykryła zaćmę i który zapytał, czy już czas na operację

Niektóre z tych opowieści nie dają się wyrzucić z pamięci. To przykłady okrucieństwa, chamstwa, czasami zwykłej głupoty, ale rzecz jasna chowam i takie, kiedy lekarze zdumiewają dociekliwością, empatią czy serdecznością.

„Niech się położy na podłodze” – takiej rady lekarka udzieli-

ła matce pacjenta z chorobą Cushinga, który miał zawroty głowy, ajechał na kolejne badania. Pielęgniarka nie dała mu wózka. Leżał na tej podłodze, pod gabinetem, a lekarze przechodzili obok przez pół godziny.

„Ja nie jest od dawania rad” – to okulista do pacjenta, u którego wykryła zaćmę i który zapytał, czy już czas na operację.

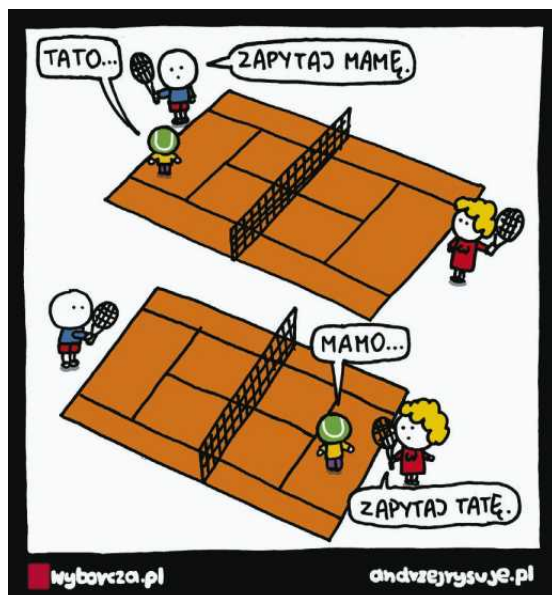
„Dwa lata i do piachu” – onkolog poinformował pacjenta o diagnozie. Pacjent przeżył 6 lat.

Tak właśnie się dzieje, gdy chory jest dla lekarza sposobem na zarobek. I przed tym przestrzegał prof. Szawarski: „Kryzys zaufania do lekarzy jest oczywisty, a jego objawy wręcz dramatyczne. Nie ma pewności, czy lekarz w konflikcie dobra pacjenta i własnego interesu wybierze zawsze dobro pacjenta. W wielu wypadkach interes lekarza bierze górę nad dobrem pacjenta. Co gorsza, lekarze nie czują, że z ich zawodem dzieje się coś złego”.

Ale słyszałam i o tych dobrych lekarzach, którzy dopilnowują, by pacjenci zostali jak najszybciej zapisani na konieczne badania, którzy pacjenta, który właśnie usłyszał straszliwą diagnozę, od razu zapewnijają: „zajmę się panią/panem”. I się zajmują. O takich, którzy pacjentowi od progu przekazują, że „wyniki ma pan świetne”.

I to jest właśnie ta wiadomość, która powinna paść na samym początku. Doświadczenie, empatia i po prostu zwykła sympatia. Jak mi tego brakuje. ●

Andrzej rysuje



Fala upałów
Lody po królewsku



Lew w ZOO w Lahore w Pakistanie znalazł idealny sposób, by się ochłodzić. Dobra rada na weekend, szczególnie, że prognozy dla Polski zapowiadają temperatury grubo ponad 30 stopni.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl



Liczba tygodnia

100

RUBLI
– za sztukę; poniżej tej sumy spadła cena akcji Gazpromu podczas wtorkowego notowania moskiewskiej giełdy, bariera przekroczona została po raz pierwszy od 2008 roku



Po niespodziewanym finale Rolanda Garrosa, do którego doszła jako kwalifikantka, Maja przystąpi do Wimbledonu w zupełnie innej roli. Wszyscy już ją znają, wiedzą, jak gra i będą na nią znacznie lepiej przygotowani. Zobaczmy, jak ona sama sobie z tym poradzi

DAWID OLEJNICZAK

były tenisista, obecnie komentator i trener przed startem Mai Chwalińskiej w Wimbledonie (dla Polsat Sport)

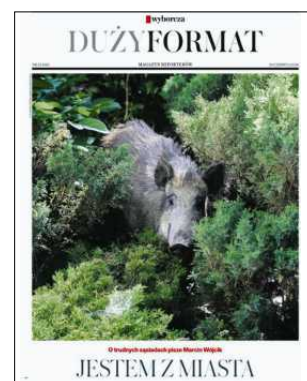
W poniedziałek „Duży Format”

Jak poskromić dziki w mieście?

Królowa jest jedna – locha przewodniczka. Reszta to ciotki, kuzynki, znajome, no i warchlaki.

– Mają rozbudowaną strukturę socjalną – mówi dr hab. Tomasz Podgórski z Instytutu Biologii Ssaków PAN oraz Czeskiego Uniwersytetu Przyrodniczego w Pradze. – Na wzrost populacji dzików w miastach ma wpływ ich wcześniejsza niż kiedyś zdolność rozrodcza. Jeszcze niedawno locha zachodziła w ciążę w drugim, trzecim roku życia – dzisiaj w pierwszym.

Reportaż Marcina Wójcika





Ministero degli Affari Esteri
e della Cooperazione Internazionale



Kontynuuj
rozwój
swojej firmy.

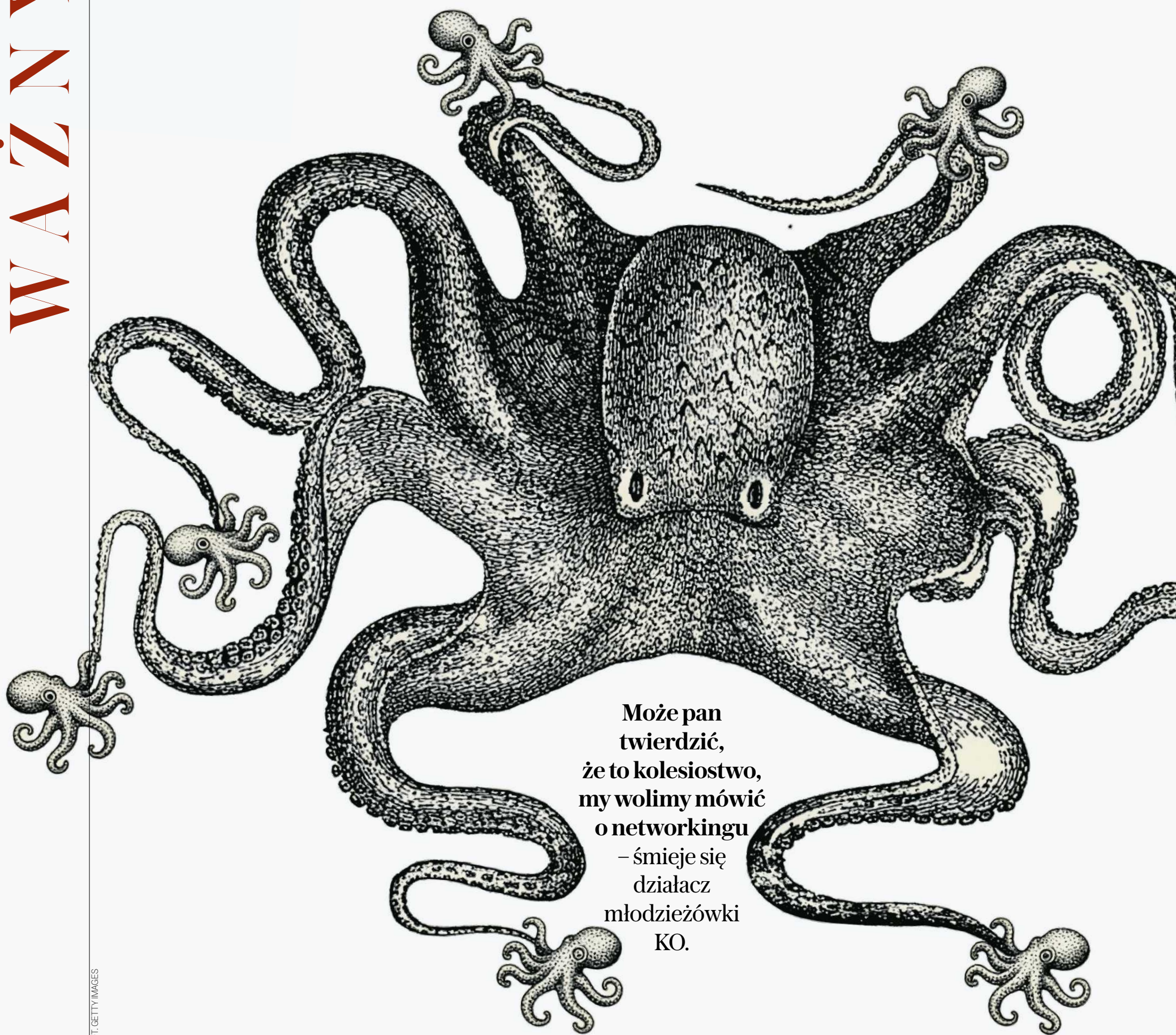
Znajdź
doskonałość
pod znakiem
Made in Italy.

Opportunità to program **akceleracji biznesu** stworzony przez Włoską Agencję Handlu. Jego celem jest **łączenie** firm z know-how i wysokimi standardami spod znaku **Made in Italy**.

Znajdź partnera **business match** na stronie **opportunita.gov.it**

W A Ż N Y T E M A T

Nierozważni, kiedyś *romantyczni*



Może pan
twierdzić,
że to kolesiostwo,
my wolimy mówić
o networkingu
– śmieje się
działacz
młodzieżówki
KO.

FOT. GETTY IMAGES

Arkadiusz Gruszczyński

Młodzieżówka jest wstępem do bagna wielkiej polityki – mówi mi szczerze jeden z młodych działaczy politycznych.

Słyszę, że organizacja młodzieżowa Koalicji Obywatelskiej „powieła wszystkie patologie dużego ugrupowania”.

– Czyli robienie kariery dzięki znajomościom, wycinanie krytycznych głosów, kult wodza, bieg za stanowiskami oraz promowanie miernot – ciągnie młody polityk. – Przypadek Dawida Kacprzyka nie jest wypadkiem przy pracy: młodzieżówka i partia sprzyjają patologiom.

Zaczął się od oświadczenia majątkowego Dawida Kacprzyka, prominentnego, choć mało znanego działacza Koalicji Obywatelskiej, byłego przewodniczącego Nowej Generacji, a więc sankcjonowanej młodzieżówki KO, radnego dzielnicy Ursus i lekarza tuż po studiach. Polityk wypełnił obowiązki i wpisał do oświadczenia dochód za 2025 rok, czyli blisko 1,6 miliona złotych zarobionych w Szpitalu Południowym w Warszawie oraz 100 tysięcy z innych źródeł. A także mieszkanie o wartości 900 tysięcy złotych oraz Porsche Panamera 4, rocznik 2025, wartość pół miliona złotych.

Po kilku dniach okazało się, że młody lekarz nie pojawiał się na wielu dyżurach, a żeby wypracować w zeszłym roku podane przez szpital 3976 godzin, musiałby pracować 12 godzin dziennie, również w dni wolne, znajdując jeszcze czas na pracę w innych przychodniach, obowiązki radnego, regularne występy w mediach, udział w posiedzeniach sejmowej komisji zdrowia, a także kierowanie młodzieżówką.

Zwrócił więc do kasy szpitala pół miliona złotych. Ale mleko już się rozlało i rozlewa coraz dalej – Patryk Słowik z portalu Zero.pl przekonuje, że Kacprzyk wpuszczał do szpitala z pominięciem kolejki polityków KO, którym od ręki wykonywano badania.

Rafał Trzaskowski, który nadzoruje szpital, zaprzecza tym doniesieniom, ale i tak sprawa Dawida Kacprzyka jest największą aferą KO od przejęcia władzy po wyborach z 2023 roku. Bulwersuje w niej dosłownie wszystko: młody lekarz bez specjalizacji wygrał konkurs na kierowanie Szpitalnym Oddziałem Ratunkowym, choć takie stanowisko nie istnieje nigdzie indziej. W innych szpitalach są ordynatorzy i oddziałowe, którzy kierują pracą lekarzy oraz pielęgniarek.

Szukają zarobki, a także upartyjnienie publicznego szpitala, którym kierują i który nadzorują politycy Koalicji Obywatelskiej.

Rzecz jasna skala afery niczym nie przypomina złodziejstwa z czasów rządów PiS: od zamawiania niesprawnych respiratorów czy ładowania pieniędzy w szpitalu tymczasowe w trakcie pandemii, które stały puste i dyrektora szpitala osobiście przywożące kule Jarosławowi Kaczyńskiemu, przez setki tysięcy złotych dotacji dla różnych związanych z prawicą fundacji po dziesiątki milionów wpływających z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju w grantach na „innowacyjne” a fikcyjne badania. I setki milionów wyprowadzonych na partyjne cele z Funduszu Sprawiedliwości.

Ale właśnie dlatego jest tak zabójcza dla obozu władzy.

Tam były niewyobrażalne, trudne do przełożenia na własne życie kwoty, skomplikowane mechanizmy złodziejstwa, duża liczba zaangażowanych w nie osób. Wszystko to jest oburzające, ale nie działa na wyobraźnię i szybko – zwłaszcza gdy afery goni afery – zaciera się w pamięci, na co nakłada się zrezygnowana ludowa mądrość, że na szczytach władzy „zawsze kradli, kradną i będą kraść, a PiS chociaż się dzielił kasą, bo dali ludziom 500+”. Tu jest konkretny człowiek z konkretnego politycznego i zawodowego środowiska i konkretne, proste do zrozumienia partyjno-klientystyczne mechanizmy potwierdzające powszechne społeczne przekonanie, że elity są uprzywilejowane, zakłamate i garną do siebie.

I dlatego afery lekarza milionera tak skutecznie podważa wartości, z jakimi szedł do władzy Donald Tusk.

W 2023 roku przyszedł premier na licznych spotkaniach z mieszkańcami całej Polski, w wywiadach, debatach politycznych i wieczach opowiadał o mechanizmie upartyjnienia całego państwa przez PiS.

We wszystkim miał rację. Zjednoczona Prawica wsadzała na każde wolne stanowisko w spółkach skarbu państwa, instytucjach publicznych, szpitalach i ministerstwach swoich ludzi. Skala była ogromna, nie liczyły się kompetencje, tylko znajomości.

Najgłośniejsze przypadki dotyczyły błyskawicznych karier czy „dużych” politycznych nazwisk – Daniela Obajtka, który z fotela wójta gminy Pcin przeskokował na fotel prezesa Orleń, Małgorzaty Sadurskiej, która prosto z Pałacu Prezydenckiego Andrzeja Dudy poszła pracować do PZU oraz żony Zbigniewa Ziobry, która świetnie odnalazła się jako wysoka menedżerka w Link4. Ale „swoi” obsiadali wszelkie możliwe rady nadzorcze, publiczne fundacje, samorządowe przedsiębiorstwa – aż do szczebla, jak chyba za żadnych innych rządów, kierownika działu w gminnych wodociągach czy dyrektorki przedszkola.

Tusk zapewniał, że nowe rządy oddadzą Polskę w ręce obywateli, instytucje w ręce zawodowców, a wszystko to w drodze przejrzystych – czy, jak woła politycy – transparentnych – procesów. Po trzech latach okazało się, że KO niczym nie różni się od PiS: członkowie partii mogą liczyć na lukratywne etaty w publicznych instytucjach, a politycy korzystają z szybkiej ścieżki w miejskim szpitalu.

Słysząc głosy, że tak ostra ocena Tuska jest krzywdząca, ponieważ – jak na razie – mówimy o jednej aferze, która co prawda działa na społeczną wyobraźnię, ale ma się nijak do działalności ludzi Jarosława Kaczyńskiego. Tyle że partia, która szła do wyborów z hasłami odnowy moralnej, nie może sobie pozwolić na podobne wpadki, ponieważ ludzie oceniają pars pro toto: całą jej działalność staje pod znakiem zapytania.

Mówiąc inaczej: Koalicji Obywatelskiej wolno mniej. A jeszcze inaczej: demokraci nie mogą wykorzystywać państwa do własnych – prywatnych i partyjnych – interesów.

Premier zareagował błyskawicznie i prędko: Kacprzyk nie jest już radnym, wyrzucono go ze szpitala i partii, a Tusk pełną odpowiedzialność przerzucił na Trzaskowskiego. Bo to prezydent Warszawy nadzoruje szpital, jego zastępcy zasiadali w radzie nadzorczej placówki.

Zresztą pierwsze sygnały o nieprawidłowościach na SOR Najwyższa Izba Kontroli i Trzaskowski dostali jeszcze w ubiegłym roku, co potwierdził sygnalista Patryka Słowika, były ordynator ze Szpitala Południowego, swoją drogą z niejasną przeszłością biznesową. Już rok temu zlecono kontrole, które niczego nie wykazały, choć dziś okazuje się, że Kacprzyk zwyczajnie nie przychodził do pracy. I dlatego musiał oddać pół miliona złotych.

REKLAMA

Kraj/34437835

Przywitaj Nowy Rok wśród cytrusowych gajów, zachwycających krajobrazów Zatoki Neapolitańskiej i dziedzictwa kulturowego południowych Włoch.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Neapolu i przyjazd do Sorrento nad Zatoką Neapolitańską. Dz. 2 P Urok Sorrento i smaki południowych Włoch. Dz. 3 Możliwość wycieczki do Neapolu i Sylwester w Sorrento. Dz. 4 Nowy Rok w spokojnym rytmie i włoskiej atmosferze. Dz. 5 Powrót do domu.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2026 | od **5.298,-**



Pełna przygód wyprawa przez mongolskie stepy i pustynię Gobi z noclegami w tradycyjnych jurtach oraz spotkanie ze wspaniałą naturą i kulturą nomadów.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przylot do Ułan Bator. Zwiedzanie miasta, w tym Narodowe Muzeum Historyczne i Plac Niepodległości. Dz. 3 Ułan Bator – Baga Gazriin Chuluu. W kierunku pustyni Gobi i formacji skalnych. Dz. 4 Baga Gazriin Chuluu – Tsagaan Suwarga. Biała Stupa i czas wolny. Dz. 5 Tsagaan Suwarga – Dolina Yol. W kierunku otwartych przestrzeni południowej części Gobi i fantastycznej natury doliny Yol. Dz. 6 Dolina Yol. Wycieczka do Bayanzag – Płonące Klify. Dz. 7 Dolina Yol – Khongoryn Els. Śpiewające Wydmy i wizyta u nomadów – hodowcy wielbłądów. Dz. 8 Khongoryn Els – Ongi. Centralna Gobi i klasztor Ongi. Dz. 9 Ongi – Karakorum. Centralna część kraju i stolica Czyngis-chana. Dz. 10 Karakorum. Klasztor Erdene Zuu, Skały Żółwie i Muzeum Karakorum. Dz. 11 Karakorum – Chustai. W poszukiwaniu koni Przewalskiego. Dz. 12 Chustai – Ułan Bator. Czas wolny w stolicy i kolacja pożegnalna. Dz. 13 Ułan Bator – Warszawa.

13 dni | Wyloty z Warszawy 03/07, 28/08 2027 | od **17.998,-**

Owszem, pytanie: dlaczego rada nadzorcza, w której zasiadała Aldona Machnowska-Góra, czyli najbliższa współpracowniczka Trzaskowskiego, oraz Robert Kępa, burmistrz dzielnicy Ursynów, nie wiedzieli, co dzieje się w Szpitalu Południowym, wciąż pozostaje w mocy.

Jednocześnie ruchy Tuska odbierają tlen opozycji: premier nie bagatelizuje sprawy ani nie zamiata pod dywan, przeciwnie, mówi o niej otwarcie. Odcina się od obciążonego polityka mazowieckiego „barona” KO Marcin Kierwiński, który blisko współpracował z Kacprzykiem, bez mrugnięcia okiem wyrzuca go z partii, następnie premier publicznie pyta, dlaczego samorząd warszawski nie wykrył wcześniej nieprawidłowości. Na to reaguje Trzaskowski, który wyrzuca cały zarząd i radę nadzorczą szpitala, choć jego zastępcy i burmistrzowie, a także radni zasiadają nadal w radach nadzorczych innych spółek. Prezydent Warszawy nie rozwiązuje więc systemowego problemu, tylko pudruje trupa.

A na koniec Tusk zgrabnie przerzuca piłkę na inne boisko – gniewu społecznego na uprzywilejowane grupy zawodowe. Obiecuję zmianę systemu ochrony zdrowia i przegląd pensji lekarzy – tym samym pozbawiając PiS jego ulubionego, sprawdzonego od ćwierć wieku oręża, czyli obietnic wysprzątania państwa i „ukrócenia patologii” w elitarnych zawodach zaufania publicznego.

Lecz problemy tak łatwo nie znikną. System ochrony zdrowia sprzyja patologiom – lekarze mogą dużo zarabiać, bo jest mało specjalistów, których umiejętności Narodowy Fundusz Zdrowia drogo wycenia, a szpitale muszą na czymś zarabiać, ponieważ zdrowie jest w Polsce urynkowane. Jednocześnie zdesperowane placówki oferują lekarzom kontrakty – umowy wyjęte spod prawa pracy, więc medycy mogą pracować po 20 godzin dziennie i nawet Państwowa Inspekcja Pracy nie ma tu nic do gadania.

A przede wszystkim nie zniknie praprzyczyna patologii polityczno-biznesowo-klientystycznych, czyli organizacja partyjna, a konkretnie: młodzieżówki.

Zanim przejdziemy do opisu, jak dzisiaj działa Nowa Generacja – skupiając się na niej jako prominentnym i świeżym przykładzie, nie po to, by dolożyć KO, bo podobnie wyglądają młodzieżówki i ogólnie mechanizmy kadrowe we wszystkich (po wyjściu z ideowej fazy start-upu) partii – musimy poznać kilka faktów historycznych.

Organizacje młodzieżowe są naturalną częścią pejzażu politycznego. I w naturalny sposób przyciągają nie tylko ideowców, również oportunistów – co nie przekreśla ich znaczenia, bo z ludźmi, których w początkach ich działalności nazwalibyśmy karierowiczami, nie rzadko wyrastali utalentowani, zasłużeni politycy. W czasach komunizmu działał Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, który pełnił funkcję przedsionka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej dla młodych ludzi. A że związkowa legitymacja mogła wiele ułatwić, więcej niż dziś, do SZSP zapisywano się raczej konformistycznie niż z miłości do socjalizmu i wiele późniejszych karier miało miejsce właśnie tam. Włodzimierz Czarzasty czy Aleksander Kwaśniewski pierwsze polityczne szlify odbierali właśnie związku studentów.

Po transformacji ustrojowej 1989 roku nowe partie chciały zagospodarować ambitną, zaangażowaną obywatelsko i rozpolitykowaną młodzież, więc przy Unii Wolności – ówczesnym odpowiedniku PO – powstało Stowarzyszenie Młodzi Demokraci, przy lewicy – Sojusz Młodej Lewicy, a także Młodzież Wszechpolska, słynąca ze słabości do nacjonalizmu.

W 1995 r. pisaliśmy w „Wyborczej” o drogach, jakie stoją przed młodymi i zdolnymi ludźmi, którzy chcą zaangażować się politycznie. „Najprostszą drogą do polityki jest tzw. działalność partyjna. Jeśli dasz się poznać w kole partyjnym jako człowiek z inicjatywą, dobry organizator – masz szansę zostać delegatem na zjazd regionalny czy krajowy partii.



• **Posel Michał Szczerba i Nowa Generacja przed Sejmem na konferencji prasowej poświęconej młodym kandydatom KO w wyborach. Dawid Kacprzyk czwarty z prawej (4.09.2023)**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Jeśli cię zauważy »góra« – jest szansa na karierę. Ale dziś nie wystarczy pokrzyknąć na partyjnym zlocie. – Ciężko pracujemy na sukces. Teraz droga awansu jest bardziej sprawiedliwa, ale wydłużyła się. Choć i tak wciąż najczęściej zależy od szczęścia – mówi Grzegorz Bielowiecki, przewodniczący Stowarzyszenia Młodzi Demokraci przy Unii Wolności, student zarządzania. Młodzi Demokraci to głównie studenci prawa, kierunków ekonomicznych, zarządzania. – Trzeba być fachowcem w jakiejś dziedzinie. Nie można stawiać na jedną kartę: politykę. Zwłaszcza w Polsce – mówi Bielowiecki.

W tym samym tekście czytamy o oczekiwaniach młodych działaczy liczących, że przy okazji spotkań, konferencji, których z „wielkich” w partii ich dostrzeże i w „następnym rozdaniu” do parlamentu znajdą się na listach kandydatów.

Pięć lat później na spotkaniu z Bronisławem Geremekiem padło pytanie, czy jest zadowolony z działalności Młodych Demokratów. Minister spraw zagranicznych, jeden z liderów podziemia antykomunistycznego i słynny mediewista stwierdził: „Nie wierzę, że dla młodych polityka redukuje się do wąsko rozumianych karier, rozdziału stanowisk i przywilejów. Nie wierzę w przeświadczenie młodych, że wszystkie środki są dobre, gdy prowadzą do celu. Jestem przekonany, że młodzi z SMD mają poczucie służby publicznej”.

Szybko się okazało, że młodzieżówka kierowana przez Sławomira Nowaka – tego samego, który po latach wyleciał z hukami z Platformy Obywatelskiej, bo nie wpisał do oświadczenia majątkowego zegarka (jak widać, te niepozorne dokumenty mogą zakończyć każdą świetnie zapowiadającą się karierę), a dziś jest oskarżany o branie łapówek w Ukrainie – nie wybrała wartości, tylko karierę.

Zużyta latami rządzenia Unia Wolności rozpadła się, Tusk zakładał Platformę Obywatelską, a Nowak poszedł za nową siłą polityczną. I przetrwał partyjne szlaki, a jego droga zawodowa do dzisiaj budzi zazdrość oraz rozbudza marzenia: Nowak zaznał w młodzieżówce, potem stał się bliskim współpracownikiem premiera, posłem, ministrem, szefem gabinetu politycznego Tuska.

Młodzi Demokraci byli wpisani do statutu PO, co zmieniło się na początku tej dekady, kiedy Tusk wrócił z gabinetu przewodniczącego Rady Europejskiej do polskiej polityki. Okazało się, że młodzieżówka tonie w długach, które zaciągnęła w Europejskiej Partii Ludowej – „czapie” gromadzącej w europarlamencie ugrupowania liberalne – a nowy-stary szef chciał posprzątać po poprzednikach. Oficjalnie, bo nieoficjalnie w partii mówiło się, że Młodzi Demokraci byli obsadzeni ludźmi Grzegorza Schetyny, a więc wewnętrznego przeciwnika i politycznego wroga Tuska, w jakiego podczas brukselskiego epizodu „Kierow-

**Osoby z Nowej Generacji,
z którymi spotkałem się
po aferze z Kacprzykiem,
mówią wprost: dziś partyjna
młodzieżówka Koalicji
Obywatelskiej ma być lojalna,
dyspozycyjna i bezkrytyczna. –
I właśnie dlatego wielu naszych
z zazdrością patrzy na Zryw,
czyli grupę młodych ludzi wokół
Radka Sikorskiego. Albo na
Akcję Uczniowską**

nika” zdążył zmienić się jego dawny „żelazny minister”, zaufany doradca i kadrowy.

Doszło więc do rozłamu, pod koniec 2022 r. zawiązano Nową Generację, a jej pierwszym szefem został młodziutki student medycyny Dawid Kacprzyk. Operację nadzorował Marcin Kierwiński, sekretarz generalny partii.

Tyle historii, choć jej elementy pojawiają się jeszcze w mojej opowieści.

Nowa Generacja jest więc spadkobierczynią liberalnej młodzieżówki z lat 90. Która była całkiem rzutką i naprawdę zasłużoną kadrą – Młodzi Demokraci nie zajmowali się tylko noszeniem teczek i parzeniem kawy wpływowym posłom oraz knuciem i uświatnieniem gminnych uroczystości. Organizowali szkołę liderów, debaty polityczne w całym kraju, kampanie wyborcze Unii Wolności, a także rozwijali kontakty ze swoimi odpowiednikami na zachodzie Europy. Z Młodych Demokratów wywodzą się tacy politycy jak Michał Szczerba, czyli merytorycznie zajadły tropiciel pisowskich afer, twórca socjalnej przemiany KO Aleksandra Gajewska, posłanka Kinga Gajewska, w czasach rządów PiS-u niezwykle aktywna polityczka, wiceminister odpowiedzialny za żeglugę Arkadiusz Marchewka czy Borys Budka – wiceprzewodniczący i przewodniczący KO w najtrudniejszym dla partii czasie, czyli przez większość rządów PiS.

W szczytowym momencie w Młodych Demokratach działało 7 tysięcy osób w 160 kołach w całej Polsce. Ich spadkobierczyni jest stosunkowo młodą organizacją – powstała w 2022 r. – liczy kilkuset członków i aż do teraz nie odgrywała znaczącej roli politycznej.

– Czy zaskoczyła nas afera z Dawidem? Tak, ponieważ nie znaliśmy go od tej strony. W naszych oczach był sprawnym szefem, wielokrotnie mówił nam, że polityka go interesuje

mniej niż medycyna, której chciał się poświęcić. Wiedzieliśmy, że jeździ Porsche, ale myślałem, że ma bogatych rodziców – przyznaje działacz Nowej Generacji.

Bo do młodzieżówek – słyszę w partiach – i do tych liberalnych, i lewicowych, do Konfederacji i Polskiego Stronnictwa Ludowego – garną się głównie dzieci z bogatych domów, bananowa młodzież, która dostaje co miesiąc duże przelewy od rodziców.

Inny działacz opowiada, że praca lekarza bez żadnej specjalizacji na istotnym stanowisku w miejskim szpitalu też nikogo nie zaskakiwała, nawet jeśli została załatwiona po znajomości, na co zresztą nie ma dowodów. – Może pan twierdzić, że to kolesiostwo, ale my wolimy mówić o networkingu – śmieje się.

Ale mnie interesuje tak naprawdę coś innego: kogo przyciągają młodzieżówki? Czy zapisują się do niej wyłącznie karierowicze? A może jednak, wbrew obiegowej opinii i intuicji, wśród młodych polityków są eksperci, pasjonaci i idealisci? Słyszę dwie odpowiedzi.

– Do Nowej Generacji przychodzą młodzi uczniowie liceów i studenci, którzy interesują się polityką, żyją nią, chcą więc zagospodarować swoją energię. Rzadko się zdarza, że ktoś w wieku 19 lat planuje polityczną karierę i wybiega w czasie aż do 40. roku życia – opowiada inny młody działacz. – W czasach opozycji, kiedy rządził PiS, tłumy nastolatków zapisywały się do młodzieżówki, ponieważ zależało im na odsunięciu Kaczyńskiego od władzy. Chodziliśmy na czarne protesty, demonstrowaliśmy pod Pałacem Prezydenckim przy okazji próby wprowadzenia lex Czarnek, czyli ograniczanie działalności organizacji pozarządowych na terenie szkół. Było co robić, praktycznie co tydzień coś się działo. I proszę uwierzyć: nikt z nas nie myślał o karierze.

Ale przyszły polityk dodaje od razu, że po kilkunastu miesiącach darmowej pracy wielu jego kolegów zaczęło nasiąkać partyjną atmosferą. Na dobre i na złe: rozbudzali ambicjonalnie, nabierali przekonania, że mogą wnieść coś od siebie w sprawę publiczną, zaczęli rozumieć niuanse procesów ustrojowych, ale też zderzali z folwarcznym zarządzaniem, serwilizmem – i przyjmowali te reguły gry.

– Przychodzi do nas na przykład poseł Arkadiusz Marchewka. Opowiada o pracy w parlamencie, zaprasza nas do Sejmu, czujemy się docenieni. Widzimy, że każdy z nas może powtórzyć tę samą drogę. I fajnie, ale jest coś jeszcze: posłowie wpisują nas na listy społecznych asystentów, rozdają legitymacje na lewo i prawo. A dzięki temu możemy o każdej porze dnia wejść do Sejmu. Czy pan wie, jakie wrażenie na młodym chłopaku, który ogląda rolki z ulubionymi posłami, robi przebywanie w jednym pokoju ze znanymi politykami? Przecież to jest kosmos, dotknięcie Boga! – emocjonuje się mój rozmówca.

Z entuzjazmem opowiada, że młodzi sporo uczą się od starszych posłów, którzy zabierają ich na posiedzenia komisji i pokazują, w jaki sposób tworzy się prawo. – To jest najfajniejsza szkoła polityczna, kiedy widzimy z bliska pisanie ustaw, dyskusje w trakcie sejmowych komisji, zakulisowe rozmowy pomiędzy klubami parlamentarnymi. A poza tym widzimy sprawczość naszych starszych kolegów.

Młodzi widzą więc, że ludzie o 15 lat starsi od nich zostali ministrami, dostali się do Parlamentu Europejskiego, weszli do Sejmu, są co drugi dzień w mediach. To działa na wyobraźnię. – Ci bardziej ambitni poświęcają się pracy partyjnej. Po jakimś czasie dostajemy miejsce na liście w wyborach samorządowych. Co z tego, że nie mamy najmniejszej szansy się dostać, choć rzecz jasna są przypadki dobrych kampanii i przekonujących kandydatów, którzy pracują teraz w radach dzielnic. Li czy się coś innego: ktoś nas zauważył, dał nam szansę, więc ciśniami dalej – opowiada ten sam student.

Druga wersja jest bardziej zniuansowana. – Młodzieżówka jest wykorzystywana przez polityków, a my nie mamy żadnej pod-

miotowości. Mogę mnożyć przykłady: znany poseł każe nam roznosić ulotki w czasie kampanii po wszystkich mieszkaniach na jakimś osiedlu. Trwa to kilka godzin i powtarza się codziennie przez kilka tygodni. Albo dzwoni rano i mówi, że mamy być za godzinę na konferencji prasowej pod Sejmem. Więc nie idę do szkoły, tylko służę za tło, trzymając karton z jakimś hasłem. Czyli poświęcam naukę na kampanię. I spoko, to zaangażowanie obywatelskie i inwestycja w jednym – tylko że dzień po wyborach telefon milczy, poseł odzywa się ponownie czterech latach – mówi gorzko mój kolejny rozmówca.

Mówi się, że młodzież kręcąc się po Sejmie pełni głównie rolę „teczkowych”, którzy noszą za posłami dokumenty. – To prawda, wielu naszych kolegów w taki sposób pracuje. Za darmo, przecież posłowie nie mają kasy na utrzymanie studentów. Co mamy w zamian? Dalekie miejsce na liście do rady miasta, wycieczkę do Brukseli raz do roku i zdjęcie z Tuskiem na konwencji krajowej, na którą nas zaproszą wraz z posłem.

Ktoś może powiedzieć: no ale przecież każdy zaczynał w taki sposób, prezesi rządów 20 lat temu byli chłopcami na posyłki, premier malował kominy, a właściciel sieci sklepów na początku prowadził osiedlowy warzywniak. Mówimy jednak o pionierskich czasach dzikiego kapitalizmu i polityki, którą robili znajomi. Dzisiaj oczekujemy od struktur partyjnych większej profesjonalizacji, a nie – jak mówi mi jeden z początkujących polityków – zwykłego wyzysku.

W Nowej Generacji, podobnie jak we wszystkich partiach w Polsce, alergicznie reaguje się na krytykę liderów i ich decyzji. – Panuje kult wodza, któremu nie można się sprzeciwić. Kiedy wielu z nas publicznie krytykowało Donalda Tuska za antyimigranckie wystąpienia z czasów kampanii wyborczej, to zostaliśmy natychmiast przywołani do porządku. Posłowie zastraszały nas i pisali, że przez nas przegramy wybory – wspominają moi rozmówcy.

Kult jednostki ma też komiczne oblicze. – Kiedyś jedna z działaczek przyznała na publicznym czacie, że nie popiera związków partnerskich, ponieważ nie ma ich w programie partii. Ktoś jej napisał, że popiera je premier. Od razu zmieniła zdanie i napisała, że skoro Tusk tak uważa, to ona też – śmieje się przyszły polityk.

Taka atmosfera, która nie sprzyja krytycznej refleksji, zniechęca bardziej niezależnych nastolatków czy studentów. – Znam przypadki osób, które na portalach społecznościowych krytykowały partię za jakąś jedną decyzję i były najpierw wyśmiewane na czatach, a potem na spotkaniach. Sygnał został odczytany: liczy się tylko ślepa lojalność. Dostęcznie krytykowaliśmy Romana Giertycha za głosowanie w sprawie dekryminalizacji aborcji. Okazało się, że w partii jest cała masa jego fanów, którzy nas uciszała – żżyma się jeden z rozczarowanych informatorów.

– Powiem to wprost: ludzie w młodzieżówkach są manipulowani obietnicą dobrego miejsca na listach do Sejmu czy rady miasta, więc uginają się, dostosowują, a tak naprawdę wykonują darmową pracę na rzecz innych polityków. Ale u niektórych nawyki zostają, ta, nazwijmy to, elastyczność ideowa już wchodzi im w krew.

– Między sobą przyznajemy, że młodzieżówka PiS działa lepiej, ponieważ obstawiają dwie nogi. Też wychowują karierowiczów, bo potem mają zdyscyplinowanych, cynicznych żołnierzy od powtarzania przekazów dnia i głosowania, jak należy, od szczebla samorządowego po sejm. Ale jednocześnie pielegnują młodych ekspertów, prowadzą żywą dyskusję, ich wiedza jest wykorzystywana w partii – mówi z lekką zazdrością inny działacz Nowej Generacji.

Ta myśl jest ciekawa, ponieważ partie konserwatywne i lewicowe znacznie lepiej niż li-

Działacz, kapciowy, propagandysta, poseł. Stadia rozwoju młodego polityka

W powyższej opowieści skupiłem się na **Nowej Generacji**, bo jest rezerwarem kadr partii władzy i afery z jej udziałem mogą wpłynąć na wynik przyszłorocznych wyborów. Ale inne młodzieżówki też mają swoje za uszami, a mechanizmy awansu są uniwersalne.

Przy PiS działają dwie młodzieżówki: **Forum Młodych PiS** oraz **NowaPL.org**, którą powołano z inicjatywy Adama Bielana, wpływowego eurodeputowanego. **Forum Młodych** jest nazywane kuźnią kadr. W jej szeregach działał szef gabinetu Karola Nawrockiego Paweł Szefernaker, poseł Radosław Fogiel, bliski współpracownik Andrzeja Dudy i przez pewien czas współtwórca prezydenckiej polityki zagranicznej Marcin Mastalek, a także Michał Moskał, zaufany człowiek Jarosława Kaczyńskiego.

Najbardziej kontrowersyjną postacią Forum Młodych PiS jest Oskar Szafa-

rowicz, który brał udział w wielu internetowych i medialnych nagonkach na politycznych przeciwników. Po wszechnie uważa się, że jego wpisy na portalach społecznościowych przyczyniły się do samobójczej śmierci syna posłanki KO Magdaleny Filiks. Szafarowicz pracował w czasach rządów PiS w Krajowym Zasobie Nieruchomości.

Przy Nowej Lewicy działa **Młoda Lewica**, która słynie głównie z „internetowych imb”, czyli kłótni na platformach społecznościowych o język, strategię polityczną, przeszłość czy zachowania poszczególnych działaczy. Do niedawna działała również młodzieżówka Wiosny Roberta Biedronia, dziś połączona z Młodą Lewicą. Jej działacze bulwersowali bar dziej umiarkowanych obserwatorów, nazywając Leszka Balcerowicza – ojca szokowego przejścia od centralnego sterowanej do wolnego rynku, wiążącego się z upadkiem peerelowskich zakła-

dów pracy – „Mengele gospodarki”, odnosząc się do lekarza hitlerowca zbrodniarza dokonującego eksperymentów medycznych w obozach koncentracyjnych.

Partia Razem ma własną młodzieżówkę, czyli **Młodzi Razem**, ale to ugrupowanie ma w swoich szeregach mnóstwo młodych polityków, więc granica między dorosłą a młodzieżową polityką mocno się zaciera. Działacze – przy okazji internetowej kłótni o osoby trans – pisali o feministkach, które krytykują osoby transseksualne, że ich miejsce jest w dolach z wapnem, Kołymie, a najlepiej to „jeb... je prądem”.

Forum Młodych Ludowców i Związek Młodzieży Wiejskich działają przy PSL. W ostatnich miesiącach głośno było o działaczach, którzy znaleźli pracę w Narodowym Instytucie Kultury i Dziedzictwa Wsi, którym kierują ludowcy. Poza tym większych skandali nie odnotowano. ●

które ma zaowocować za kilka lat. Jak deklarują, w roli podsekretarza stanu, dyplomatów, dyrektorów departamentów, pełnomocników rządu, słowem – ludzi wpływowych, rozpoznawalnych, ale realizujących się w konkretnych politykach, nie w polityce rozumianej jako propaganda.

Choć, dodają od razu w myślach, apetyty i charaktery zmieniają się w miarę jedzenia.

●
O mniej oczywistych problemach z Nową Generacją opowiada mi osoba, która otarła się o tę organizację. – Ludzie w moim wieku, a więc świeżo upieczeni maturzyści, muszą się mierzyć z niekomfortowymi sytuacjami: telefonami w środku nocy, imprezami, podrywaniem, grubymi żartami. Są imprezy, na których starsi politycy przekraczają granice, co naprawdę przeraża młodych chłopaków i dziewczyny.

Można powiedzieć, że młodzieżówki i partie są odzwierciedleniem folwarcznego stylu zarządzania w wielu polskich firmach czy organizacjach pozarządowych, gdzie szefami są ludzie pokroju wuja z wesela i hurtownika w pierwszym biznesowym pokoleniu.

– Jak reagujemy? Omijamy tych posłów i nawzajem się ostrzegamy – słyszę od innego działacza, który od razu dodaje, że takich imprez jest bardzo mało. – Raz na rok zdarza nam się pić dużo alkoholu i bawić do samego rana. Ale my jesteśmy nudni i grzeczni, umawiamy się na winko na mieście i rozmawiamy o polityce – przyznaje.

– Czyli jesteście tak naprawdę mentalnymi starcami? – docinam mojemu rozmówcy.

– Można tak powiedzieć – śmieje się działacz młodzieżowy.

Faktycznie, najmłodsze pokolenie przyszłych polityków nie urzęduje wielkich imprez, choć znam opowieści o trzydniowym wyjeździe Młodej Generacji, która zajęła kilka pięter w drogim hotelu, gdzie pijani działacze jeździli do siebie windami, wywołując popłoch wśród obsługi. Albo o integracyjnych imprezach młodych ludowców i Nowej Generacji w dużym klubie w Warszawie. Ale to wyjątek: młoda lewica alergicznie reaguje na alkohol, bo naogłądała się starszych działaczy, niekiedy jeszcze z czasów PRL, którzy nie wylewają za kołnierz. Młodzi konserwatyści nie piją z powodów religijnych. Jeśli już, to spotykają się raz na pół roku, ktoś stawia butelkę wina i po kilku godzinach rozchodzą się do domów.

Czy to oznacza zmianę mentalną i zapowiedź sprofesjonalizowanej młodzieżowej polityki? Wątpię, ponieważ w partiach problemem nigdy nie był alkohol, tylko „dojście do ucha prezesa”, w czym wódka wcale nie pomagała.

●
Idealne młodzieżówki powinny działać jak sprawne think tanki polityczne, finansowane z pieniędzy partyjnych, za które organizują publiczne debaty z ludźmi nauki, sesje politologiczne, wyjazdy studyjne czy badania. Takie nowoczesne młodzieżówki zasilająby partie wykwalifikowaną kadrą, a także charyzmatycznymi liderami politycznymi.

Aleksander Kwaśniewski, czyli najlepiej oceniany prezydent Trzeciej Rzeczypospolitej, zaczynał w komunistycznej młodzieżówce i jako minister do spraw młodzieży. W politycznych organizacjach młodzieżowych działali byli prezydent USA Bill Clinton, znana z lewicowych poglądów amerykańska Demokratka Alexandria Ocasio-Cortez czy kanclerz Niemiec Friedrich Merz.

Czy przyszłego prezydenta lub premiera kalibru europejskiego – gotowego stawić czoła wyzwaniom świata rozchwyanych sojuszy, wojen hybrydowych i polityki na gorąco tworzonej przez algorytmy – będzie w stanie wychować karna młodzieżówka partii od lat wiążącej na energii, pomysłowości i determinacji jednego lidera? ●

beralne utrzymują kontakty z młodym zapleczem intelektualnym oraz – co tu dużo mówić – przyciągają ekspertów.

Przy „lewaku” Krzysztofie Gawkowskim w Ministerstwie Cyfryzacji pracuje armia młodych idealistów, którzy wierzą w realny rozwój polskiego IT.

Marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty ściągnął do Sejmu młodych ludzi, którzy doradzają mu w sprawach wizerunkowych i nie pozwalają odkleić się od potrzeb młodych obywateli.

Konserwatysta Radosław Sikorski otoczył się dwudziestoparolatkami, którzy dbają o jego profile społecznościowe, wymyślają nieszablonowe, angażujące i pomysłowe akcje polityczne, jak „piwo z Mentzenem” – a przede wszystkim pozwalają utrzymać kontakt z rzeczywistością i wgląd w tematy i emocje młodych Polaków.

Możemy się obrażać na Konfederację, ale umiejętnie o grywający wizerunek prymusa, merytorycznego specjalisty (i nieważne, że nie wiadomo, od czego), dobrze wychowane młodzieńca i ideowca w jednym Krzysztof Bosak przyciąga do partii idealistów, dla których patriotyzm jest czymś tak samo ważnym jak dla naszej strony tolerancja.

Do czasów rządów PiS, kiedy – jak każde rządzące ugrupowanie – prawica zaczęła przyciągać karierowiczów – prawa strona miała i tę przerwę, że jej młodzieżówki przyciągały też „pozytywnych świrów”, zająkowiczów, pasjonatów, czy outsiderów. Przykładem Michał Dworczyk, dzisiaj europoseł i prominentny polityk PiS, który w młodości zbierał amunicję w piwnicy, interesował się historią Kresów, a po latach stał się pomyslowym i obrotnym technokratą, bez którego rząd Mateusza Morawieckiego z pewnością upadłby po miesiącu. Co zresztą go zgubiło, bo prowadził otwartą korespondencję o politycznej kuchni nie z rządowej, sztyfrowanej, a z prywatnej poczty, z której ktoś – Rosjanie? zio bryści? – wykradł i upublicznił maile.

Innym przykładem jest poseł Sławomir Nitras, od lat jeden z ważniejszych polityków KO, a w młodości... „kuc Korwina”, czy-

li działacz oszołomskiej Unii Polityki Realnej Janusza Korwina-Mikkego, czyli skrajnego liberała gospodarczego i reakcjonisty obojętnego. Nitras – jak opowiadają jego znajomi – jest jednym z najbardziej czytanych, o szerokich horyzontach polityków w obecny Sejmie, który widzi szerzej wiele procesów politycznych.

Podobny mechanizm – od zajawki i nerдостwa do wyróżnienia się w poważnej polityce – funkcjonował w alternatywnej części lewicy. W socjalistycznych młodzieżówkach działali Adrian Zandberg czy Marcelina Zawisza – najważniejsi politycy Partii Razem. 15 lat temu chodzili na małe protesty, wydawali internetowe czasopisma i nasiąkali atmosferą „opozycji ulicznej” na długie lata przed masowymi protestami z czasów rządów PiS.

Osoby z Nowej Generacji, z którymi spotkałem się po aferze z Kacprzykiem, mówią wprost: dziś partyjna młodzieżówka Koalicji Obywatelskiej ma być lojalna, dyspozycyjna i bezkrytyczna. – I właśnie dlatego wielu naszych z zazdrością patrzy na Zryw, czyli grupę młodych ludzi wokół Radka Sikorskiego. Albo na Akcję Uczniowską, która wyspecjalizowała się w polityce edukacyjnej – przyznają moi rozmówcy.

Paradoksalnie większy niż młodzieżówki wpływ na kształt debaty publicznej mają byty niezwiązane z partiami politycznymi: mniej lub bardziej formalne środowiska związane z konkretnymi politykami lub organizacje pracujące w administracji publicznej o wyraźnej identyfikacji ideowej, ale zajmujące się konkretnymi problemami. – Mamy inne cele: nie interesują nas miejsca na listach do Sejmu, choć nie wykluczamy, że w 2031 r. to się zmieni. Chcemy pracować w gabinetach politycznych, mieć wpływ na decyzje premiera i ministrów, polityka partyjna w rozumieniu gierki, koterii, rozgrywek personalnych nas nie interesuje – przekonuje jedna z osób zaangażowanych w Zryw.

I faktycznie, wielu młodych współpracowników Sikorskiego pracuje już dziś na zapleczu, zdobywając kontakty, doświadczenie,

Nie mam sobie nic do zarzucenia

Mówi Marcin Kierwiński, którego pytamy o polityczne konsekwencje afery w Szpitalu Południowym w Warszawie

Z MARCINEM KIERWIŃSKIM,
MINISTREM SPRAW
WEWNĘTRZNYCH
I ADMINISTRACJI ROZMAWIA
ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

Od kiedy zna pan Dawida Kacprzyka?

– Poznaliśmy się około 2018 roku, ale nie była to nigdy bliska znajomość.

Ale przecież był szefem Nowej Generacji, czyli młodzieżówki partyjnej, która blisko współpracuje z Koalicją Obywatelską.

– To uproszczenie. Nowa Generacja nie jest naszą oficjalną młodzieżówką. W 2022 r. w Stowarzyszeniu Młodzi Demokraci, które było wpisane do statutu KO jako oficjalna organizacja młodzieżowa, wybuchł konflikt o władzę. Po jednej stronie był stary zarząd, po drugiej wiele zbuntowanych regionów, które domagały się zmian. Od tamtego czasu KO nie ma więc oficjalnej młodzieżówki.

Z tego konfliktu powstała Nowa Generacja, która ściśle działa z KO. A jej szefem był Kacprzyk.

– Nie jest to nasza oficjalna młodzieżówka. Zgodzę się jednak, że wielu naszych członków działa jednocześnie w Nowej Generacji.

Czy był pan promotorem kariery Dawida Kacprzyka?

– Nie, to nieprawda. Słyszę te zarzuty z ust polityków PiS, którzy chcą za wszelką cenę wszystko do mnie „przykleić”. Nie przepadają za mną, boją się tego, co robię. Nie dziwię się, ponieważ paru ich kumpli miało poważne problemy, od kiedy jestem szefem MSWiA. Staram się konsekwentnie rozliczać to, co robili w przeszłości. Pan Kacprzyk nigdy nie był w żadnych władzach partyjnych na poziomie miasta czy województwa. Nie zasiadał również w radzie regionu, radzie powiatu czy sądzie koleżeńskim.

W 2019 roku Kacprzyk kandydował do Sejmu. A cztery lata później nie dostał takiej szansy. Co więcej: nie startował do rady Warszawy w 2024 roku. Dlaczego?

– Ponieważ podjąłem taką decyzję i to rekomendowałem zarządowi powiatu w 2024 roku.

Bo wiedział pan, że zarabia miliony w szpitalu?

– Nie. Trzy lata temu podjęliśmy decyzję, że żaden z bohaterów konfliktu w młodzieżówce partyjnej nie dostanie miejsca na liście do parlamentu. Poza tym w 2023 roku pan Kacprzyk niewłaściwie zachowywał się w trakcie kampanii wyborczej wobec niektórych kandydatów startujących z list KO. Nie zgodziłem się więc na jego start w wyborach do rady miasta.

Usłyszałem, że Nowa Generacja pracowała w 2023 roku wyłącznie

na rzecz startującego do Sejmu Aleksandra Pocięja.

– To prawda.

I zostało to źle odczytane przez pozostałych kandydatów.

– To nieprawda.

To co robił Dawid Kacprzyk w 2023 roku?

– Zachowywał się w niekoleżeńskich sposób.

Skladał donosy?

– Nie.

Wypowiadał się źle o innych?

– Chodzi o jakość prowadzonej kampanii wyborczej. Więcej nie powiem. Od tamtego czasu straciłem Dawida Kacprzyka z radaru. Z tego, co pamiętam, nie rozmawiałem z nim od ok. dwóch lat, aż do ostatniego tygodnia, kiedy opuścił partię.

To kiedy się pan dowiedział, że radny pracuje jako koordynator SOR w Szpitalu Południowym?

– W ostatnich dniach.

Naprawdę nie wiedział pan, że miejski radny pracuje w miejskim szpitalu, w którym zarabia miliony?

– Mówię o tym z pełną odpowiedzialnością za każde słowo: nie wiem, gdzie pracują wszyscy radni KO. Warszawa to specyficzne miasto pod kątem konstrukcji ustroju samorządowego. Mamy ponad 450 radnych, z czego ok. 200 należy do naszego ugrupowania. Trudno więc kontrolować wszystkich samorządowców.

I nikt pana nie informował o Kacprzyku?

– Nie.

I nie wiedział pan, co dzieje się w szpitalu?

– Nie. Może też dlatego, że nie byłem pacjentem Szpitala Południowego.

A czy inni politycy KO korzystali z szybkiej ścieżki wejścia na SOR?

– Nie umiem panu wprost odpowiedzieć. Wiem jedno: jeśli w szpitalu doszło do nieprawidłowości, to zostaną wyjaśnione i wypalone rozgrzanym żelazem. Powiedział o tym bardzo jasno przewodniczący Donald Tusk. Jako polityk nie mam prawa kontrolować, kto i z jakim schorzeniem trafia na SOR. Nie żyjemy w czasach słusznie minionych – choć PiS nadal uważa, że minister ma prawo kontrolować każdy aspekt życia obywatela – w których polityka ingerowałaby w działanie SOR-u.

Czyli nie było takiej sytuacji, w której chorzy politycy KO dzwoniли do pana lub do prezydenta Rafała Trzaskowskiego, a panowie kierowaliście ich do Szpitala Południowego?

– Ani razu nie doszło do takiej sytuacji. Politycy PiS-u insynuują pewne rzeczy, ale nie przedstawiają żadnych dowodów. Rozumiem, że chcą za wszelką cenę powiązać wydarzenia ze szpitala Południowego z bieżącą polityką.

A czym innym ta afra jest?

– Moment. Różnica między Koalicją 15 października a PiS jest diametralna: my natychmiast zareagowaliśmy. Pan Kacprzyk nie jest członkiem KO, nie jest radnym dzielnicowym i został zwolniony ze szpitala. My natychmiast reagujemy, a PiS zapewne ich działacza awansowałby na wiceministra.

Przecież za czasów PiS-u dyrektor szpitala przywoził Jarosławowi Kaczyńskiemu kule do domu, inny dyrektor zamykał pół oddziału, ponieważ pan prezes wybierał się tam na operację.

Mąż Elżbiety Witek leżał latami na OIOM-ie, a Stanisław Karczewski zarabiał na dyżurach, choć w tym czasie przebywał na urlopie. My, w przeciwieństwie do polityków



To nieprawda, że byłem promotorem kariery Dawida Kacprzyka. Słyszę te zarzuty z ust polityków PiS, którzy chcą wszystko do mnie „przykleić”. Nie przepadają za mną, boją się tego, co robię. Nie dziwię się, paru ich kumpli miało poważne problemy, od kiedy jestem szefem MSWiA

PiS-u, dostrzegamy nieprawidłowości i zdecydowanie reagujemy. Dlatego zlecono kontrole urzędu miasta i NIK oraz zawiadomiono prokuraturę w sprawie wydarzeń w Szpitalu Południowym.

W mediach pojawiają się informację, że zarówno pan, jak i prezydent Warszawy byliście informowani o nieprawidłowościach, ale je zbagatelizowaliście.

– Takie insynuacje pojawiły się w PiS-owskich radiowęzłach. To jest kłamstwo. Do osób za odpowiedzialnych za przekazywanie takich insynuacji wystosowałem wezwania o zaniechanie naruszania moich dóbr osobistych. Jeden z pracowników szpitala, ale nie pan dr Jędrzejewski, informował mnie jedynie o przeprowadzce oddziału chirurgii do innej – jego zdaniem – gorszej lokalizacji.

I jak pan zareagował?

– Powiedziałem bardzo jasno, że rolę polityka nie jest interweniowanie w sprawy szpitali. To nie są sprawy pierwszych sekretarzy. Za pracę szpitala odpowiada dyrekcja, a nie politycy.

Zareagowałem zgodnie z najwyższymi standardami. Uczynając

wszelkie manipulacje, stanowczo dementuję – przesłane wiadomości to nie były zdjęcia saloniku, ani informacje o nieprawidłowościach. Podkreślam, że w sprawie tych manipulacji wysłałem wezwania o zaniechanie naruszania moich dóbr osobistych.

Czy w Szpitalu Południowym działał salonik VIP dla polityków Koalicji Obywatelskiej?

– Mogę powtórzyć to, co przeczytałem w oświadczeniu ratusza: takiego saloniku nie było. Trwają jednak kontrole, czekam na ich wyniki. We wczorajszej rozmowie Krzysztofa Stanisławskiego z dr. Emilem Jędrzejewskim padły istotne słowa: dr Jędrzejewski nie widział w rzekomym saloniku polityków.

Premier ma listę osób, które miały korzystać z saloniku?

– Nie sądzę. Nic mi na ten temat nie wiadomo, wydaje mi się, że nie.

Czyli nikt w partii nie zapytał, kto wchodził poza kolejką na SOR?

– W tej sprawie jest bardzo dużo nieprawdziwych informacji i plotek. Ale proszę zastanowić się, skąd niby jakikolwiek polityk miałby mieć listę pacjentów z danego szpitala? Przecież to są kwestie wrażliwe, dotyczące najbardziej intymnych szczegółów życia.

Politycy mogli się sami z siebie przyznać, że omijali system.

– Mogli, ale ja nie mam takich informacji. Pojawiły się próby przyklejania różnych polityków do tej sprawy.

Wśród nich pojawiają się Ewa Malinowska-Grupińska, przewodnicząca rady miasta, Aleksander Pocięj czy Małgorzata Kidawa-Błońska, marszałkini Senatu.

– Małgorzata Kidawa-Błońska wydała stosowne oświadczenie, co zamyka temat. PiS próbował wpisać na wymyśloną „listę” ministra Andrzeja Domańskiego, który stanowczo zaprzeczył, a także posłankę Katarzynę Piekarską, która ostatnio zasłabła w Sejmie po oskarżeniach ze strony polityków prawicy. Czytam o sobie, że byłem pacjentem w Szpitalu Południowym. Powtarzam kolejny raz: nie korzystałem z usług tej placówki. Ponadto politycy PiS dezinformują, że po Dniu Strażaka w 2024 r. pojechałem właśnie na ten SOR i tam zrobiłem badania krwi na obecność alkoholu. To jest kłamstwo. PiS za wszelką cenę chce w sposób kłamliwy przykleić tę aferę do konkretnych polityków.

Lecz obraz polityczny jest dla KO niekorzystny: w Warszawie, gdzie jest pan szefem struktur partyjnych, wybucha wielka afra, za którą pan ponosi odpowiedzialność.

– Jeżeli któryś z członków KO korzystał w ten sposób ze szpitala, to poniesie za to odpowiedzialność. Jeżeli dowiem się, że jakiś politycy z warszawskiej Koalicji Obywatelskiej zachowywali się w sposób nieetyczny, to jako szef struktur będę reagował twardo i zdecydowanie.

Do tego dochodzi wątek specjalnego traktowania polityków w szpitalu. A także młody lekarz, który zarobił w rok 1,5 mln zł, mimo że nie miał kompetencji do kierowania SOR-em. I nie ma pan sobie nic do zarzucenia? Przecież cały czas w kontekście tej afery pojawia się pańskie nazwisko.

– Powtórzę to raz jeszcze: żaden polityk KO nie decyduje o tym, kto zostaje zatrudniony w publicznym szpitalu. Jednocześnie wyjaśniamy tę sprawę, informujemy wszystkie służby, wszczynamy kontrole, żegnamy się z lekarzem uwikłanym w sprawę. Działamy, reagujemy.

Ale polityka rządzi się emocjami. Ludzie oczekują konkretnych dymisji. Czy przestanie pan kierować strukturami KO w stolicy?

– Nie zamierzam rezygnować, ponieważ świeżo co zostałem wybrany na to stanowisko. Mimo próby przyklejania do tej sprawy polityki, to w sprawie wokół Szpitala Południowego jest jej naprawdę bardzo mało. Nie chciałbym żyć w świecie, w którym politycy decydowali o tym, kogo należy zatrudnić na SOR-ze.

Prawica twierdzi, że Kacprzyk dostał pracę tylko dlatego, że był działaczem KO. Zatrudnił go szpital, którym zarządzają politycy.

– Nie mam nic wspólnego z polityką kadrową Szpitala Południowego. Decyduje o tym wyłącznie zarząd szpitala.

Czyli to wina Trzaskowskiego, którego przedstawiciele w radzie nadzorczej szpitala nie dopilnowali, co dzieje się w placówce?

– Pytanie, czy członkowie rady mieli taką wiedzę.

No ale przecież ten konkretny szpital nadzoruje Trzaskowski, prawda?

– Prezydent zareagował bardzo twardo i zdecydowanie tuż po ujawnieniu nieprawidłowości w tym miejscu. Ta sprawa pokazuje, że w Szpitalu Południowym działy się niepokojące rzeczy. Dlatego Rafał Trzaskowski odwołał zarząd szpitala.

Nie ma pan sobie nic do zarzucenia?

– Absolutnie nie.

A czy czuje pan skrucie i chciałby przeprosić mieszkańców Warszawy za tę aferę?

– Traktuję tę sprawę bardzo poważnie, dlatego KO będzie wyciągała bardzo poważne konsekwencje wobec wszystkich polityków, którzy wchodzili bez kolejki na SOR-ze w Szpitalu Południowym. I czy pan naprawdę myśli, że chcielibyśmy ukryć tego rodzaju nieprawidłowości?

Wiele widziałem w polityce, panie ministrze.

– A ja wiem, że w tego typu sprawach nasza partia reaguje zdecydowanie. ●

IPN czy IPN?

Prezydent, któremu przeszłość zasłania to, co przed nami, każe Polsce iść przed siebie tyłem. Zwykle kończy się to uderzeniem w ścianę bądź bolesnym upadkiem.



Marcin Matczak

Karol Nawrocki mieszka w Belwederze, ale psychologicznie chyba nigdy nie wstał od poprzedniego biurka. Wciąż jest prezesem Instytutu Pamięci Narodowej – tyle że teraz jego instytutem jest cała Polska. To duży problem, bo dzisiaj Polska powinna być raczej Instytutem Przyszłości Narodowej. A prezydent powinien rano przy kawie skupiać się na tym, co możemy razem zrobić, a nie, co nam kiedyś zrobiono.

Nawrocki woli jednak przeszłość. Woli rozdrapywać rany, bo blizna, która się zagoiła, już nie boli, a przez to nie nadaje się na emocjonalne paliwo dla mas. On zaś paliwa potrzebuje, bo umie podgrzewać tylko jedną emocję – nienawiść – i na niej budować patriotyzm. W tym sensie jako prezes Instytutu Pamięci będzie miał zajęcie zawsze, bo krzywd w naszej historii nie zabraknie nigdy. Jako prezes Instytutu Przyszłości musiałby coś zaryzykować: zaufać, zaplanować, zbudować. A to nie jest tak emocjonalnie gorące.

Zatopieni w przeszłości

Najlepiej widać to myślenie w odebraniu Żelenskiemu Orderu Orła Białego. Dlaczego Nawrocki od razu wybrał taką reakcję? Bo jest ona jak zerwanie insygniów z munduru zdrajcy. To była pierwsza myśl człowieka, który świat dzieli na lojalnych i zdrajców, bo czyta ten świat wyłącznie kategoriami tego, co za nami, nie tego, co przed nami.

Żelenski, godząc się na nadanie jednostce imienia Bohaterów UPA, wykonał gest niewrażliwy na nasz ból i głęboko błędny, co polscy politycy wszystkich partii potępilili jednym głosem. Ale błąd i zdrada to dwie różne rzeczy. Błąd można przepracować, zdrada zamyka przyszłość. Tego zamknięcia dokładnie chciał Nawrocki i ten komunikat został zrozumiany w Moskwie lepiej niż gdziekolwiek indziej.

Nawrocki i jemu podobni są zatopieni w przeszłości, bo przyszłość wymaga rzeczy, które dziś uchodzą za słabe: przede wszystkim nadziei i współpracy. Gniew mobilizuje szybciej, nienawiść łączy ludzi mocniej niż jakikolwiek wspólny plan. Nadzieja każe czekać, planować, wierzyć w cudzą dobrą wolę, a to dzisiaj dla wielu wyborców prawicy dowód naiwności. Dlatego ich politycy nie umieją jednoczyć emocją pozytywną. Potrafią skleić ludzi już tylko jednym – ideą wielkiego wroga. Dlatego Nawrocki wybrał drogę najłatwiejszą, najefektowniejszą w mediach i dla Polski najgorszą.

A mógł inaczej. Mógł wygłosić wielką mowę, która zamieniłaby tę zniewagę w pokaz siły: że Polska jest na tyle pewna tego, kim jest, że nie niszczy wszystkiego, co nas łączy, przez jeden gest, który dzieli. Że pamiętamy o Wołyniu i nie zapomnimy nigdy i właśnie dlatego nie pozwolimy Moskwie zrobić z naszej żaloby swojej broni. Taka mowa byłaby dla Ukrainy jednoznaczna, dla Polski potwierdzająca jej pozycję, a Kremlowi

wi nie dałaby satysfakcji z pękniętego polsko-ukraińskiego sojuszu.

Godność osiłka w bramie

Polska już raz pokazała, jak można się zachować godnie, i to wobec krzywdy nieporównanie cięższej. W 1965 roku polscy biskupi napisali do niemieckich słynne: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, choć od Auschwitz dzieliło nas ledwie 20 lat. Komunistyczna władza odpowiedziała wtedy kampanią „Nie przebaczymy, nie zapominamy”, bo władzy, która karmi się wrogiem, pojednanie zawsze przeszkadza, choć nie jest zdradą pamięci, lecz jej najdojrzalszą formą.

Niestety, za wyborem Nawrockiego stanął pewien gorszy rodzaj rozumienia godności. Nie takiej, która jest spokojna pewnością siebie, ale tej wynikającej z niskiej narodowej samooceny. Agnieszka Golec de Zavala, która od lat bada narcyzm zbiorowy, opisuje go jako wiarę w wielkość własnej grupy i przekonanie o wyjątkowości, które trzeba bez końca potwierdzać cudzym aplauzem, a w jego braku lub, nie daj Boże, w przypadku krytyki – natychmiastową karą. To nie zdrowa duma, ale coś znacznie bardziej kruchego, coś, co każe widzieć zniewagę właściwie wszędzie.

To jest godność osiłka w bramie, który pyta: „Masz jakiś problem?”, a któremu lepiej nie patrzeć w oczy, bo każde spojrzenie bierze za pogardliwe albo wyzywające. Naród narcystyczny zbiorowo zachowuje się jak ten osilek i takiego narodu nasz prezydent jest dziś najgorliwszym reprezentantem. Narcyzowi zależy bowiem nie na realnym dobru wspólnoty, lecz na jej obrazie w cudzych oczach. Dlatego Nawrocki woli bronić obrazu pamiętanej krzywdy niż realnej polskiej przyszłości.

Tyłem do przodu

A że na celowniku jest dziś Ukraina, a nie Rosja – tego nie wytłumaczy żadna racjonalność poza jedną. Nienawiści do Rosji powiększyć się już nie da, bo jest u szczytu. W repertuarze nienawistników musi więc pojawić się ktoś nowy, z potencjałem rozbudzenia właściwych emocji. Ukraińcy nadają się znakomicie, bo – jak kiedyś mniejszość żydowska – są „bliskim obcym”: trochę naszym, ale nie całkiem. Są pod ręką, łatwo o gest, po którym można zapytać: „Masz jakiś problem?”, a potem zaatakować, bo nie chroni ich przynależność do wspólnoty.

Nawrocki, skupiając się na naszej pamięci, podkopuje naszą przyszłość. Jego zwolennicy cieszą się tym, że dzięki odebraniu orderu świat znów usłyszał o Wołyniu. Problem w tym, że ten sam gest zwiększa ryzyko, że coś równie strasznego jak Wołyń kiedyś się powtórzy – na przykład ze strony Rosji. Do bezpieczeństwa potrzeba nam dziś bardziej niż pamięci o latach 40. XX wieku dobrej współpracy z Ukrainą przeciw Rosji – na lata 30. i 40. wieku XXI.

Oprócz pytania, co z Polakami zabitymi na Wołyni, proponując zaatakować drugie: co zrobić, żeby zabitych Polaków nigdy więcej nie było? Pierwsze zadaje prezes Instytutu Pamięci. Drugie zadalby prezes Instytutu Przyszłości, gdybyśmy go mieli. To, co zrobił Żelenski, wymagało interpretacji, by uznać to za krzywdzące. Sam Nawrocki mówił kiedyś, że każdy naród ma swoich bohaterów – przecież my także hołubimy postaci, eufemistycznie mówiąc, niejednoznaczne, jak „żołnierze wyklęci”. Jednak tego, co zrobił Żelenskiemu Nawrocki, interpretować nie trzeba: to gest wprost wrogi – i to wrogi nie tylko Kijowowi, ale także naszej własnej przyszłości. A prezydent, któremu przeszłość zasłania to, co przed nami, każe Polsce iść przed siebie tyłem. Zwykle kończy się to uderzeniem w ścianę bądź bolesnym upadkiem. ●

Przyczynki Przydacza

Minister Przydacz potrafi zagmatwać zdanie – wydawałoby się – niezagmatywalne. Pytany cztery razy o obecność przy jakichś wydarzeniach nie odpowiadał po prostu: „Mnie tam nie było”, za każdym razem mówił „Ja tam nie byłem”.



Michał Rusinek

W czasie wizyty Karola Nawrockiego w Waszyngtonie odbył się tzw. briefing Marcina Przydacza, szefa Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP. Analizę merytoryczną jego wypowiedzi zostawmy politologom. Przyjrzyjmy się jej językowi, bo jest on godny podziwu.

PO PIERWSZE, ulubionym słowem Przydacza okazuje się „przyczynek”. Pojawiło się już w pierwszym jego zdaniu: „Głównym przyczynkiem do tej wizyty było zaproszenie, jakie prezydent Stanów Zjednoczonych, pan Donald Trump, wystosował wobec prezydenta Karola Nawrockiego”. Przyczynek to załączek lub wydarzenie będące załączkiem lub zapowiedzią czegoś. Przydacz traktuje, jak widać, zaproszenie jako wydarzenie, żeby móc posłużyć się swoim ulubionym słowem. W dodatku uważa, że zaproszenie wystosowuje się wobec kogoś, choć prościej byłoby do kogoś. Ale Przydacz albo nie chce, albo nie umie prościej.

Ale nie zniechęcajmy się. Słuchajmy dalej: „Wczoraj [...] obserwowałeś państwo duże wydarzenie natury sportowej, ale śmiem twierdzić, że można mówić o wielkim »show« [...]. Show sportowe [jest] oczywiście ważnym elementem, skupiającym uwagę, świętującym 250. rocznicę funkcjonowania Stanów Zjednoczonych, ale to także przyczynek do ważnych dyskusji politycznych”. Owszem, gala MMA była wydarzeniem skupiającym uwagę, ale nie ona świętowała, tylko była, skądinąd dość kuriozalną, formą świętowania. Dla Przydacza była jednak przyczynkiem, już drugim, tym razem do dyskusji. Był też i trzeci przyczynek Przydacza, bo „pan prezydent [...] był obecny na samej recepcji wydawanej przez prezydenta Stanów Zjednoczonych [...]”. Tak to się po angielsku nazywa: »recepca«, ale tak naprawdę po polsku można to nazwać kolacją, bankietem [...]. Ten bankiet był także przyczynkiem, by rozmawiać długo i szeroko o tematach ważnych dla Polski i Polaków”. „Recepca” jest zupełnie niepotrzebną kalką z języka angielskiego, kojarzącą się z hotelarstwem – która w dodatku uruchamia niepożądane konteksty z biografii pana prezydenta. „Reception” to po polsku po prostu przyjęcie, które fonetycznie jakże pięknie by brzmiało obok przyczynku.

PO DRUGIE, minister Przydacz spolszczył angielski czasownik „to task someone”, ale nie jako „przydzielić komuś określone zadanie”. Powiedział: „Pan prezydent Karol Nawrocki po powrocie zaprosi [ministra Kosiniaka-Kamysza], tak, aby móc się podzielić tymi informacjami, które otrzymał w Waszyngtonie, a z drugiej strony zadaniować wzajemnie stronę rządową, aby móc wypełniać konkretne kroki, które nas przybliżą do zwiększonej obecności amerykańskiej”. Stajemy tu przed dylematem: czy starać się rozsypać tę składniową płataninę, czy raczej podziwiać jej kunsztowny w swej nonszalancji supel. Nie przypuszczaliśmy, że kroki można wypełniać, choć wypełnialiśmy już kiedyś kamienie

milowe, więc powinniśmy się byli przyzwyczaić. W innym zdaniu Przydacz powiedział, że „trzeba wypełnić tę deklarację konkretnymi poddecyzjami o charakterze strategiczno-planistycznym”. Tutaj mamy do czynienia z figurą zeugmy: „wypełnić deklarację” oznacza spełnić zawarte w niej obietnice, ale Przydacz uważa, że deklaracje można wypełniać czymś. Nie wiemy co to są „poddecyzje” i jak się mają do decyzji, ale chyba wolimy tego nie wiedzieć.

Najważniejsze jest tu „zadaniowanie”, bo to odważna próba posłużenia się nowym czasownikiem (pojawiał się on już w wcześniej, acz sporadycznie, w wypowiedziach osób związanych ze służbami specjalnymi: agenta można „zadaniować” lub „zalegendować”), który zarazem pokazuje, jak Przydacz wyobraża sobie współpracę między prezydentem a rządem. Takiej kompetencji nie ma zapisanej w konstytucji także dlatego, że w czasie, kiedy powstał tekst ustawy zasadniczej, nie było jeszcze czasownika „zadaniować”. Wydaje się natomiast, że minister Przydacz w trakcie konstruowania wypowiedzi przypomniał sobie o konstytucyjnym podziale kompetencji (w końcu jest prawnikiem), bo złagodził wypowiedź dookreślając „zadaniowanie” jako „wzajemne”. I tym samym jeszcze bardziej ją zagmatwał.

PO TRZECIE, minister Przydacz potrafi zagmatwać zdanie – wydawałoby się – niezagmatywalne. Pytany cztery razy o swoją obecność przy jakichś wydarzeniach nie odpowiadał po prostu: „Mnie tam nie było”, a za każdym razem mówił „Ja tam nie byłem”.

Może to być znowu kalka z angielskiego – która może się przytrafić komuś, kto jest akurat w anglojęzycznym kraju i musi mówić po angielsku – ale podobno skłonność do nieposkromionego posługiwania się zaimkiem „ja” charakteryzuje pewien typ osobowości.

PO CZWARTE, minister Przydacz okazał się orędownikiem prawa do „autodefiniowania” samych siebie. Chodziło mu o Zbigniewa Ziobrę i jego nową rolę dziennikarza: „Jeśli chodzi o bycie dziennikarzami, to można się zastanowić, czy są dziennikarzami ci, którzy się [tak] autodefiniują. Kwestia autoidentyfikacji każdego człowieka jest jego indywidualną sprawą. To jest bardzo niebezpieczne – tu zwrócił się do dziennikarza – jeśli pan odmawia ludziom autoidentyfikacji. Nie jest moją rolą, żeby decydować o tym, kto kim jest: jaką ma pleć... Chyba że pan chce decydować o tym, jaką kto ma pleć?”. Zapamiętajmy sobie tę deklarację pana ministra, bo być może trzeba mu ją będzie kiedyś przypomnieć.

PO PIĄTE, posłuchajmy tego zdania: „Dzisiejsza koalicja rządząca [...] stara się zamykać oczy na realne problemy, a jednocześnie kreować wytworzone problemy”. Nie wiemy, jak można wykreować coś już wytworzonego (podobnie jak wytworzyć coś już wykreowanego). Zwróćmy za to uwagę, że aspekt imiesłowu zemścił się na Przydaczu: skoro problemy były już wytworzone, a nie są właśnie wytwarzane, to może wytworzyła je wówczas koalicja rządząca, ale poprzednia? Wówczas nie trzeba ich kreować, bo już istnieją.

PO SZÓSTE, na koniec minister Przydacz zapytany o to, jak prezydent podchodzi do uszczypliwości ze strony szefa polskiej dyplomacji, odpowiedział: „To wyraz jakiejś frustracji po stronie pana ministra Sikorskiego. Rozumiem, że ma jakiś ból wewnętrzny w sobie. Już nie chcę tutaj wchodzić w szczegóły anatomiczne”.

Pewnie chodziło mu o frustrację ze strony, a nie po stronie i z pewnością chodziło mu o zadomowione już od dawna w polszczyźnie kolejne zapożyczenie z angielskiego: „but-thurt”. Niestety nie ma w angielszczyźnie równie zabawnego i subtelnego określenia na ból uszu. A szkoda, bo słuchanie ministra Przydacza dostarcza go nam w nadmiarze. ●

Jestem Ukrainką i polską patriotką

Wszystko wskazuje, że to Moskwa nam wybrała Wołyń jako symbol wspólnej historii Polski i Ukrainy

Z PROF. OŁĄ HNATIUK
ROZMAWIA AGNIESZKA KUBLIK

FOT. SYLVIA PENC / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak się pani czuje w Warszawie latem 2026 roku ze swoją ukraińskością?

– Zawsze mniej więcej tak samo, to się nie zmienia – dobrze, choć łatwo nie jest.

Jestem obywatelką polską. Ukrainką – to mój wybór. Bo tożsamość jest wyborem. Moim pierwszym językiem był język polski. Ukraińskiego tak naprawdę nauczyłam się dużo, dużo później, już jako osoba dorosła. I tylko trochę zawdzięczam to rodzicom.

Przyjęta w styczniu 2005 roku w ramach zmian w ustawodawstwie polskim niezbędnym dla członkostwa w Unii Europejskiej ustawa o mniejszościach narodowych gwarantuje mi taki wybór. Moja ukraińska tożsamość nie jest sprzeczna z byciem obywatelką RP. Moi rodzice byli obywatelami polskimi, moi dziadkowie z jednej strony poddani Imperium Rosyjskiego, z drugiej – Austro-Węgier. Podobnie jak znacznej części obywateli polskich.

Tato urodził się we wsi w powiecie hrubieszowskim w Masłomęczu, małej, mało znanej miejscowości, a dziś sławnej, przynajmniej wśród archeologów, bo znaleziono tam cmentarzysko Gotów z początków naszej ery. A tato mi opowiadał, że wykopywał z ziemi różne dziwne groty, kiedy pomagał ojcu w gospodarstwie, dosłownie może z 200 metrów od ich domu. Cieszył się jak dziecko, kiedy dokonano tego odkrycia w latach 1970. Tęsknił do swej rodzinnej miejscowości, z której go wygnano.

Rodzina ojca przeżyła trzy deportacje: w 1915, 1945 i 1947 roku. Pierwsza miała miejsce podczas od-

wrotu wojsk rosyjskich wycofujących się pod naporem Niemców. Nieruchomości i uprawy Rosjanie zniszczyli, stosując taktykę spalonej ziemi. Rewolucję rodzina taty przeżyła w głębi Rosji. Może jedna czwarta ocalała.

Wrócili do rodzinnego Masłomęcza, gospodarowali, tato założył sad. Zniszczenie ich cerkwi w 1938 roku, jednej wśród 15 prawosławnych świątyni w powiecie hrubieszowskim, było dla nich ciosem. Potem przyszły następne: wojna, Zagłada – ukrywali dziecko, które powierzyła ich opiece żydowska rodzina i zabrała, gdy Niemcy pędzili Żydów z hrubieszowskiego getta w nieznanym kierunku – terror ze strony polskiego podziemia, Ludowego Wojska Polskiego i Armii Czerwonej.

Kolejną deportację w 1945 roku przeprowadzono na mocy umowy między rządem Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej a ówczesnej komunistycznej Polski. Znaleźli się po drugiej stronie Bugu, który od tamtego czasu był rzeką graniczną. Nie mieli na czym gospodarzyć. Uciekli stamtąd, by wrócić do swojej rodzinnej miejscowości. Trzecia deportacja to maj 1947 roku – akcja „Wisła”. Tej mój dziadek już nie przeżył. Zmarł w niecały rok.

Historia mojej mamy jest inna, ale nie mniej dramatyczna. Urodziła się we Lwowie 18 września 1939 roku – symboliczna data. Potem aresztowanie dziadka przez sowietów, ciężkie pobicie, nie wyszedł z tego. Pochowano go we Lwowie na Łyczakowie. Przed wojną był sekretarzem Sądu Apelacyjnego we Lwowie. Uważał się za Polaka. W księgach metrykalnych pod tym samym

nazwiskiem – Lewkowski – od XVII do końca XVIII wieku występują grekokatolicki księża, a więc, wedle ówczesnej nomenklatury – Rusini.

Natomiast moja babcia była prawosławną Ukrainką. W warunkach wojny przyjęła tożsamość polską. Po „wyzwoleniu” sowieckie władze zmusiły ją do opuszczenia domu we Lwowie. Potem, na mocy tejże umowy z 1945 znalazła się wśród „repatriantów” i trafiła na ziemię zachodnią. Aż do przejścia na emeryturę nie miała własnego kąta.

Podsumowując: tak, mam ukraińskie korzenie, wiele ludzi w Polsce ma różne korzenie.

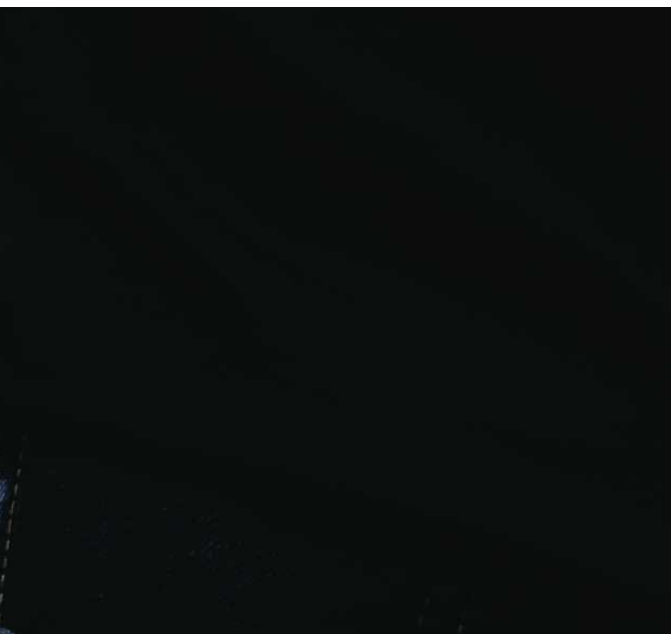
Dziś to może być problemem. Zaczynają padać pytania o pochodzenie.

– To jest problemem, ale nie moim. Ja z tym nie mam problemu. To społeczeństwo polskie ma z tym problemem.

Jaki?

– To problem z tolerancją i z pamięcią o tym, że Rzeczpospolita była domem nie tylko Polaków, choć w okresie międzywojennym z „nie-Polaków” uczyniono obywateli drugiej kategorii.

„Piastowski mit” narzucony przez peerelowską propagandę miał za zadanie zrównać wszystkich, stworzyć iluzję społeczeństwa jednolitego. Na podobnej zasadzie jak w ZSRR tworzone „człowieka sowieckiego”. A to, że wykorzystano przy tym patriotyczne hasła, nie zmienia faktu – chodziło o to, by ludzie się bali inności.



my w rodzaju „Ogniomistrz Kaleń” oparty na „Łunach w Bieszczadach” Jana Gerharda też miały w tym swój udział. Nie mniejszy niż o pół wieku późniejszy „Wołyń” w oparciu o opowiadania Stanisława Srokowskiego pod zmiennym tytułem „Nienawiść”.

Wróć jednak do chronologii: czasy Solidarności przyniosły zmianę klimatu, a to dzięki działalności i otwartości demokratycznej opozycji. Część Ukraińców w Polsce traktowała to z nieufnością, ale znakomita większość wierzyła, jak większość Polaków, że możliwa jest demokratyzacja systemu. To wtedy, jesienią 1981, powstało posłanie do narodów Europy Wschodniej. Historyczny dokument: „Solidarność” wzywała kraje bloku sowieckiego do wspólnej walki o demokrację. Wielka nadzieja na odzyskanie wolności, podmiotowości, godności skłaniała do myślenia o wspólnocie losów.

Później, podczas stanu wojennego zaczęła się straszliwa nagonka na Ukraińców. Nie mam wątpliwości, że wskazówka nadeszła z Moskwy. Chodziło o niedopuszczenie do polsko-ukraińskiego porozumienia, które stanowiło potencjalne zagrożenie dla imperium. Prym w tym wiodł „historyk” Edward Prus, autor antyukra-

Wisła nie nosiła znamion zbrodni. Podkreślam: mowa o czystce etnicznej na obywatelach polskich, wobec których zastosowano zasadę zbiorowej odpowiedzialności.

Po ogłoszeniu niepodległości przez Ukrainę w 1991 roku Polska była pierwszym krajem, która ją uznała. Od tamtej pory można mówić o stosunkach między dwoma suwerennymi podmiotami prawa międzynarodowego.

Oprócz relacji na poziomie państwowym zaczął się dialog na poziomie elit. W maju 1990 roku odbyło się pierwsze spotkanie polskich opozycjonistów z ukraińskimi. W 1994 roku zaczęły się cykliczne seminaria historyków polskich i ukraińskich, gdzie dyskutowano nie tylko o drugiej wojnie światowej.

Bo nasza historia to nie jest tylko Wołyń 1943. Niestety, dziś z całej tysiącletniej historii wybiera się Wołyń.

Kto wybiera?

– Kto? Wszystko wskazuje, że to Moskwa nam wybrała. Zrobili wszystko, by dziś dla większości polskiego społeczeństwa cała wspólna historia Polski i Ukrainy sprowadziła się do Wołynia. Obawiam się, że mało kto

Kompromis tylko w jednym przypadku nie jest możliwy: gdy nie ma takiej woli. Jak w starym, niekoniecznie idealnym małżeństwie. Pokłóciliśmy się o coś, co dzisiaj wydaje nam się arcyważne, ale czy to jest powód do rozwodu?

iniskich pamfletów. Emitowano programy telewizyjne, prasa tropiła „ukraińskich nacjonalistów”.

A tymczasem zarówno w kraju, nieoficjalnie, w podziemiu, w podziemiach kościołów, a także na emigracji trwały wysiłki na rzecz polsko-ukraińskiego porozumienia i pojednania.

W 1987 roku w Rzymie na zaproszenie Jana Pawła II odbyło się pierwsze spotkanie polskiego episkopatu z biskupami ukraińskiej cerkwi greckokatolickiej. To były działania wspólnoty religijnej, ale dotyczyły również laikatu.

Czuliśmy jedność i chęć wspólnej rozmowy. Po historycznym spotkaniu episkopatów, w 1988 roku rocznicę Tysiąclecia Chrztu Ukrainy obchodzono zarówno w Rzymie, jak i w Polsce. Nie gdzie indziej jak w Częstochowie, na Jasnej Górze.

A potem nadszedł rok 1989...

– ...tak, przełomowe wybory, komuniści oddają władzę, a w Sejmie znajduje się miejsce dla przedstawiciela mniejszości. To było niesłychanie ważne – przedstawiciel ukraińskiej mniejszości w polskim Sejmie!

Rok 1991: papież Jan Paweł II przyjeżdża do Polski, odwiedza Przemyśl – i nagle okazuje się, że mimo jego autorytetu katolicy odmawiają zwrotu katedry odebranej grekokatolikom w 1946 roku po likwidacji Kościoła Grekokatolickiego przez sowieckie władze. Niestety, nie tylko katedry nie zwrócono, ale doszło do wandalizmu – zniszczono charakterystyczne dla obrządku bizantyjskiego kopuły. Dokładnie tak, jak w PRL usiłowano zatrzeć ślady ukraińskości na ziemiach wschodnich, zmieniając ukraińsko brzmiące nazwy miejscowości na obszarze południowo-wschodniej Polski.

A przecież był to rok 1991, Polska od dwu lat wolna, papież wypowiada znamienne słowa: „świętujmy wyście ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego z katekumb”.

Takich zadr na początku lat 90. było sporo, ale to nie były rzeczy nie do przezwyciężenia. W 1990 roku Senat uznał akcję „Wisła” za zbrodnię komunistyczną. W uchwale senatorowie „potępił akcję »Wisła«, w której zastosowano – właściwą dla systemów totalitarnych – zasadę odpowiedzialności zbiorowej”. A na koniec padły te słowa: „Senat Rzeczypospolitej Polskiej dążyć będzie do tego, by naprawione zostały – na ile to możliwe – krzywdy powstałe w wyniku tej akcji”.

To dawało podstawę do poprawy naszych stosunków. Wreszcie można było oddychać swobodniej. Choć od razu dodam, że krzywd nie naprawiono, wiele ofiar nadal nie ma mogił, a prokurator IPN uznał, że akcja

Obywatelom z inną niż centralno-polska tożsamość pozostawało kultywowanie tradycji i pamięci w rodzinnym gronie albo wyjazd z Polski. Dlatego tak łatwo było o skandal wokół wystawy „Nasi chłopcy”, przypominającej o tragicznych losach tych, którzy zostali wcieleni do Wehrmachtu, nie mówiąc już o historii z „działkiem z Wehrmachtu”.

Stosunek Polaków do Ukraińców zmienia się. Pani ma doświadczenia jeszcze z PRL.

– Rzeczywiście, moja perspektywa obejmuje ponad pół wieku i mogę mówić zarówno o pozytywnych zmianach, jak i o negatywnych doświadczeniach. Najgorzej było chyba w połowie lat 1980, choć moja pamięć jako dziecka sięga przełomu lat 60. i 70.

Po 1956 roku władze zezwoliły na działalność towarzystw mniejszości narodowych. Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne co roku organizowało akademie czy też koncert poświęcony Tarasowi Szewczenko. Uroczystości odbywały się w różnych miejscach, między innymi w Teatrze Żydowskim, wówczas jeszcze przy placu Grzybowski. To jeden z przykładów współpracy między mniejszością żydowską a ukraińską.

Na co dzień jednak Ukraińcy ukrywali tożsamość, gdyż antyukraiński stereotyp powodował stygmatyzację. Propaganda wpływała nawet na dzieci – poprzez szkolne lektury, jak na przykład „Ślady rysich pazurów” pełne antyukraińskich treści. Literatura z popularnej historycznej serii „Tygrysa”, która miała trafiać jak najszerszej, Ukraińców przedstawiała jako bandytów. Fil-



Profesor Ola Hnatiuk

• Ukrainistka, tłumaczka, eseistka i pisarka, popularyzatorka kultury ukraińskiej. W latach 2006–10 była radcą polskiej ambasady w Kijowie. Pracowała w Instytucie Sławiistyki PAN i w Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Odznaczona orderem Polonia Restituta.

FOT. DAVID ŻUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

w Polsce śledzi ten właśnie wątek rosyjskiej propagandy i wpływu.

Wracam jednak do chronologii: lata 90. oczywiście były trudne dla wszystkich, bo nasze społeczeństwa gwałtownie zubożały. Ale otworzyły się granice i coraz więcej Ukraińców przybywało do Polski. Dużo Polaków wędrowało po Ukrainie, nie tylko szlakami Sienkiewicza. Te osobiste spotkania mają ogromne znaczenie, przecinają się wspólne pola kulturowe, religijne, ekonomiczne. Stopniowo poprawiał się wizerunek Ukraińca – od drugiego miejsca od dołu powoli przesunął się w górę.

W czerwcu 2001 roku Jan Paweł II przybył z wizytą do Kijowa i Lwowa. Miała ona absolutnie przełomowe znaczenie dla sprawy pojednania, słowa papieża, które wtedy padły... Mogę przytoczyć.

Poproszę.

– „Niech dzięki oczyszczeniu pamięci historycznej wszyscy gotowi będą stawiać wyżej to, co jednoczy, niż to, co dzieli, żeby razem budować przyszłość opartą na wzajemnym szacunku, braterskiej współpracy i autentycznej solidarność”.

Zacytuję też wypowiedziane w trakcie wizyty papieskiej słowa metropolity Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego Lubomira Huzara: „Historia naszego Kościoła w minionym stuleciu znała także ciemne i tragiczne duchowo momenty. Polegały one na tym, że niektórzy synowie, podkreślam niektórzy synowie i córki ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego, ku naszemu ogromnemu żalowi, świadomie i dobrowolnie wyrządzili krzywdę swoim bliźnim. Spośród swego narodu czy innych narodów. Za wszystkich nich, w Twojej obecności, Ojciec Święty, pragnę w imieniu ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego prosić o przebaczenie Pana Stworzyciela i Ojca nas wszystkich, a także o przebaczenie tych, których w jakiś sposób skrzywdziliśmy my, synowie i córki naszego Kościoła, żeby już nie ciążyła na nas straszliwa przeszłość i nie utrudniała naszego życia. Chętnie przebaczymy tym, którzy w jakiś sposób skrzywdzili również nas”.

W lipcu 2003 roku Rada Najwyższa Ukrainy i Sejm RP wydały Oświadczenie w związku z 60. rocznicą tragedii wołyńskiej. Proszę zwrócić uwagę na brzmienie tytułu tego dokumentu. I porównać to sformułowanie z przyjętymi 20 lat później. Tamto oświadczenie było oczywiście kompromisem, wiadomo, z kompromisu nikt nie jest zadowolony, ale wydawało się, że to symboliczne zamknięcie trudnego rozdziału historycznego i oddanie hołdu pomordowanym.

Rok później Polska przystąpiła do Unii Europejskiej.

– A elementem polskiej strategii akcesji były dobre stosunki z sąsiadami, w szczególności z Ukrainą. Polska była adwokatem Ukrainy.

Tyle że po akcesji polsko-ukraińskie strategiczne partnerstwo stopniowo słabło. Kryzys się zaczął mniej więcej w 2008 roku. Zerwano seminaria polsko-ukraińskie, nie udało się doprowadzić do wspólnego projektu badawczego i kontynuowania dialogu już w ramach wspólnej pracy. Dla przeciętnego Ukraińca zaszła fundamentalna zmiana: wprowadzono wizy.

Mniej więcej wtedy zaczęło się zmieniać w Polsce myślenie polityczne, coraz częściej podważano koncepcję wschodniej polityki wypracowaną przez Jerzego Giedroycia [słynny emigracyjny wydawca, działacz i myśliciel, autor doktryny, że warto zapomnieć o rachunku krzywd, bo niepodległa Ukraina to gwarancja niepodległości Polski] i Ludwika Mieroszewskiego. Stopniowo myśl polityczną zaczęła wypierać polityka historyczna. Zabrakło wizji przyszłości.

Można by powiedzieć: co w tym dziwnego? Osiągnięto przecież strategiczny cel, jakim była integracja z zachodnim światem. Ukraina zaś, nie tylko z winy własnych elit politycznych, coraz wyraźniej stawiała się częścią „szarej strefy”, czy może spychana była do partnerstwa wschodniego, czyli w gruncie rzeczy strefy wpływów Rosji. W Stanach, a potem w Polsce ogłoszono „reset” w stosunkach z Rosją.

Paradoksalnie nastąpiło to po zwycięstwie „pomarańczowej rewolucji” w Kijowie i wielkim zrywie polskiego społeczeństwa obywatelskiego.

Dalej w chronologii błędów był rok 2010 i dekret ustępującego prezydenta Wiktor Juszczeki [jeden z liderów Pomarańczowej Rewolucji, która w 2004 roku wyrwała Ukrainę z postsowieckiej orbity, gdy w 2005 roku został prezydentem, obrał prozachodni kurs] przyznający tytuł bohatera Stepanowi Banderze za „niezlomny duch w służbie idei narodowej, bohaterstwo i poświęcenie w walce o niezależne państwo ukraińskie”.

I rozpętało się piekło. Polscy europosłowie nie zawahali się apelować w tej sprawie na forum międzynarodowym, w Parlamencie Europejskim. Ta uchwała wywarła bardzo złe wrażenie w Ukrainie. Zaufanie, mozołnie budowane przez polską emigrację, zwłaszcza Giedroycia i środowisko „Kultury”, przez ukraińską emigrację w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, przez hierarchię kościelną, przez polityków niepodległych już krajów, zostało poważnie nadszarpnięte.

Cóż, Bandera to dla Polaków postać negatywna. Terrorysta, który organizował zamachy na przedstawicieli władz pol-

skich, jest odpowiedzialny za zbrodnie popełnione przez OUN i UPA na Polakach w czasie wojny.

– Nie zamierzam wchodzić w rolę oskarżyciela ani obrońcy – to ślepy zaulek. Terroru nie wolno usprawiedliwiać. Wolno natomiast odróżniać mity od faktów.

Bandera był Ukraińcem, obywatelem polskim. Po zamachu na ministra Pierackiego, oskarżony o współudział w jego organizacji, spędził cztery lata w więzieniu. Na wolności znalazł się po tym, jak w obliczu upadku państwa otwarto więzienie w Brześciu we wrześniu 1939 roku. W lipcu 1941 roku Bandere aresztowali Niemcy; resztę wojny pozostawał w obozie Sachsenhausen. W 1959 roku został zamordowany przez Ukraińca, sowieckiego agenta. Można zatem mówić o politycznej czy moralnej odpowiedzialności za zbrodnie Bandery jako przywódcy tego odłamu OUN. Niczym więcej.

Sprowadzenie całego ukraińskiego ruchu narodowego w okresie międzywojennym do OUN to fałszowanie historii. Absolutna większość to nurt demokratyczny. Ukraińska społeczność w swej masie odrzucała terror jako metodę walki. Warto też umieć przyznać: państwo polskie bezwzględnie zwalczało ukraińskie aspiracje niepodległościowe.

Nolens volens, przedwojennymi obywatelami polskimi byli zarówno członkowie OUN, jak też Ukraińskiej Powstańczej Armii. A OUN w latach 1930 stosowała terror nie tylko wobec przedstawicieli władz polskich, ale również wobec ukraińskich działaczy. Mordowano też tych członków własnej organizacji, których uznano za konfidentów.

W latach 1940 i na początku 1950 UPA walczyła z Niemcami, sowieckimi partyzantami, z oddziałami NKWD. W latach 1943–45 oddziały UPA dopuściły się zbrodni na polskiej ludności cywilnej.

Dziś w Ukrainie pamięta się o UPA jako tej formacji, która najdłużej walczyła z sowiecką władzą. W Polsce kojarzy się ją wyłącznie ze zbrodniami. W obu przypadkach to czarno-biały obraz, bardzo daleki od rzeczywistości.

Nie można też tracić z pola widzenia tła, na jakim się to wszystko rozgrywało – geopolityczna rozgrywka o Europę Wschodnią w okresie międzywojennym i II wojna światowa. Mam wrażenie, że w Polsce w ogóle zapomniano o skali zbrodni podczas drugiej wojny światowej. To już w ogóle nie istnieje. Tylko Wołyń.

Istnieje, jest dla Polaków ważna i stale obecna w publicznych debatach. Antyniemieckie nastroje roznecają chuligani, skrajni pravicowi populiści. I z tej pamięci bierze się nieufność wobec Rosji, nasza silna odporność na putinowską propagandę.

– Nie powiedziałabym, że mamy silną odporność na putinowską propagandę. Nie wątpię

natomiast, że antyniemieckie nastroje również są wykorzystywane. Jednak nie w tym stopniu jak Wołyń.

Może w tym momencie tak, ale przecież Jarosław Kaczyński nazywa premiera polskiego rządu niemieckim zdrajcą – i to uruchamia emocje wyborców. Pamięta pani, że podczas kampanii prezydenckiej w 2005 roku Tusk przegrał z Lechem Kaczyńskim, bo za sprawą PiS pojawiły się nieprawdziwe informacje, że jego dziadek służył w Werhmachcie. Więc nie jest tak, że zafiksowali się tylko na traumach, krzywdach doznanych od Ukraińców.

– Pamiętam oczywiście „dziadka z Wehrmachtu”, zresztą wspominałam o przyczynach, dla których było to możliwe.

Tu warto wspomnieć o innym kontekście towarzyszącym kampanii prezydenckiej w Polsce w 2005 roku. W ukraińskiej kampanii wyborczej w 2004 roku rosyjska propaganda zrobiła z ojca Juszczeki kolaboranta. Ojciec Juszczeki był więźniem Auschwitz. Ale już sam fakt, że się znalazł w niemieckim obozie, posłużył jako metoda skompromitowania go w oczach Ukraińców pamiętających groźbę wojny, zniszczenia dokonane przez hitlerowców. Ta metoda została skopiowana w Polsce rok później.

Putin to nam podrzucił?

– To był ten sam wzorzec.

W maju prezydent Zelenski na wniosek żołnierzy elitarniej jednostce nadaje imię bohaterów UPA. Miał prawo, ale konsekwencje chyba były do przewidzenia, skoro raptem kilkanaście lat wcześniej Polacy – w spokojniejszych, mniej szarpiących nerwy czasach – tak ostro zareagowali na Juszczekę z Bandera.

– To był błąd.

To była świadoma decyzja prezydenta Ukrainy?

– Tak myślę. W przeciwnym razie trzeba by mówić o niekompetencji.

Zelenski mógł tej prośby weteranów nie spełnić?

– Nie.

Spodziewała się pani takiej hysterii w Polsce?

– Tak. Ale myślałam, że do odebrania Orderu Orła Białego nie dojdzie, bo to byłoby bardzo nieroztropne. Po obu stronach mamy do czynienia z emocjami. Tylko że jedna ma poważne usprawiedliwienie – w centrum uwagi pozostaje wojna, w której codziennie giną nie tylko żołnierze, ale i ludność cywilna.

Ten sam Karol Nawrocki, który dziś odbiera order, jako szef IPN w 2023 roku mówił: „Ukraińcy mają prawo wybierać swoich bohaterów, nawet jeśli jest to Stepan Bandera. Polacy nie będą wybierać patronów ukraińskich ulic”.

– Pozwoli pani, że nie skomentuję. Wrócę do szerszej perspektywy i powiem tak: w którymś momencie przedstawiono zwrotnicę.

Kto przestawił?

– Jeśli prześledzić, co równoległe działo się w Polsce, w Ukrainie i w Rosji, to widać zbieżność w czasie.

W 2010 roku, po dekrety prezydenta Juszczeki, niemalże równocześnie pojawiła się wspomniana uchwała Parlamentu Europejskiego, a pierwszy program rosyjskiej telewizji wyemitował „dokumentalny” film „Pomarańczowe dzieci Trzeciej Rzeszy”. Zmieszano w nim z błotem nie tylko Juszczekę, ale i jego żonę, Amerykankę z pochodzenia, i jej przyjaciółkę Paulę Dobrianską. Chodziło o całkowitą dyskredytację zarówno ukraińskiej niepodległości, jak też działań powojennej ukraińskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych na jej rzecz. Ukraińska emigracja została przedstawiona jako zgraja kolaborantów i zbrodniarzy wojennych. Podobny język słyszemy dziś w Polsce. Jakbyśmy wrócili do PRL, do lat 80.

Inna rzecz, że to szerokie zjawisko, dziś nie chodzi tylko o Ukraińców, trwa straszliwe szerzenie się nienawiści do wszystkich „innych”. Mam podpalenia, pobicia, pseudopolicyjne patrole, które wypatrują na Dworcu Centralnym ludzi mówiących innym językiem, o innym kolorze skóry.

– To jest przerażające. Nie tylko to, że w społeczeństwie polskim jest na to przyzwolenie, ale przede wszystkim przeraża brak reakcji władz. Podszycanie się pod funkcjonariuszy policji czy straży granicznej nie tylko jest karalne, jest skrajnie niebezpieczne dla władzy państwowej.

Był możliwy kompromis w sprawie orderu Zelenskiego?

– Kompromis tylko w jednym przypadku nie jest możliwy: gdy nie ma takiej woli. Jak w starym, niekoniecznie idealnym małżeństwie. Pokłóciliśmy się o coś, co dzisiaj wydaje nam się acyważne, ale czy to jest powód do rozwodu?

Pani się urodziła 11 listopada.

– To jakoś symboliczna dla mnie zbieżność dat. Kiedy to święto w PRL-u było zakazane, przekornie żartowałam: są ludzie szlachetnie urodzeni, a ja jestem patriotycznie urodzona.

I nikt mi nie wmówi, że, będąc Ukrainką, nie jestem polską patriotką. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015



W sprzedaży!

TEMAT NUMERU:

ROZMOWY, KTÓRE RATUJĄ ZWIĄZKI

oraz:

- Pułapki terapii
- Czy można być szczęśliwym bez seksu
- Niewygodne pytania w związkach

żyć lepiej
psychologia codziennie

Więcej o psychologii
czytaj na
wysokiebcasy.pl/zyclepiej

SAMOCHWAŁA W KĄCIE STAŁA

„Wypychają nas”.
W co grają Brytyjczycy, Ukraińcy i Macron z Tuskiem?



• Premier Szwecji Ulf Kristersson i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełeński z wizytą w bazie flotyli lotniczej F16 w Uppsali (28.05.2026) FOT. CHRISTINE OLSSON/TT NEWS AGENCY/VIA REUTERS

Mateusz Mazzini

Przybywa sygnałów wskazujących, że tym razem rzeczywiście wojna może zostać zamrożona. I Rosjanie, i Ukraińcy mają powody, by akurat teraz usiąść do stołu negocjacyjnego.

I tu zaczynają się problemy, bo do owego stołu chciałoby dosiąść się inne państwa – a to już nie każdemu się podoba.

Kijów intencję zatrzymania działań wojennych komunikuje dość otwarcie. Kyryło Budanow, były szef ukraińskiego wywiadu, dzisiaj szef kancelarii Wołodymyra Zełeńskiego, powiedział na początku czerwca, że taki scenariusz jest „jak najbardziej realistyczny”. Potwierdził też, że instrukcję doprowadzenia do zawiesze-

nia broni przed zimą przekazał mu sam prezydent.

Ukraińskie stanowisko akurat łatwo zrozumieć. Od kilkunastu tygodni sytuacja na froncie przechyla się lekko, lecz systematycznie, na ich korzyść. Ataki na rosyjskie rafinerie i inne elementy krytycznej infrastruktury energetycznej przynoszą skutek. Do tego stopnia, że Rosjanie nie zyskali dywidendy finansowej z powodu wzrostu cen ropy na światowych rynkach w wyniku blokady cieśniny Ormuz. Nie przypadkiem Zełeński unieszkodliwianie kolejnych rafinerii określa mianem „ukraińskich sankcji”.

Jak wynika z informacji ujawnionych przez niemieckie media po niedawnym szczycie G7 we francuskim Evian, nawet Donald Trump dał się przekonać, przynajmniej na chwilę, o korzystnej pozycji Ukrainy. Nikt nie próbuje mu oczywiście wmówić, że to Kijów na całkowitą przewagę na froncie, ale też nie

to jest celem takich rozmów. Chodzi o to, żeby zmienić całą optykę dyskusji o zwycięstwie i porażce w tym konflikcie. Czyli, krótko mówiąc, o pokazanie światu, że Rosja nie wygrywa, co dla Kremla jest formą porażki.

Wszystkie te tezy mają potwierdzenie w danych. „The Economist” podaje, bazując na wyliczeniach grupy eksperckiej Armed Conflict Location and Event Data project (ACLED), że tylko w 2025 roku ukraińskie wojska przeprowadziły 658 ataków na cele oddalone od granicy z Rosją o 100 lub więcej kilometrów. Jeśli Ukraińcy utrzymają tempo z pierwszej połowy tego roku, w grudniu liczba ta może przekroczyć 800. W maju uderzyli w rafinerię w Permie, położoną 1540 kilometrów w głąb terytorium Federacji Rosyjskiej. Radio Wolna Europa informuje z kolei, że aż w 14 rosyjskich regionach administracyjnych wprowadzono jakąś formę reglamentacji paliwa.

To jednak tylko fragment obrazu, który jest znacznie bardziej skomplikowany. Owszem, Ukraińcom świetnie idzie unieszkodliwianie rosyjskiej produkcji naftowej, ale sami też ponoszą olbrzymie straty, głównie w ludziach.

To demografia jest w tej chwili największym wyzwaniem dla strony ukraińskiej. Dane ukraińskiego ministerstwa sprawiedliwości pokazują, że na każde dziecko urodzone w Ukrainie przypadają trzy zgony. Na dłuższą metę taki bilans jest katastrofalny, bo Ukraińcy stracili też miliony ludzi, którzy wyjechali zaraz po pełnoskalowej inwazji w lutym 2022 roku. Spora część z nich nigdy do kraju nie wróci, z czego zresztą politycy zdają sobie sprawę. „Dramatyczna” – określił sytuację demograficzną były minister spraw zagranicznych Dmytro Kuleba w „The Financial Times”.

Dlatego nie ma przesady w stwierdzeniu, że trwający już dłużej niż pierwsza wojna światowa konflikt jest walką o przyszłość ukraińskiego narodu. To prawda w sensie nie tylko metaforycznym, ale i dosłownym. Chodzi o to, żeby po tej wojnie ktokolwiek w Ukrainie mieszkał.

Po drugie – nikt nie ludzi się, że Ukraińcy są w stanie całkowicie zagłodzić rosyjską maszynę wojenną. Owszem, Rosji spadają z ropy, ale opowieści o jej rychłym bankructwie są mocno przesadzone. Alexandra Prokopenko, swego czasu pracująca w Rosyjskim Banku Centralnym analityczka Carnegie Europe, dzisiaj mieszkająca w Berlinie, dowodzi, że Rosjan stać będzie na działania wojenne o bieżącej intensywności jeszcze przez 12 do 24 miesięcy. Dopiero wtedy Władimir Putin musiałby zdywersyfikować źródła przychodu.

Wbrew sensacyjnym nagłówkom i myśleniu życzeniowemu nie ma też dowodów na wewnętrzne załamywanie się rosyjskiego reżimu albo na bunt elit. Analityczka jednego z wiodących europejskich think tanków wyraziła niedawno na zamkniętym panelu gorzką refleksję o naturze owych elit. „Bunt byłby możliwy tylko w przypadku wspólnego wroga, a tych ludzi nic nie łączy. Poza tym, skoro nie wykazali żadnych, nawet najmniejszych oznak podmiotowości przez ostatnie ćwierć wieku, na jakiej podstawie mielibyśmy zakładać, że zrobią to teraz?”.

Zelenski, Budanow i reszta ukraińskich przywódców zdają sobie z tego sprawę. W przeciwieństwie do części zachodniego establishmentu politycznego i wielu, również polskich, komentatorów, oni wiedzą, że zwycięstwem Ukrainy będzie przetrwanie w formie suwerennego państwa, przynajmniej na razie. Nie żyją fantazjami o triumfalnej defiladzie na Placu Czerwonym, całkowicie zniszczeniu rosyjskiego potencjału militarnego czy demokratyzacji reżimu Putina. Koncentrują się na tym, co realne – i co dopasowane do czasów, w których żyjemy.

Iwan Krastew, wiodący europejski politolog i historyk idei, apeluje, by zwrócić uwagę nie tylko na działania wojenne, ale i dyplomatyczne. „Wszyscy zgadzamy się, że zmieniła się natura wojny. Dlaczego więc zakładamy, że natura pokoju również nie ulegnie zmianie? – pytał, gdy rozmawialiśmy w ubiegłym tygodniu w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu.

Jego zdaniem Europa nadal tkwi w imaginariu powstałym w następstwie drugiej wojny światowej, która wyprodukowała pokój totalny, bo oparty na całkowitej kapitulacji jednej ze stron konfliktu. Z jakiegoś powodu jednak zapominamy, że upadek nazistowskich Niemiec nie byłby możliwy bez nalotów dywanowych na tamtejsze miasta, a Japonii – bez amerykańskiej broni jądrowej. A i tak, żeby w obu tych krajach zaprowadzić porządek demokratyczny i wcielić je w struktury Zachodu, potrzebna była wieloletnia okupacja. Oczywiście jest, że nic takiego w przypadku Rosji Putina nie zaistnieje. Logiczną konsekwencją tego stanu rzeczy jest więc zmiana oczekiwań co do pokoju.

Zresztą to prawidłowość widoczna nie tylko w Ukrainie. Na całym świecie otwarte konflikty międzypaństwowe przechodzą z fazy wysokiej do niskiej intensywności, ale nie znikają całkowicie. Trwały pokój przestał być elementem stosunków międzynarodowych. Widać to w Strefie Gazy i całkiem prawdopodobne, że podobnie stanie się z porozumieniem Iranu i Stanów Zjednoczonych: na generalnym poziomie będzie trwałe, dające kompromis w kluczowej kwestii, jaką jest wolność żeglugi w Cieśninie Ormuz, ale w szczegółach nieprecyzyjne i generujące napięcia regularnie przechodzące w militarną agresję na niższym szczeblu.

Zelenski prowadzi więc kalkulację demograficzną – i energetyczną. Chce zatrzy-



• **Atak ukraińskich dronów na rafinerię rosyjskiego koncernu naftowego Gazprom Nieft, na południowo-wschodnich obrzeżach Moskwy. (18.06.2026)**

FOT. AFP/EAST NEWS

Coraz częściej w środowisku dyplomatów i ekspertów sugeruje się, że najlepsze, co możemy dla Kijowa zrobić, to kontynuować wsparcie finansowe i militarne, bez zaangażowania politycznego

mać wymianę ognia przed zimą, bo ostatni okres grzewczy był dla Ukrainy szczególnie ciężki. Kolejnego takiego może już nie wytrzymać, nie tylko z punktu widzenia dostaw energii – bo Ukraińcy błyskawicznie osiągnęli biegłość w naprawach i kreatywnym modyfikowaniu infrastruktury, do tego mogą liczyć na techniczne i finansowe wsparcie Unii – ale przede wszystkim społecznego nastawienia do wojny.

Rosjanie wciąż liczą na swojego najsilniejszego żołnierza – mróz. Przetrwanie po raz piąty kilku miesięcy w mieszkaniu, w którym temperatura nie przekracza 8 stopni Celsjusza w ciągu dnia, byłoby dla setek tysięcy Ukraińców naprawdę trudne. Prezydent chce im tego oszczędzić, bo morale to jedyna rzecz, której nie uzupełni dostawami od zagranicznych partnerów.

Znacznie ciekawsze są powody, dla których Rosji zależy na zamrożeniu konfliktu teraz.

Pierwszym jest stan działań wojennych. Rosjanie nie posuwają się do przodu, Ukrainie wręcz tracą zdobyte terytorium. Ukraina rozwija zdolności uderzeń dalekiego zasięgu, w przyszłym roku chce testowo wprowadzić do użytku własny zamiennik rakiet przechwytyjących Patriot, które Zelenski chce kupić w USA, ale Amerykanie zwyczajnie ich nie mają, bo wystrzelali się z zapasów w Zatoce Perskiej.

Nie znaczy to jednak, że Putin porzucił maksymalistyczne cele. One nie zmieniły się od wybuchu wojny. Różnica między późną zimą 2022 i latem 2026 roku polega na tym, że gdy sam prezydent nadal uważa konflikt za awanturę w rodzinie, w ramach której rodzic musi zdyscyplinować zbundetowane dziecko, zdecydowana większość rosyjskiej populacji, elit i administracji już tego punktu widzenia nie podziela.

Sam Putin wciąż ma obsesję na punkcie Ukrainy. Już dawno temu różne źródła, od „The New York Timesa” po brytyjskie think tanki donosiły, że w grudniu 2021 roku, kilka tygodni przed rozpoczęciem inwazji, zamknął się na co najmniej pięć dni w archiwach państwowych, czytając dokumenty z IX wieku, mające rzekomo wskazywać na jedność etniczną i narodową Rosjan i Ukraińców.

To nie uległo zmianie. Zmieniło się zachowanie Putina, który upodabnia się do Trumpa. Wykonuje ruchy wyłącznie we własnym interesie, działa w oderwaniu od aparatu państwowego, nie słucha już nikogo. Szwedzki dyplomata wysokiego szczebla powiedział mi w ubiegłym tygodniu, że jego kraj jest w posiadaniu listy wszystkich osób, u których Putin zasięga opinii. Kiedy zapytałem o nazwiska, usłyszałem trzy: Katarzyna Wielka, Piotr Wielki i Iwan Groźny.

Ale nawet oni nie podpowiedzą Putinowi, jak oszukać polityczną i wojenną grawitację: Rosjanie mogą podtrzymywać konflikt, ale kończą się im narzędzia eskalacyjne wobec Ukrainy.

„Zdziwisz się, ale Rosja tak naprawdę nie umie eskalować” – mówi mi Krastew. Wskazuje, że na tym etapie mogłaby już tylko wykonać dwa ruchy, żeby wygrać.

Pierwszym byłby masowy pobór, mobilizacja kolejnych setek tysięcy żołnierzy. Szacunki think-tanku Institute for the Study of War wskazują, że Putin maksymalnie mógłby zapędzić w kamasze do trzech milionów nowych żołnierzy. Nawet jeśli sufit zawieszony jest znacznie niżej, bo realnie zdolnych do walki byłoby półtora czy dwa miliony, to pobór o takiej skali wywołałby niepokoje społeczne, które mogłyby się przerodzić w miejscowe bunt. Zwłaszcza że tym razem władze musiałyby już sięgnąć po klasę średnią.

O drugim elemencie eskalacyjnym mówi się ostatnio wiele, chętnie przypominając o nim sami Rosjanie. Ale użycie taktycznej broni nuklearnej byłoby radykalne nawet dla nich.

Dlatego Putin może szukać innego rozwiązania, które pozwoli na osiągnięcie głównego celu – zneutralizowanie ukraińskiej suwerenności – metodami niewojskowymi.

Jednym ze scenariuszy, które rozpatrują między innymi ministerstwa spraw zagranicznych Francji i Szwecji, jest zgoda na zawieszenie broni przed końcem roku, pod warunkiem zgody Ukraińców na przeprowadzenie wyborów prezydenckich. Wśród europejskich dyplomatów krąży pogłoska, że do takiego rozwiązania – poświęcenie Donbasu w imię

wyeliminowania Zelenskigo – Putina przekonują rosyjskie służby, głównie FSB i SWR, Służba Wywiadu Zagranicznego.

Kalkulacja jest prosta. Wybory oznaczałyby coś więcej niż usunięcie człowieka, którego Putin nienawidzi i który gra mu ostatnio na nerwach, wytykając starczy wiek w bezpośredniej korespondencji.

W kampanii wyborczej Rosjanie uruchomią cały sprawdzony w Europie, od Polski przez Wielką Brytanię po Rumunię, arsenal dezinformacyjny i manipulatorski, ośmielią przyczajonych sympatyków i klientów, by zainstalować w Kijowie kogoś na kształt Wiktor Janukowycza. Czyli marionetkowego przywódcę, który jawnie lub krok po kroku w codziennej praktyce rządzenia wypchnie Ukrainę z prozachodniego kursu. Modelem ma być tutaj Gruzja, gdzie taka operacja powiodła się w ubiegłym roku. Ale gwarancji powodzenia nie ma – co pokazały chociażby niedawne wybory w Mołdawii i Armenii. Okazało się, że nawet przy sporej ingerencji i milionach dolarów wpompowanych w korupcję i maszynę dezinformacyjną oba postsowieckie państwa wybrały władze bliższe Unii Europejskiej.

A gruziński model, na który powołują się promotorzy operacji z wyborami, ma tę usterkę, że tam o rosyjskie interesy już od lat dbał z tylnego siedzenia – przywódca dominującej partii – cyniczny miliarder populistą na przemian przekupujący i zastraszający społeczeństwo oraz elity, a zeszłoroczne wybory tylko domknęły system. Wystarczyło je tylko sfalszować. Co w kraju, w którym koteria moskiewska została wyeliminowana z poważnej polityki i nie ma żadnych wpływów, a społeczeństwo i klasa polityczna, choć skłócone, jak wszędzie, mają wspólną podstawową emocję – ukraińską dumę – i cel – trzymać jak najdalej od Rosji – nie jest takie proste.

Tak więc pierwszy raz od dłuższego czasu otwiera się realna szansa na zawieszenie broni. Co w takiej sytuacji robi Europa?

Już teraz widać, że w tej sprawie nie ma kompromisu – i nic nie wskazuje, żeby to się zmieniło przed końcem roku. W bieżącym, chaotycznym otoczeniu międzynarodowym oczywiście niczego wykluczać nie należy, ale ponieważ kwestia wojny może określić losy całej Europy, wpłynąć na wyniki wyborów w krajach członkowskich Unii oraz okazać się definiującym wydarzeniem w osobistych biografiiach ludzi takich jak Emmanuel Macron czy Friedrich Merz, emocje są olbrzymie.

Już na początku roku Macron, tradycyjnie czujący się odpowiedzialnym za całą europej-

ską politykę zagraniczną, zaczął publicznie mówić, że kontynent powinien zacząć rozmawiać z Rosją na własną rękę. Nie dlatego, że wierzy, że przekona Putina do czegoś, ale po to, żeby ubiec Amerykanów.

Bo jest jasne, że jeśli Trump na powrót zaangażuje się w mediację między Kijowem a Moskwą, najpewniej rękami rodziny, kumpli biznesmenów i dyplomatycznych freelancerów w rodzaju Jareda Kushnera i Steve’a Witkoffa, Europy do stołu nie dopuści. Zamiast dostawiać więc krzesło, Francuz woli mieć osobny, własny stół. Przy czym najchętniej sam by decydował, kto przy nim zasiądzie. W tej chwili dominującą pozycję w reprezentowaniu europejskiego stanowiska – którego jednak nie należy mylić ze stanowiskiem unijnym – mają kraje tak zwanej grupy E3: Francja, Niemcy i Wielka Brytania. To z nimi spotyka się Zelenski, ku dużemu niezadowoleniu polskiego rządu.

Problem zresztą nie jest nowy, już na przełomie grudnia i stycznia ludzie z otoczenia ministra Sikorskiego sygnalizowali o pogorszeniu relacji z Londynem właśnie wokół Ukrainy. Poprzedni szef tamtejszego MSZ, David Lammy, miał z Sikorskim dobre relacje osobiste, ale jego następczyni, Yvette Cooper, jest trudniejszym partnerem. Jak można usłyszeć przy alei Szucha, Brytyjczycy „wypychają” Polskę z E3.

Donald Tusk próbuje temu zapobiec.

18 czerwca na ostatnim szczycie unijnym grzmiał, że Polska nie uzna za obowiązujące ustaleń żadnego formatu negocjacyjnego, w którym nie będzie reprezentowana.

Problem w tym, że Polska jest negocjatorem problematycznym dla wszystkich stron.

Niedawne badania fokusowe prowadzone w Rosji w tajemnicy przez jeden z większych europejskich think tanków pokazały, że Polska jest w tej chwili, obok państw bałtyckich, najbardziej nienawidzonym przez Rosjan krajem.

Ukraińcy też nie palą się do tego, żeby Warszawa ich wspierała, także z powodu coraz bardziej napiętych relacji bilateralnych. Decyzja prezydenta Karola Nawrockiego o odebraniu Zelenskiemu Orderu Orła Białego na pewno nie pomoże w ponownym zbliżeniu z Kijowem. Ukraińcy utrzymują się w przekonaniu, że lepiej skupić się na partnerach, którzy mają większą wagę geopolityczną, a nie klóć się z nimi o historyczne zaszłości, czyli właśnie na Niemczech, Francji i Wielkiej Brytanii. Jeden z ambasadorów kraju członkowskiego Unii potwierdził mi zresztą bezpośrednio, że Ukraińcy sami wskazali te trzy państwa jako swoich partnerów i E3 przejęło inicjatywę na wyraźną prośbę Kijowa.

Na to wszystko nakłada się kalkulacja związana z polityką krajową. Tusk robi wszystko, by włączyć się w negocjacje także dlatego, że brak wpływu Polski na przyszłość Ukrainy PiS wykorzysta natychmiast, a do spółki z Konfederacją – w przyszłorocznej kampanii wyborczej. Rosnące prawdopodobieństwo, że duże zaangażowanie Polski na początku wojny nie przełoży się ani na wzmocnienie naszej pozycji geopolitycznej w Europie, ani na mierzalne korzyści dla polskich firm, to dla opozycji wymarzony oręż przed wyborami.

Problem w tym, że podobnie kalkuluje odchodzący Keir Starmer, którego premiership w czasie kształtowania się i krzepnięcia E3 wisiało już na włosku, skutkiem czego powoli – choć na razie symbolicznie – pojawiają się pierwsze rysy na, dotychczas niekwestionowanej, wiarygodności Wielkiej Brytanii jako sojusznika w NATO.

18 czerwca wybory uzupełniające w okręgu Makefield wygrał burmistrz aglomeracji Manchesteru Andy Burnham, dzięki czemu wrócił do Westminsteru i może ubiegać się o rolę szefa Partii Pracy, a więc – całego rządu. Poparcie dla Starmera topnienie z dnia na dzień, brakuje mu jakiegokolwiek wizji państwa, a w sondażach w górę pną się skrajnie

prawicowa partia Reform UK oraz lewicowo-populistyczni Zieloni prowadzeni przez Zacha Polańskiego.

Izolacjonistycznych i chcących realizować politykę Make Great Britain Great Again „Reformistów” nie trzeba szerzej opisywać, lecz w kontekście międzynarodowym Polanski też nie jest postacią jednoznacznie pozytywną – ma na koncie wypowiedzi, w których stwierdzał, że Putin jest dla Europy mniejszym zagrożeniem od Trumpa, co z pewnością Ukraińcom by się nie spodobało.

W dodatku niedawno z rządu odszedł minister obrony narodowej John Healey, i to w sposób dość dramatyczny. Dymisję okraślił publicznym listem, w którym krytykował Stramera za niespełnianie obietnic w kwestii podnoszenia wydatków na obronność. Premier obiecywał dodatkowe pieniądze i wysiłki re-industrializacyjne, ale nic z tego się nie wydarzyło, więc Healey odszedł ze stanowiska, próbując ratować honor – przy okazji jednak pokazał, że Wielkiej Brytanii nie można traktować jako poważnego gracza w europejskiej architekturze bezpieczeństwa.

Co słychać także, mniej oficjalnie, od polskich ekspertów zajmujących się tym tematem, którzy wskazują, że owszem, niedawne

tolerują za antyrosyjskość. A do tego nie konsultuje gestów i komunikatów z resztą Wspólnoty. Ostatnio na przykład porównała politykę Izraela w Palestynie do RPA czasów apartheidu – nie dość, że sama z siebie, to w momencie, w którym w Unii nie ma kompromisu odnośnie sankcji na najbardziej radykalnych izraelskich polityków, o jednolitym podejściu do całej kwestii Gazy, Palestyńczyków, Libanu, Iranu i izraelskiej polityki bliskowschodniej nie mówiąc.

Nie chodzi o to, żeby oceniać, kto ma rację, ważny jest skutek. A jest taki, że Unia znowu nie ma wspólnej pozycji w polityce zagranicznej, bo nie wiadomo, kto miałby o takiej pozycji zadecydować.

Czas jednak płynie i dlatego pojawia się nowe pytanie: czy Europa powinna w ogóle brać udział w negocjacjach pokojowych w sprawie Ukrainy? Coraz częściej w środowisku dyplomatów i ekspertów sugeruje się, że może jednak nie. Najlepsze, co możemy dla Kijowa zrobić, to kontynuować wsparcie finansowe i militarne, bez zaangażowania politycznego – mówią w korytarzach, przy kawie i na kameralnych spotkaniach z dziennikarzami.

Oczywiście trudno nie ulec pokusie i ambicji współuczestnictwa w procesie definiu-

Ukraińcy nie palą się do tego, żeby Warszawa ich wspierała. Utrzymują się w przekonaniu, że lepiej skupić się na partnerach, którzy mają większą wagę geopolityczną, a nie klóć się z nimi o historyczne zaszłości

porozumienie bilateralne jest bardzo ważne, ale są poważne obawy, czy Londyn ma środki i zdolności przemysłowe, żeby ze swojej części się wywiązać.

Emmanuel Macron chce przeprowadzić europejskiej delegacji, bo to dla niego sprawa osobistych ambicji. Poza tym spieszy się przed wyborami we własnym kraju, bo gdyby władzę rzeczywiście przejął Jordan Bardella, lider Frontu Narodowego, francuskie zaangażowanie w sprawę ukraińską zostałoby zredukowane prawie do zera.

Z kolei Merz czuje oddech rosnącej w sondażach prorosyjskiej i prawdopodobnie zinfiltrowanej przez rosyjskie służby AfD, więc też potrzebuje krajowego zastrzyku popularności.

Dla każdego z przywódców E3 sukces pokojowy, a przynajmniej demonstracja, kto rozdaje karty na kontynencie, to kwestia politycznego życia bądź politycznej śmierci. Nie ma co się spodziewać, że posuną się choćby o milimetr, żeby zrobić miejsce dla polskiego aspiranta.

Do tego dochodzą instytucje unijne, które rządzą się własną logiką. Nie informując nikogo na kontynencie, własny kanał dyplomatyczny z Moskwą otworzył w ubiegłym tygodniu przewodniczący Rady Europejskiej, portugalski socjalista Antonio Costa. Merz i Macron natychmiast zareagowali wściekłością i publiczną krytyką. Niezadowolona była też Ursula von der Leyen, bo Rosja to przecież kwestia polityki zagranicznej, a szefowa Komisji Europejskiej chce ten obszar kompetencyjny zagarnąć w ramach reform centralizujących władzę w Unii.

Kompletnie w tym rozdaniu nie liczy się szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas, która przecież powinna takim rozmowom przewodniczyć, przynajmniej nominalnie. Ona jednak jest w podobnej sytuacji, co Polska – też przeszkadza prawie wszystkim zainteresowanym.

W Unii ma słabą pozycję, Von der Leyen chciałaby w ogóle zlikwidować jej stanowisko i całą służbę dyplomatyczną. Rosjanie jej nie

jącego kontynent na najbliższe dekady. To wręcz naturalne, że trzeci – obok USA i Chin – globalny byt polityczno-gospodarczo-ideowy powinien współdecydować o losach świata, co dopiero własnego kontynentu. No i Europa na swój udział zapracowała, okupując go wydatkami, wsparciem, kosztami politycznym i złamaniem niejednego powojennego tabu. Nic tu nie przyszło łatwo i trzeba to docenić, zwłaszcza w przypadku Niemiec czy krajów dawniej neutralnych, jak Szwecja czy Finlandia.

Jednak w obecnych realiach łatwo wyobrazić sobie scenariusz, w którym zaangażowanie Europy, w jakiegokolwiek formie, generuje więcej strat niż korzyści. Jeśli za kontynent mówić będzie Unia, Rosja może nas łatwo rozegrać, grając na wewnętrzne rozbieżności i krajo-wą polaryzację.

Poza tym dzisiaj nie mamy błędnego pojęcia, jak Wspólnota będzie wyglądać na koniec 2027 roku – po wyborach w Polsce, Włoszech, Hiszpanii i we Francji. Czy sensowne – i fair – jest dawać jakiegokolwiek gwarancje Ukrainie, skoro nie wiemy, kto w naszym imieniu będzie decydował o ich utrzymaniu, a zmiana może być rewolucyjna?

To pytanie retoryczne tym bardziej, że zmienia się również globalna geopolityczna arytmetyka. Jeszcze niedawno dla Ukraińców kluczowa była chociażby obietnica członkostwa w NATO, przynajmniej w średnim albo długim horyzoncie czasowym. To niemożliwe, póki rządzi Trump, ale po zmianie administracji w USA można byłoby wrócić do rozmów.

Tylko że teraz słychać nie tylko po stronie europejskiej, ale nieoficjalnie i po ukraińskiej, że nikt o obietnicę wejścia do Sojuszu nie będzie się zabijać, bo wzajemne gwarancje bezpieczeństwa wynikające z artykułu 5. straciły wiarygodność. „Nikt z nas już nie wie, co to w praktyce oznacza” – powiedział mi w ubiegłym tygodniu dyplomata z jednego z krajów skandynawskich. Ukraińcy są tego samego zdania, więc zmieniają priorytety.

Podobnie jest, niestety, z rozszerzeniem Unii Europejskiej. Wprawdzie po odsunięciu od władzy Viktora Orbána i przerwaniu węc-

gierskiej obstrukcji Kijów otworzył wreszcie pierwsze kłasy negocjacyjne, ale mało realistyczne, że szybko i sprawnie zamknie je kraj, który toczy regularną wojnę i którego gospodarka funkcjonuje w trybie wojennym.

Zelenski co prawda domaga się rozszerzenia odwróconego, w formacie „najpierw wchodzimy, potem się reformujemy”, ale na to nie ma i nie będzie zgody państw członkowskich. Prędzej wytworzy się coś na kształt członkostwa „soft”, z dostępem do części benefitów, ale bez pełnowymiarowej partycypacji we Wspólnocie.

Przypadkiem testowym może okazać się Islandia, która w sierpniu przeprowadzi referendum akcesyjne. Kwestią sporną jest rybołówstwo, więc pojawia się pomysł, by Islandczyków wpuścić do Unii, a połów ryb przedyskutować potem. Jeśli to wypali, Ukraina ma szansę do Unii wstawić przynajmniej stopę. Na więcej nie ma co obecnie liczyć, zwłaszcza że ukraińskie punkty sporne, kwestie budzące obawy poszczególnych krajów członkowskich i słabości do naprawienia są – od rolnictwa przez transport po korupcję – innego kalibru niż problemy rybactwo.

Najważniejsze, co Europa może dla Kijowa teraz zrobić, to utrzymać wsparcie militarne, polityczne i finansowe. Wszelkie inicjatywy w rodzaju szukania wspólnego negocjatora są przeciwskuteczne, bo taki negocjator nie miałby ani mandatu, ani politycznego kapitału do rozmowy z Putinem. Dlatego prezydent Finlandii Alexander Stubb postąpił rozsądnie, odmawiając wystąpienia w tej roli.

Pozostałe pomysły, jak sugerowany przez Rosjan Gerhard Schröder, ich przyjaciel, były kanclerz, który ostatecznie uzależnił niemiecką gospodarkę od Gazpromu czy wskazana przez włoskiego ekspremiera Matteo Renziego Angela Merkel, byłby zresztą znacznie gorsze.

Obraz komplikuje fakt, że sytuacja w Ukrainie ku stabilizacji nie zmierza liniowo. Wręcz przeciwnie – obie strony będą jeszcze przed zimą intensyfikować ataki, żeby zając jak najlepszą pozycję w obliczu negocjacji. A to oznacza, że na ostatniej prostej ku rozejmowi w wojnę wplątywane są kraje bałtyckie.

Polskie władze od kilku tygodni zajmują stanowisko, że rosyjski atak – hybrydowy, ale o nieznanej dotąd skali – na któryś z nich jest bardziej prawdopodobny w najbliższych sześciu miesiącach. I można by uznać te ostrzeżenia za typowe polskie przewrażliwienie czy element zbrojeniowego nacisku na Europę – lecz to samo, z nawet jeszcze większą pewnością, twierdzą służby wywiadowcze Szwecji. Druga strona medalu jest taka, że publiczne deklaracje „Rosjanie ich atakują” samych Bałtów niesłuchanie denerwują, bo im nie pomagają, a szkodzą. Odstraszają zagranicznych inwestorów, destabilizują społeczeństwa i działają trochę jak samospełniająca się przepowiednia: jeśli przyjdzie co do czego, szok – a więc i reakcja sojusznika – może być umiarkowany, bo przecież siła wyższa, to musiało się wydarzyć. Dlatego dyplomaci Litwy, Łotwy i Estonii prywatnymi kanałami apelują, by o tej prowokacji nie mówić w kategoriach dokonanych.

To już pewne, że przyszłość Europy zdecydować się w Ukrainie – ale nie tylko militarnie. Kijów wyrósł na potęgę wojskową, lecz wzrósł też politycznie i dyplomatycznie. Tamtejsi przywódcy, na czele z Zelenskim czy Budanowem, są bardziej pewni siebie, świadomi własnej siły. Chcą grać w jednej lidze z największymi graczami, stąd współpraca z grupą E3. Niewykluczone, że chociażby dlatego Zelenski od ręki, dosłownie chwilę po decyzji Nawrockiego, odesłał Order Orła Białego – relacje z Polską nie muszą być w tej chwili dla niego najwyższym priorytetem.

Ukraińcy od czterech lat walczą za Europę w okopach. Możliwe, że zaraz będą za nią decydować przy stole negocjacyjnym. Tylko czy Europa im zaufa? ●

Według szacunków Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę w wyniku przemocy domowej ginie w Polsce 35 dzieci rocznie.

GRZEGORZ WRONA: Tak naprawdę nie wiemy, ile jest takich przypadków. Ministerstwo Sprawiedliwości nie prowadzi pełnych statystyk. Nasz zespół otrzymuje informacje o zgłoszeniach od policji i prokuratury, stąd wiemy, że w ciągu dwóch lat było ich 70, a łącznie z tymi, w których udało się ostatecznie uratować życie dziecku – 130.

Na pewno nie są to wszystkie przypadki, ponieważ w prawie karnym trzeba udowodnić, że rodzic chciał zabić dziecko, wykazać, że to było jego zamiarem. Natomiast jeśli dochodzi do kwalifikacji na przykład niedopełnienia obowiązków, to oznacza, że sędzia uznał, iż rodzic nie miał złych intencji. Czyli na przykład: nie karmił dziecka nie dlatego, że chciał je zabić, tylko dlatego, że uważał, że to jest niezdrowe. No, tu się nigdy nie dogadamy! Dla nas liczy się fakt, że dziecko zmarło w wyniku zachowania rodziców.

Weźmy na przykład sprawę zabójstwa 14-letniego chłopca. Wiadomo było, że ojciec jest psychicznie chory, a matka nie żyje. Został więc sam z dwójką dzieci. Kiedy brał lekarstwa, wszystko było w porządku, ale raz ich nie zażył i zabił syna. Biegły uznał, że ojciec był niepočetny w chwili czynu i sprawa kar na została umorzona. Czyli jej w ogóle nie ma w statystykach.

JOLANTA ZMARZLIK: Do tego doliczyć trzeba dzieciobójstwo przy ukrywanej ciąży. W ogóle nie wiemy, ile mamy takich sytuacji; dowiadujemy się o nich tylko wtedy, kiedy matka trafia do szpitala. A co z przypadkami samobójstw, gdy dziecko zostawiło list, w którym napisało, że nie chce żyć z powodu przemocy ze strony matki lub ojca? A to częsty powód samobójstw wśród dzieci.

W 2023 roku została uchwalona, a rok później weszła w życie tzw. ustawa Kamilka, czyli standardy ochrony małoletnich, które obowiązują wszystkie placówki pracujące z dziećmi. Wydawało się, że dzieci będą lepiej chronione... W placówkach spełniających standardy nie pracują osoby mogące zagrażać ich bezpieczeństwu, pracownicy wiedzą, jak rozpoznawać symptomy krzywdzenia i podejmować interwencje, dzieci uczą się, jak unikać zagrożeń, a rodzice – jak wychowywać je bez przemocy.

G.W.: Efektem tej ustawy powinno być zwiększenie umiejętności identyfikowania przemocy w stosunku do dziecka i w konsekwencji szybsza reakcja na przemoc, co ma doprowadzić do zmniejszenia skali tych najbardziej dramatycznych przypadków. Ale nie możemy stawić na krótkoterminowy efekt. Na przykład w ciągu ostatniego kwartału wpłynęło zdecydowanie mniej spraw, ale gdyby ktoś wyciągnął z tego wniosek, że to efekt ustawy Kamilka, byłby w błędzie, bo to jest po prostu przypadek. Ustawa jest nastawiona na długofalową zmianę.

J.Z.: Nie tak prosto wyeliminować zjawiska społeczne, które trwały, nie waham się powiedzieć, przez tysiące lat. Dzieci były ofiarami przemocy, odkąd istnieje ludzkość. Ginięły i nikt się tym nie przejmował. Były traktowane przedmiotowo; dopiero w XX wieku zwrócono uwagę na podmiotowość dziecka i zaczęto tworzyć przepisy, które je chronią.

No tak, Deklaracja Praw Dziecka przyjęta przez Ligę Narodów, czyli pierwszy dokument, który zwracał uwagę na prawa dziecka, to rok 1924...

J.Z.:...a my trzy lata temu wprowadziliśmy ustawę Kamilka i chcemy osiągnąć już Bóg wie jakie efekty. To niemożliwe. Odgórne działania są bardzo ważne, dobrze, że ustawa powstała, ale teraz ona musi zakorzenić się w systemie.

Co to znaczy?

J.Z.: Jestem superwizorką, moja rola polega na wspieraniu osób, które pracują z dziećmi i ich rodzinami: pracowników socjalnych, psycho-



APO CO?

„DZIECI RÓŻNE GŁUPSTWA GADAJĄ”

**Dzieci nie są siłą polityczną,
którą można by zagospodarować,
a w związku z tym ich interesy
zeszły na plan dalszy.**

Z **GRZEGORZEM WRONĄ***, ADWOKATEM
ORAZ **JOLANTĄ ZMARZLIK****, PEDAGOGKĄ,
ROZMAWIA **MONIKA REDZISZ**

logów, pedagogów, kuratorów sądowych, policjantów, sędziów. Mam do czynienia z ludźmi z całej Polski. W tym także z małych ośrodków, w których trudno o specjalistyczną pomoc, bo do najbliższego dużego miasta trzeba jechać kilka godzin. I widzę, jak bardzo jesteśmy nieprzygotowani do ochrony dzieci przed krzywdzeniem.

Każda zmiana społeczna wymaga czasu, ale wymaga także pieniędzy. A u nas lejtymotywy jest to, żeby wszystko odbywało się bezkosztowo. Myślimy, że w ten sposób załatwimy tak poważny, trudny, wymagający fachowej wiedzy problem społeczny. Na przykład oburzające jest, że zespół do spraw analizy śmiertelnych przypadków działa na zasadach wolontariatu. Fachowcy, ludzie z wysokimi kwalifikacjami, poświęcają multum czasu na analizowanie tysięcy stron dokumentacji i nie dostają za to wynagrodzenia. To jest po prostu kpina z bardzo poważnego problemu.

G.W.: Dostajemy wynagrodzenie, ale za analizę przypadku, a nie pracę w zespole. Taką analizę trwa około roku i ekspert dostaje za nią 4,8 tys. zł brutto. Do tej pory zrobiliśmy ich pięć.

Natomiast nasza codzienna praca dotyczy spraw, które nie są poddane analizie, i polega na uczestniczeniu w pracach komisji sejmowych, posiedzeniach zespołów, spotkaniach międzyresortowych czy opiniowaniu lub zgłaszaniu uwag do projektów aktów prawnych. Jesteśmy w tej chwili u progu bardzo istotnej zmiany, czyli przejścia na poziom analiz lokalnych, ale obawiam się, że trudno będzie we

wszystkich 16 województwach znaleźć ludzi, którzy będą chcieli je wykonywać.

Na czym dokładnie polega praca zespołu do spraw analizy śmiertelnych przypadków?

G.W.: Najpierw gromadzimy całą dokumentację dotyczącą historii rodziny. Sprawdzamy, czy była tam przemoc, interwencje, czy rodzina była w kręgu zainteresowania służb. Jeśli tak, to ściągamy akta karne, rodzinne, cywilne. Następnie analizujemy dokumenty, żeby ocenić, czego w danej sytuacji zabrakło i kto zawinił. Trudno się to czyta, bo wiadomo, jaki jest finał. Musimy ocenić to naprawdę wnikliwie i skrupulatnie, bo w grę wchodzi często niuans.

Ale najważniejszym elementem są tak zwane wysłuchania. Spotykamy się z ludźmi, którzy pracowali z tym dzieckiem albo z tą rodziną, i rozmawiamy na neutralnym, bezpiecznym dla nich gruncie. Rozmowa nie jest nagrywana, nie ma protokołu, mogą zupełnie swobodnie powiedzieć, co się wydarzyło i co myślą o tej sytuacji. To bardzo często rzuca zupełnie nowe światło na wydarzenia. Pojawiają się wątki, których nie było w dokumentacji.

Gotowy raport wysyłamy do tych, którzy powinni coś w swoim postępowaniu zmienić, czyli na przykład do ośrodka pomocy społecznej lub sądu. Instytucja ma miesiąc, żeby się do tego odnieść. Na koniec Ministerstwo Sprawiedliwości publikuje na swojej stronie raport.

Co zawiodło na przykład w sprawie tego 14-latka? Dlaczego doszło tam do zabójstwa?

G.W.: Teoretycznie dziecko było pod opieką babci, czyli rodziny zastępczej, ale to była fikcja. W Polsce można być w rodzinie zastępczej i dalej mieszkać z osobą stosującą przemoc. Formalnie zmienia się opiekun, więc w dokumentach wszystko jest w porządku, ale w praktyce wciąż wszyscy mieszkają razem. Z pewnością na przyszłość kwestia zdrowia psychicznego rodziców musi być uwzględniana w decyzjach sądu. Ta sprawa mówi wszystko o naszym systemie: człowiek chory psychicznie i sprawca przemocy miał pod swoją opieką dzieci, a rodzina zastępcza była fikcją.

Rozumiem, że ojciec się leczył. Czy był pod kontrolą? Skąd pewność, że bierze leki?

J.Z.: To jest historia pod tytułem „poeksperymentujmy sobie na dzieciach”. Ojciec, sprawca przemocy, deklaruje, że się leczy. Kurator raz w miesiącu przychodzi sprawdzić, czy ten nie jest pod wpływem alkoholu albo innych substancji psychoaktywnych. Wizyta zwykle jest umówiona, bo jak kurator ma przyjść i pocałować kłamię, to wiadomo, że woli się wcześniej umówić.

A leki? Ojciec ma swoją dokumentację medyczną, ale może powiedzieć kuratorowi: „To mogę pokazać, a reszty nie dam”. I ma do tego prawo. Pokazuje więc tylko to, co jest dla niego korzystne, to chyba logiczne, prawda?

A to, że był oskarżony o przemoc, nie ma znaczenia, bo człowiek oskarżony jest dalej człowiekiem niewinnym. Żona nie żyje, więc nie ma sprawy.

Czy to znaczy, że w ustawie Kamilka czegoś zabrakło?

G.W.: Owszem, brakuje na przykład przepisu, który by stanowił, że nie zabiera się jednego dziecka z przemocowego domu, zostawiając w nim drugie – co jest praktyką powszechną. Nie można być zagrażającym rodzicem dla jednego i wspaniałym dla drugiego. Ale zasadniczo przestrzegalbym ustawodawcę przed dopisywaniem do ustawy coraz to nowych punktów. Zawsze znajdują się rzeczy, które warto dodać, ale ustawa już obecnie jest tak obszerna, że dopisywanie kolejnych punktów sprawi, że stanie się nieczytelna. Trzeba będzie skończyć prawo, żeby ją zrozumieć.

Ustawa w swojej istocie ujmuje obowiązek widzenia dziecka i reagowania na jego krzywdę i pod tym względem jest bardzo dobra. Chciałbym, żeby teraz nastąpił istotny postęp na poziomie wdrażania tego prawa.

Czy ktoś kontroluje to wdrażanie?

J.Z.: Teoretycznie wojewoda sprawdza, czy we wszystkich placówkach pracujących z dziećmi wprowadzane są standardy ochrony małoletnich, ale kiedy chce się zobaczyć, kto i w jakim zakresie je wprowadza, okazuje się, że niewiele wiadomo.

Ustawa dla wielu osób jest niewygodna. Najbardziej irytuje ich obowiązek przedstawiania zaświadczenia o niekaralności nałożony na każdego, kto pracuje z dziećmi. Ludzie uważają to często za przesadę i biurokratyczny wymysł. Narzekają, że to tylko utrudnia życie tym wszystkim osobom i organizacjom, które prowadzą w szkołach czy przedszkolach rozmaite zajęcia dodatkowe czy warsztaty.

J.Z.: Zloszczą mnie te głosy oburzenia, bo zaświadczenie o niekaralności zdobywa się w ciągu 10 minut przez internet i naprawdę nie powinniśmy z tego powodu robić hysterii. **G.W.:** Ludzie uważają to za biurokratyczny wymysł, bo nie dostrzegają zagrożenia w otoczeniu dziecka. Wydaje im się, że jeśli znają z widzenia osoby, które mają kontakt z ich dzieckiem, to na pewno wśród nich nie ma nikogo o skłonnościach pedofilskich...

Przedstawianie zaświadczenia jest pewną trudnością, ale powinniśmy się do tego przyzwyczaić w imię wyższego dobra. Dam przykład: ostatnio musiałem przenocować z moim 13-letnim synem jedną noc w hotelu, bo starsza córka miała urodziny, zaprosiła znajomych i „wyrzuciła” nas z domu. A w hotelu recepcjonista pyta: „A jaka to okazja, że panowie tak razem w hotelu?”. Jeszcze trzy lata temu byłbym oburzony, jak on śmie mnie pytać, co ja robię z moim własnym synem. To było nie do pomyślenia. A teraz jest. I o to właśnie chodzi – żeby się zainteresować, zwrócić uwagę na dziecko.

Jednak ustawa odnosi się głównie do instytucji, a przecież Kamilek padł ofiarą przemocy domowej...

J.Z.: Tak, ale dziecko pojawia się w różnych instytucjach. Chodzi na zajęcia sportowe i trener widzi, że jest całe w siniakach. Albo że ociąga się z powrotem do domu. A może nawet wprost mówi, że boi się pijanego tatusia. Taki trener ma obowiązek podjąć interwencję.

Miał taki obowiązek już wcześniej.

G.W.: To prawda. Trenerzy, nauczyciele, pracownicy służby zdrowia już wcześniej mieli obowiązek uruchamiania niebieskich kart i zgłaszania do sądu; ustawa Kamilka nic tu nie zmieniła. A jednak dopiero teraz ludzie się tym przejęli. To dowód na to, że nie trzeba wprowadzać nie wiadomo jakich przepisów, tylko trzeba edukować osoby, które pracują z dziećmi. Powtarzać im: „Macie to robić! To jest wasz obowiązek! To jest istota waszej pracy, żeby chronić dzieci!”. Przecież to nie jest tak, że nagle wszyscy bardziej pokochali dzieci, tylko przestraszyli się odpowiedzialności.

J.Z.: Ja mam już dosyć pytania o to, czy potrzebujemy nowych przepisów. Nie można wszystkiego uregulować tylko i wyłącznie

przepisami. Trzeba popracować psychologicznie, ideologicznie z tymi ludźmi. Cały kodeks rodzinno-opiekuńczy jest pełen słów „dobro dziecka”. Tyle tylko, że to nic już nie znaczy.

Jest na przykład przepis, że rodzice nie mogą się rozwieść, jeżeli to nie będzie zgodne z dobrem dziecka. Bardzo proszę o jeden przykład, kiedy sąd podjął taką decyzję? Co byłoby zresztą idiotyczne, bo nie ma dobra dziecka w sytuacji, kiedy rodzice się nienawidzą i pragną się rozjeść. Ale chcę powiedzieć to, że w praktyce dobro dziecka nie jest traktowane u nas z przesadnym pietyzmem.

Parę dni temu miałam superwizję młodej psycholożki, która podjęła interwencję, założyła niebieską kartę dziecku przedszkolnemu. Wszczęto procedurę, ale okazało się, że zespół interdyscyplinarny ma do niej pretensje. Zapytali ją: „Na jakiej podstawie? Czy pani wie, że kartę zakłada się wtedy, kiedy istnieje uzasadnione podejrzenie przemocy?”. „Jest uzasadnione podejrzenie, dziecko mi powiedziało” – broniła się. „To nie jest żadne uzasadnienie! Dzieci różne głupstwa gadają!” – usłyszała.

Znam ludzi, którzy jak tabliczkę mnożenia recytują objawy dziecka krzywdzonego, a mimo to mają opór przed przyznaniem w konkretnym przypadku, że mamy do czynienia z sytuacją, która zagraża życiu, ponieważ jest tam przemoc, i może dojść do przekroczenia wszelkich granic.

Dlaczego?

J.Z.: Bo naczelną wartością w Polsce jest – po pierwsze – dobro władzy rodzicielskiej, a po drugie – dobro rodziny rozumianej jako pewien ideologiczny twór. Dobro jednostki w tej rodzinie, a w szczególności dobro dziecka, jest tak naprawdę na szarym końcu. To bardzo niebezpieczne. Jeśli się zakłada, że najwyższym dobrem dziecka jest wychowywanie się w pełnej rodzinie, to podejmuje się wszelkie działania, żeby je w tej rodzinie utrzymać, a każdą ingerencję z zewnątrz odczytuje się jak wtrącanie nosa w nie swoje sprawy.

Codziennie wysłuchuję strasznych, trudnych do udźwignięcia historii o tym, jak rodzice zaniedbują dziecko i stosują przemoc, piją i są niezrównoważeni psychicznie. Ale żeby odebrać dziecko z takiej rodziny, naprawdę trzeba się wysilić.

Kiedy dziecko trafi już do rodziny zastępczej, wciąż dobrem najwyższym jest utrzymanie jego kontaktu z rodziną biologiczną, niezależnie od tego, jak oddziałuje to na jego psychikę. Mogę cytować opowieści rodziców zastępczych o tym, jak dziecko mdleje ze stresu, zanieczyszcza się, dostaje luku histerycznego, tak wczepia się w siedzenie samochodu, że nie można go wyciągnąć, bo boi się spotkania z rodzicem biologicznym. Ale nie wolno od tego odstąpić, trzeba doprowadzić dziecko na spotkanie choćby siłą, żeby chronić więzi rodzinne i żeby w aktach PCPR-u i sądu było odhaczone, że odbyło się sześć spotkań.

G.W.: W Polsce wszyscy „dają szansę rodzinie” – pracownicy socjalni, policja, sąd. Wszystkie sprawy, które analizujemy, pokazują, że w imię tego na którymś etapie ktoś zaryzykował życie dziecka.

W historii Kamilka wstrząsające było to, że tak wiele służb zaangażowanych było w obserwację tej rodziny, a mimo to doszło do tragedii.

J.Z.: Najbardziej zabrakło tam zdecydowanej postawy sądu, bo to sąd podejmuje decyzje. Służby zgłaszały przecież nieprawidłowości. Poza tym przez ostatnie pół roku brakowało kontaktu z dzieckiem. Pracownicy różnych służb przychodzili do tego domu, ale dziecka nie widzieli: albo go nie było, albo go im nie pokazywano. A oni to akceptowali.

Jak to możliwe, że akceptowali to, że nie widzą dziecka, które mają chronić?

■
Wolimy nie wiedzieć, jak wiele dzieci w Polsce pada ofiarą przemocy ze strony rodziców. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, co te dzieci przeżywają

J.Z.: Pierwszą rzeczą, którą słyszę od pracowników socjalnych i kuratorów sądowych, jest to, że nie mają prawa rozmawiać z dzieckiem, jeśli rodzic sobie tego nie życzy. Kuratorzy tłumaczą, że nie wolno im, jeśli nie mają bezpośredniego zlecenia od sędziego. Wszyscy są przekonani, że przepisy im tego zabraniają. Tyle tylko, że takich przepisów nie ma. Jeżeli się tych samych ludzi zapyta, czy wolno im słuchać, kiedy podejdzie do nich dziecko i zacznie coś opowiadać, to mówią, że tak, słuchać im wolno. A przecież właśnie o to chodzi – o wysłuchanie. Zresztą to już nawet nie chodzi o rozmowę, tylko o to, żeby oni w ogóle popatrzyli na to dziecko uważnie. Ale oni utożsamiają się z rodzicami i w ogóle z osobami dorosłymi. Boją się ich urazić, rzucić podejrzenie, zaszkodzić i wreszcie – skonfrontować się z ich złościami i działaniami odwetowymi.

Władza rodzicielska to u nas wciąż świętość. To rodzic decyduje o wszystkim. Nauczyciele w szkołach boją się rodziców, bo ci mogą napisać skargę do kuratorium, a jak kuratorium przyjedzie, to dyrektor będzie miał do nich pretensje. Wychodzi na to, że trzeba być bohaterem, żeby porozmawiać z dzieckiem. A potem mamy tego efekty.

Śmierć ośmioletniego Kamilka odbiła się głośnie echem; tymczasem o tylu innych podobnych tragediach się nie mówi.

G.W.: Myślę, że wolimy nie wiedzieć, jak wiele dzieci w Polsce pada ofiarą przemocy ze strony rodziców. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, co te dzieci przeżywają.

Aż chciałoby się powiedzieć, że niektórzy nie powinni w ogóle mieć dzieci...

J.Z.: Odkąd żyję, a żyję już długo, mówi się o kastracji albo o przymusowej sterylizacji, ale nie idźmy w tym kierunku. Bardzo chcielibyśmy wierzyć, że zła dopuszczają się jacyś „inni”, ale to nieprawda. Nad dziećmi znęcają się tacy sami ludzie jak my. To, że zachowujemy się w życiu dobrze lub źle, wynika z wielu różnych czynników i okoliczności, które na nas oddziałują i nas kształtują. I tym warto się zająć – żeby nie dopuścić do tego, żeby dany człowiek stał się sprawcą przemocy.

Co można zrobić, skoro przepisy są już wystarczająco czytelne, a zmiana mentalności to zadanie na całe dziesięciolecie?
J.Z.: Najpierw trzeba się zająć dostępem do zawodu. Ludzie, którzy będą pracować z dziećmi, powinni dostać odpowiednią wiedzę, jeszcze zanim zostaną policjantami, pracownikami

*Grzegorz Wrona

• Adwokat, przewodniczący powołanego przez ministra sprawiedliwości zespołu do spraw analizy zdarzeń, na skutek których małoletni poniósł śmierć lub doznał ciężkiego uszczerbku na zdrowiu.

**Jolanta Zmarzlik

• Pedagożka, specjalistka ds. przeciwdziałania przemocy w rodzinie z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

mi socjalnymi czy nauczycielami. Już na początku studiów czy szkoleń powinni się dowiedzieć, że ich podstawowym zadaniem nie jest przyznawanie zasiłków ani sprawdzanie, jak ktoś parkuje samochód, tylko ochrona życia i zdrowia ludzi, a dzieci przede wszystkim. Tego w Polsce nie ma w ogóle. Efekt jest taki, że zaczynają pracę z przeświadczeniem, że ochrona dzieci to jakieś zawracanie głowy. Szansa, że oczy same im się otworzą, jest nikła. Trzeba ich po prostu edukować.

G.W.: Przeciwdziałanie przemocy domowej udało się już na przykład wpisać do programu wszystkich zawodów medycznych. Przyszły lekarz rodzinny na drugim roku studiów nauczy się, że musi zwracać uwagę na to, czy jego pacjent nie jest przypadkiem ofiarą przemocy domowej.

I już, to wystarczy?

J.Z.: Uważam, że aby prawidłowo chronić dzieci, powinny powstać osobne służby, które byłyby w tym wyspecjalizowane i które miałyby odpowiednie uprawnienia. Nie możemy wymagać od przeciętnego pracownika socjalnego, który ma i węgiel na zimę załatwić emerytkę, i zając się chorym psychicznie, i pomóc osobie w kryzysie bezdomności, żeby był także specjalistą od przemocy wobec dziecka. To muszą być osoby wyspecjalizowane w ochronie dzieci, które będą umiały porozmawiać z dzieckiem i ocenić, czy jego życie i zdrowie jest w danym momencie zagrożone. Brakuje również miejsc, w których można by w razie czego natychmiast dziecko zabezpieczyć.

W jakim miejscu jesteśmy dzisiaj, jeśli chodzi o ochronę dzieci?

G.W.: Nie jest najlepiej. Jest na przykład pomysł, żeby więzieniem karać rodzica, który nie wyda dziecka na spotkanie z drugim rodzicem, nawet jeżeli dziecko się go panicznie boi. Przed bramą Ministerstwa Sprawiedliwości protestowali ojcowie, którzy domagają się widzenia ze swoimi dziećmi niezależnie od swojego zachowania. Protestowały tam również matki. Obie strony mówią, że robią to dla dzieci, ale tak naprawdę chodzi im o obronę swoich praw. Tylko dzieci, których prawa teoretycznie są pierwszoplanowe, tam nie ma.

Dzieci nie są siłą polityczną, którą można by zagospodarować, a w związku z tym ich interesy zeszły na plan dalszy. Politycznie nie opłaca się dziś bronić ich praw, bo nie zyska się niczego poparcia – ani matek, ani ojców. Jak się stanie po stronie dziecka, to przegra się i u jednych, i u drugich.

Mam nadzieję, że dzieci będą miały coraz więcej instrumentów, żeby się bronić, bo mają coraz większy dostęp do świata i więcej możliwości ujawnienia przemocy. Zmiana społeczna, choć wolno, jednak postępuje i pewne rzeczy już się nie zdarzają. Ale czy nasze państwo chroni swych najmłodszych obywateli w sposób zdecydowany? Nie. To jest decyzja polityczna, która moim zdaniem nie zapadła.

J.Z.: Kiedy pod koniec lat dziewięćdziesiątych zaczynałam pracę w Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, wydawało mi się, że wszystko idzie w jak najlepszym kierunku. Powstawały różne nowe inicjatywy, zmieniały się przepisy dotyczące ochrony dzieci. Ale jakieś dziesięć lat temu doświadczyłam zjazdu w dół. Zgadzałam się, że nie jesteśmy dzisiaj w najlepszym punkcie. Dobrze, że powstała „ustawa Kamilka”. Stała się czymś, czego można się trochę przytrzymać, jak na rozbujanym okręcie w trakcie sztormu. Ale czy to jest dobry moment? Czy możemy powiedzieć, że realizujemy w pełni prawa dziecka i w pełni dzieci chronimy? Ja tak nie uważam.

Tego nie da się zrobić bez pieniędzy, a nasze państwo nie przekazuje na to środków, więc najwyraźniej nie traktuje tego problemu poważnie. Proszę zobaczyć, jak bardzo na poważnie podchodzi się do ochrony naszych danych osobowych! Gdybyśmy chronili nasze dzieci tak jak dane osobowe, to byłby naprawdę sukces. Państwo potrafi być bardzo zdeterminowane. Jeśli tylko chce. ●

FOT.DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE



Niech sąsiad gra na perkusji, ale głośuje jak ja

Profesor James Tilley, badacz zachowań wyborców:
Nawet tu w Oksfordzie część osób głosowała za wyjściem z Unii

Z PROF. JAMESEM TILLEYEM *
ROZMAWIA MARIA KORCZ

W Polsce do dziś część osób uważa, że wybory prezydenckie, które w 2025 roku wygrał Karol Nawrocki, przebiegły nieuczciwie. Pan w książce „Polityka plemion. Jak Brexit podzielił Wielką Brytanię” razem z Sarą B. Hobolt pisze, że w uczciwość referendum w 2016 roku nie wierzyli też głosujący za pozostaniem w Unii. Ale może ta utrata wiary w uczciwość wyborów to nie tylko prosty mechanizm emocjonalny, ale też racjonalna wątpliwość? Np. czy wobec braku kontroli nad platformami społecznościowymi ten proces jest jeszcze niezależną decyzją wyborców?

– To naturalne, że nikt nie chce czuć, że przegrał. Dlatego po porażce odruchowo kwestionuje się sprawiedliwość głosowania. Im bardziej kibicowałeś stronie, która przegrała albo im bardziej nienawidziłeś drugiej strony, tym silniejsze będzie to przekonanie, tym bardziej będziesz szukał racjonalnego twoim zdaniem wyjaśnienia.

Musimy przy tym rozróżnić samą kampanię, która faktycznie może być dziś bardzo brutalna czy poddawana manipulacjom od samego procesu oddawania i zliczania głosów. Nie wiem, jak jest w Polsce, ale w Wielkiej Brytanii uczciwość wyborów w tym drugim, ścisłym rozumieniu, jest bardzo dobrze zabezpieczona. O ile w kampanii możemy mówić o różnych wpływach po obu stronach, o tyle sam akt głosowania jest decyzją wyborcy, który siada z kartą do głosowania i długopisem w ręce.

Mimo tego najprostszym sposobem racjonalizacji przegranej, z którą trudno się pogodzić, jest wska-

zanie winnego – czy to Big Techów, czy liberalnych elit. Brexit bardzo dobrze to pokazuje. Przed referendum, gdy większość osób sądziła, że Wielka Brytania nie opuści Unii, w badaniach opinii publicznej to rozłamowcy, zwolennicy wyjścia, częściej deklarowali, że referendum będzie niesprawiedliwe.

To samo pytanie zadano potem drugi raz, po ogłoszeniu wyników. I wtedy tendencja się odwróciła. Głosujący za wyjściem zapomnieli, że przecież głosowanie miało być nieuczciwe, za to zwolennicy pozostania w Unii zaczęli podważać jego przebieg. To pokazuje, w jak dużej mierze jest to proces psychologiczny.

Wasza teoria plemiennej polityki, czyli nowych, silnych tożsamości politycznych, które są bardzo antagonistyczne i odrzucają prosty podział na partie, zakłada, że klasa, religia czy region przestały mieć wpływ na to, jak głosują Brytyjczycy. Ale jednak w wynikach wyborów nadal widać wyraźny podział na małe i duże miasta, na bardziej laburzystowską północ i raczej konserwatywne południe.

– Oczywiście czynniki społeczno-ekonomiczne wciąż mają znaczenie. Ale są coraz słabszą podstawą do prognoz. Gdybym wybrał z populacji kilka przypadkowych osób i próbował zgadnąć, jak zagłosowały w referendum brexitowym na podstawie tego, kim są, ile zarabiają i tak dalej, jest spora szansa, że bym nie zgadł.

Poza tym, mówienie, że północ albo południe głosuje tak czy siak, to uproszczenie. Nawet tu w Oksfordzie jakaś część osób głosowała w 2016 roku za wyjściem z Unii. Kreśląc powyborcze mapy czy wykresy, skupiamy się na zwycięzcach w regionach i potem patrząc na nie, łatwo pominąć fakt, że strona przegra-



na nadal jest całkiem liczna. Na przykład w przypadku Brexitu, w bardzo wielu miejscach wynik był niemal remisowy.

Jakie znaczenie ma w takim razie poziom edukacji? Jest w Polsce taki polityk, Grzegorz Braun, który ma skrajnie prawicowe, ksenofobiczne, antysemickie, antyunijne i reakcyjne obyczajowe poglądy. A jednak największą grupą jego wyborców są osoby bardzo dobrze wykształcone. Jak to rozumieć?

– A skąd pomyśl, że osoba z wyższym wykształceniem nie może mieć antysemickich poglądów? Przejście przez system edukacji niekoniecznie zmienia czyjeś postrzeganie judaizmu.

Gdy myślę o osobie dobrze wykształconej, to raczej o kimsz otwartym, kto rozumie historię, mechanizmy społeczne i kulturowe, wie, jak rodzą się uprzedzenia, więc tak łatwo im nie ulega.



– Jeśli spojrzymy na Niemcy w latach trzydziestych XX wieku, to widzimy, że NSDAP cieszyło się tam wtedy dużym poparciem na uniwersytetach i w środowisku akademickim.

Owszem, to prawda, że co do zasady osoby z wyższym wykształceniem są bardziej otwarte na migrantów, bardziej pronunijne. To ma związek z tym, że widzą i rozumieją, że obie te rzeczy przynoszą korzyści im samym. Ale w sprawach takich jak na przykład właśnie antysemityzm nie ma prostego rachunku zysków i strat, jest więc więcej przestrzeni do budowania wrogości i uprzedzeń.

Czyli nadzieje, że populizm można zwalczać edukacją i faktami, są płonne?

– Cóż, nadzieja umiera ostatnia. Ludzie zmieniają poglądy, zmieniają partie, na które głosują.

Przed wszystkim zacząłbym od tego, że większość ludzi nie zna się na polityce i się nią nie intere-

suje. Dlaczego by mieli, skoro mają mnóstwo swoich codziennych zmartwień, prawda? Większość ludzi, jeśli przedstawimy im jakieś stanowisko i dowody, fakty, które je popierają, pójdzie za dobrze uargumentowaną opinią. Częściowo właśnie dlatego, że o danej sprawie po prostu niewiele wie.

Inaczej jest, jeśli mamy już wyrobioną opinię. Wtedy jesteśmy dużo bardziej odporni na fakty, które tej sprawy dotyczą. Na tym między innymi polega plemiennność dzisiejszej polityki. Bardziej niż fakty liczą się emocje.

Inną sprawą jest to – i pewnie jako dziennikarka doskonale to rozumiesz – że nawet kiedy podajemy jakieś liczby i dane, to nadal przedstawiamy tylko jakiś wycinek rzeczywistości. W gazecie musisz zmieścić się w wyznaczonej liczbie znaków, więc nieuchronnie zrezygnujesz z części kontekstów. Nigdy nie jesteś w stanie przedstawić ludziom w stu procentach neutralnych informacji.

• **Protest na Trafalgar Square w Londynie przeciw wynikom referendum, które zdecydowało o wyjściu Wlk. Brytanii z UE. Na plakacie napis: „37 procent to nie większość” (28.06.2016)**

FOT. REUTERS / DYLAN MARTINEZ

To prawda i mam świadomość, że często czyni się z tego zarzut wobec mediów. Ale nie jestem przekonana, czy alternatywy w postaci kilkudziesięcioskundowych rolek są pod tym względem dużo lepsze. Zastanawiam się natomiast, jaka jest dziś w takim razie rola wyborów, skoro staliśmy się tak odporni na informacje, które nie są spójne ze światopoglądem naszego plemienia.

– To oczywiście zależy od systemu politycznego, ale faktycznie na przykład w Stanach Zjednoczonych, które funkcjonują w systemie dwupartyjnym, większość ludzi będzie cały czas głosować tak samo. Co nie znaczy, że nie dochodzi do rotacji między elektoratami.

Na poziomie indywidualnych decyzji większość ludzi jest bardzo konsekwentna w tym, na kogo oddaje głos. Ale jeśli spojrzysz na sumaryczne wyniki i analizy elektoratów, to widać, że jakaś część zmienia decyzje wyborcze. Jeśli głosowałeś na konserwatystów 10 razy z rzędu, dość trudno jest potem głosować przeciw, głosować inaczej. Ale jeśli już raz zagłosujesz inaczej, w następnych wyborach dużo łatwiej będzie ci znów przenieść poparcie gdzie indziej.

Nieco inny jest przypadek brytyjski. Mamy w tej chwili dość słabe tożsamości partyjne, ale bardzo silne tożsamości brexitowe. Jeśli chodzi o przemieszczanie się elektoratów między partiami, notujemy najwyższe od 100 lat wskaźniki zmiany tego, na kogo głosują wyborcy. W pewien sposób tożsamość wynikająca z tego, jak zagłosowałeś w referendum przed dekadą, jest silniejsza od przywiązania do jakiegokolwiek partii. Z naszych badań wynika, że przynajmniej 60 procent osób wciąż swoją polityczną tożsamość opiera na głosie z 2016 roku.

To przemieszczanie się elektoratów występuje jednak w obrębie dwóch bloków. Przepływy widzimy albo pomiędzy Zielonymi, Partią Pracy, w niewielkim stopniu Liberalną Demokracją albo między torysami i Reform UK. Przejścia z bloku do bloku to rzadkość.

Większość ludzi nie zna się na polityce i się nią nie interesuje.

Dlaczego by mieli, skoro mają mnóstwo codziennych zmartwień?

Jeśli przedstawimy im jakieś stanowisko, dowody i fakty, które je popierają, pójdą za dobrze uargumentowaną opinią

Czy naprawdę po prawej i lewej stronie sceny politycznej poziom oderwania od faktów jest taki sam?

– Jeśli chodzi o przykład Wielkiej Brytanii, to obie strony – i ta głosująca za pozostaniem, i ta głosująca za wyjściem, wiedziały o Unii Europejskiej podobnie niewiele.

Kim są więc wyborcy z tej wąskiej grupy, która jest skłonna zmienić plemień?

– Nasza skłonność do rewizji tego, na kogo głosujemy, zależy od kilku czynników. Od tego, jak silna jest nasza tożsamość polityczna, jak bardzo skrajne są nasze poglądy. To oczywiste – im mniej skrajne, tym łatwiej nam je zmienić. Ale, co ciekawe, na naszą zdolność do zmieniania partii ma też wpływ osobowość. W naszych badaniach przyjrzyliśmy podział zależnie od poziomu neurotyczności. Czyli na osoby bardziej lękowe i takie, których cechy pasują do tego, co nazywamy dziś narcyzmem. Czyli takie, które mają przekonanie, że są trochę ważniejsze albo lepsze od innych.

Osoby bardziej neurotyczne mają większą potrzebę przynależności do grupy, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Im trudniej będzie porzucić dotychczasowe tożsamości polityczne. Dla osób mniej neurotycznych, które są naturalnymi antagonistami, zmiana pozycji jest mniejszym problemem.

Oprócz osobowości i poziomu radykalności znaczenie ma też funkcjonowanie w bańkach. Czyli to, na ile nasza tożsamość polityczna jest wzmacniana przez otoczenie – przyjaciół, pracę, rodzinę.

Najlepiej wpływ otoczenia na nasze poglądy obrazuje fakt, że większość małżeństw z czasem zaczy-

nają głosować tak samo. Albo uwspólniają swoje polityczne tożsamości, albo się rozstają (*śmiech*). Natomiast jeśli już mieszkasz z kimś, kto podziela twoją polityczną tożsamość, dużo trudniej będzie ją zmienić.

Jeszcze trudniej, jeśli dzielą ją też twoi przyjaciele, współpracownicy. A tego trudno uniknąć, bo ludzie mają tendencję do łączenia się w grupy z osobami o podobnych poglądach.

To przypomina mi o jednej z teorii wyjaśniających trudności młodych kobiet i mężczyzn w tworzeniu relacji, która zakłada, że one i oni za bardzo różnią się w poglądach, by móc być razem.

– W większości społeczeństw przeciętny mężczyzna i przeciętna kobieta są pod względem decyzji politycznych bardzo podobni, to znaczy mniej więcej tyle samo kobiet i mężczyzn głosuje na partię X, Y i Z. Nie mam na to badań, ale osobiście uważam, że wynika to właśnie z tego, że większość osób żyje jednak w parach. Statystycznie, w większości przypadków, żyjemy w gospodarstwach domowych, w których obok siebie żyją kobiety i mężczyźni. A że z czasem uwspólniają poglądy, rozkład płciowy w elektoratach jest równy.

Ale idąc dalej tym tropem, stawiam tezę, że przepaść światopoglądowa między płciami wiąże się z tym, że przesunął się wiek zakładania rodziny.

To brzmi jak błędne koło. Nie wiążą się w pary, bo się za bardzo różnią. Różnią się, bo się nie wiążą.

Pytanie – co było pierwsze?
– Bardziej prawdopodobne jest to, że najpierw zmienił się model rodziny, to znaczy przesunął się wiek wchodzenia w małżeństwo, a w efekcie zaczęły pogłębiać się międzyplciowe różnice. Z drugiej jednak strony pojawiły się też nowe osie sporu. Na przykład sprawiedliwość społeczna, prawa osób transpłciowych i tak dalej. Co do tych spraw podział ze względu na płeć jest szczególnie widoczny. Być może dlatego, że dotyczą takich cech, co do których kobiety i mężczyźni statystycznie się różnią.

To znaczy?

– Na przykład kobiety mają przeciętnie większą otwartość na nowe doświadczenia, co sprawia, że mniej sceptycznie reagują na zjawiska, które dopiero pojawiają się w debacie publicznej.

Ale ważnym czynnikiem może być też to, że widzimy dziś bardzo mocne podziały płciowe na rynku pracy. Na przykład w administracji, w urzędach, pracują dziś głównie kobiety. To dodatkowo wzmacnia segregację płciową, separowanie damskiej i męskiej bańki. Do tego dochodzi praca zdalna, która jeszcze bardziej izoluje nas od ludzi o odmiennych poglądach.

Czy to, że izolujemy się w bańkach i odmawiamy przyjęcia do wiadomości czegokolwiek, co nie jest spójne z naszymi przekonaniami, nie oznacza też, że jesteśmy mniej krytyczni wobec ich liderów? Niekładnie uważają, że ostatnie zamieszki w Belfaście nie wydarzyłyby się, gdyby nie podgrzewanie nastrojów przez Nigela Farage'a czy Elona Muska.

– W przypadku brytyjskich plemion – zwolenników i przeciwników Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej – obserwujemy, że największe znaczenie dla kształtowania opinii wyborców ma ich najbliższe otoczenie.

Oczywiście, jeśli zjedziemy do poziomu partii, one mają liderów, którzy bardziej lub mniej skutecznie pociągają za sobą ludzi. Ale w przypadku dychotomii *leave* i *remain* nie ma wyraźnych przywódców tych dwóch plemion. Dużo większe znaczenie mają w tych grupach ich wewnętrzne normy. Na przykład wśród osób, które głosowały za pozostaniem w Unii, rozpowszechniły się postawy proeuropejskiej. Ta grupa jest dużo bardziej skłonna myśleć o sobie jako o Europejczykach.

W tym sensie te nowe tożsamości różnią się od starych, partyjnych tożsamości. Kie-

kalnych. Wolałbym nie dywagować nad tym, jak radykalne kroki musiałby podjąć rząd, by naprawdę zadowolić wyborców prawicy w sprawie migracji.

Z drugiej strony każde wzmożone działania wymierzone w migrantów momentalnie rodzi pytania o humanitaryzm, prawa człowieka, prawo międzynarodowe. Mobilizuje w ten sposób elektorat lewicowy, który staje w obronie cudzoziemców. To kwestia bardzo silnie polaryzująca, co sprawia, że zarządzanie społecznymi emocjami dotyczącymi migracji jest bardzo, bardzo trudne.

W książce przestrzega pan, że silne emocje, które czujemy przeciwko drugiemu plemieniu, mogą prowadzić do dyskryminacji w pracy czy na uczelni. Co to znaczy?

– Uprzedzenie polega na tym, że ludzie my-

Gdy poprosiliśmy uczestników naszego badania, by opisali w kilku słowach drugą stronę sporu, drugie plemię, 25 proc. po prostu zaczęło kłąć i używać obraźliwych epitetów: „mają wyprane mózgi”, „to samolubne...”

dyś, gdy o jakiejś sprawie nie mieliśmy wiedzy, a więc nie mieliśmy też jasnej opinii, podążaliśmy za tym, co powiedział nam partyjny lider. Jest na przykład wiele dowodów na to, że gdy konserwatyści stali się bardziej eurosceptyczni, ich zwolennicy także zaczęli mniej popierać Unię. Ale jeśli to kwestia, na której mi zależy, to nie będę zwracał uwagi na to, co mówią elity i przywódcy. Bardziej prawdopodobne jest, że zmienię tożsamość, by znaleźć ludzi, którzy będą podzielać moje opinie, niż że pójdę za tym, co narzuca mi jakiś polityczny przywódca.

Myślę o kwestii migracji, która szczególnie często staje się sprawą polityczną. W Polsce chodzi o obywateli Ukrainy, wobec których Polacy stają się coraz bardziej wrodozy. Czy to by w czymś pomogło, gdyby prawicowi politycy spuścili z tonu?

– Migracja jest szczególnie trudnym tematem, bo tak naprawdę w tej rozmowie nie chodzi o to, jak migranci się integrują, czy są legalni, czy nie, ani ile państwo na nich wydaje. Prawda jest taka, że jej przeciwnicy po prostu chcą, by migranci z ich kraju zniknęli. ograniczanie na przykład dostępu do świadczeń społecznych to tylko kamuflaż i półśrodek, bo de facto przeciwnicy migracji chcieliby działać dużo bardziej rady-

śla, że ludzie po drugiej stronie są w jakiś sposób gorsi. Żli, głupi, niedoinformowani i tak dalej. Gdy poprosiliśmy uczestników naszego badania, by opisali w kilku słowach drugą stronę sporu, drugie plemię, 25 procent z nich po prostu zaczęło kłąć i używać obraźliwych epitetów: „mają wyprane mózgi”, „to samolubne...”.

Przy tak wysokim poziomie uprzedzeń możemy niestety spodziewać się także dyskryminacji. Trudno to wprost zmierzyć, bo żeby to zrobić, trzeba by ludzi ciągle obserwować, na przykład w pracy. Ale wymyśliłbym na to sposób. Zapytaliśmy uczestników badania, w jakim stopniu są gotowi rozmawiać o polityce. Mniej niż połowa zadeklarowała, że byłaby gotowa o niej dyskutować z kimś z drugiej strony barykady.

Klasyczne pytanie, którego używa się w takich badaniach, to: jak bardzo byłbyś nieszcześliwy, gdyby twój syn lub córka poślubił kogoś, kto należy do przeciwnej opcji. I znów, najczęściej słyszeliśmy: „byłbym z tego bardzo niezadowolony/a”.

Na koniec testowaliśmy to na konkretnych przykładach, na przykład stawialiśmy badanych przed hipotetycznym wyborem: wynajmujesz pokój w swoim domu i wybierasz lokatora, który u ciebie zamieszka. Każdemu podaliśmy różne, losowo wybrane cechy tych lokatorów. Niektórzy byli mężczyznami, kobietami, niektórzy starsi, inni młodszy, niektórzy mieli pracę, inni studiowali i tak dalej. Wśród tych cech znalazły się poglądy polityczne.

I to one miały decydujące znaczenie. Ludzie woleli mieć sąsiada, który uczy się grać na perkusji, niż takiego, który w referendum zagłosował inaczej niż oni.

To oczywiste, że przeciwne plemiona się nie lubią. Ale dopiero gdy spoglądam na te dane o poziomie wzajemnej niechęci z lotu ptaka, zaczynam zdawać sobie

sprawę, jak głęboki stał się rozpad relacji społecznych.

– Co mnie zaskoczyło w wynikach, to że te antagonistyczne, postbrexitowskie tożsamości są tak trwałe. I tak silne dziesięć lat po referendum. Ale to nie potrwa wiecznie, bo w dorosłość wchodzi coraz więcej ludzi, którzy nie mogli wtedy głosować i w związku z tym nie wykształcili żadnej z postreferendalnych tożsamości. Z czasem więc ten podział będzie coraz bardziej wygasać.

W Polsce za wydarzenie, które rozpoczęło polityczny podział, uważa się katastrofę smoleńską. Podział pozostał, ale w międzyczasie zmieniły się sprawy, które ten spór rozgrzewają. Teraz to między innymi, podobnie jak w Wielkiej Brytanii, podejście do Unii Europejskiej.

– W większości starych demokracji tożsamości polityczne wynikają z podziału na frakcje partyjne. Nie jestem ekspertem, jeśli chodzi o polską politykę, ale wydaje mi się, że w naszym przypadku tożsamości partyjne długo nie były tak silne, choćby dlatego, że partii było całkiem sporo. Że osiami podziału były tożsamości społeczne, na przykład stosunek do Kościoła czy systemu gospodarczego. To się zmienia, gdy pojawiają się dominujące ugrupowania, ale te społeczne tożsamości i tak cały czas, nawet przy podziale partyjnym, ujawniają się niezależnie od niego. Osi sporu może być więc wiele.

Lekcja z Brexitu jest natomiast taka, że nawet w dojrzałych demokracjach tożsamości polityczne mogą oderwać się od prostego podziału na partię. To może z kolei wynieść na powierzchnię nowe twory polityczne. Albo takie, które wcześniej pozostawały na marginesie. Tak było w przypadku Szkockiej Partii Narodowej, która w 2015 roku wprowadziła do brytyjskiego referendum parlamentu rekordową ilość posłów po tym, jak rok wcześniej Szkoci zagłosowali w referendum przeciw odłączeniu się od reszty Zjednoczonego Królestwa.

Co by się więc musiało wydarzyć, żeby któryś z brytyjskich rządów zdecydował o rozpisaniu referendum reakcesyjnego?

– Obecnie taki scenariusz wydaje mi się bardzo mało prawdopodobny. Musiałby urosnąć silny oddolny ruch proeuropejski. Ale nawet jeśli, to byłoby bardzo trudne, choćby dlatego, że nowa umowa Wielkiej Brytanii z Unią Europejską byłaby dla nas dużo mniej korzystna. Więc nawet jeśli odbyłoby się referendum, nie ma pewności, że ludzie chcieliby powrotu na warunki, które teraz może nam zaoferować Bruksela. Myślę, że to by wywołało znów ogromne protesty.

To całkiem prawdopodobne, że za jakiś czas ten spór rozgorzeje na nowo. Ale żebyśmy wrócili do Unii, bardzo wiele musiałoby się wydarzyć. A może się wydarzy? W Brexit też kiedyś nie wierzyliśmy. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Profesor James Tilley

• Badacz opinii publicznej i zachowań wyborców w Wielkiej Brytanii i Unii Europejskiej. Autor książek „The New Politics of Class: The political exclusion of the British working class” (z Geoffem Evansem), „Blaming Europe? Responsibility without accountability in the European Union” i najnowszej „Tribal Politics: How Brexit divided Britain” (obie z Sarah Hobolt). Wykłada socjologię polityczną na Oksfordzie.

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliniński;
MAGAZYN WYBORCZE: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie
redakcyjnych
materiałów
publicystycznych
bez zgody wydawcy
jest zabronione.



• **Protest pracowników niemieckiego sektora stalowego zorganizowany przez związek zawodowy IG Metall w Berlinie. Kryzys wywołały: wysokie ceny energii, mniejszy popyt w kraju i konkurencja tańszej stali z Azji (12.06.2026)**



Z **URSZULĄ PTAK** I **ŁUKASZEM SOŁTYSIAKIEM**, TWÓRCAMI PODCASTU „NIEMCY OD ŚRODKA”, ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

W swoim podcaście opowiadacie Polakom o rzeczywistości zza naszej zachodniej granicy z perspektywy dwóch dużych miast – Berlina i Hamburga. Co zmotywowało was do prowadzenia tego kanału?

URSZULA PTAK: wychodzę z założenia, że w Polsce wyobrażenie o Niemczech jest podwójnie błędne. Prawa strona zakłada, że Niemcy mentalnie wciąż są tacy jak w 1945 roku i w ogóle się od tamtego czasu nie zmienili. Z kolei lewa strona uważa, że niemiecki obywatel to wzór wszelkich cnót. Oba wyobrażenia są oczywiście fałszywe.

Brakowało mi opinii na temat różnych wewnętrznych konfliktów, ale takich z realnego życia w Niemczech. Bo zupełnie inaczej patrzy się na społeczeństwo, kiedy dzień w dzień sam szarpiesz się z tym systemem, płacisz tu od lat podatki, a inaczej, kiedy przyjeżdżasz na miesięczny projekt, masz opłacony wypasiony hotel ze śniadaniem i rozmawiasz tylko z ludźmi podobnymi do siebie.

ŁUKASZ SOŁTYSIAK: Niemcy bardzo często komentowane są przez prasę i różne ośrodki analityczne, ale przez pryzmat Polski, co mocno wiąże się też z perspektywą historyczną. My chcemy po prostu mówić jak jest, pokazując niemiecką codzienność właśnie od środka.

Niemcy – czwarta gospodarka świata – znajdują się obecnie w kryzysie. Przeciętny Polak, który przecież tego Niemca niezbyt lubi, pewnie chętni o tym posłucha.

Ł.S.: Wydaje mi się, że nie jest to zjawisko stricte polsko-niemieckie. Podobne reakcje widzimy w relacjach niemiecko-amerykańskich. Niemcy tak samo patrzą w stronę Ameryki, jak Polacy w stronę Niemiec. Bardzo chętnie ko-

NIEMIEC SIĘ NIE ZBUNTUJE

„W Polsce wyobrażenie o Niemczech jest podwójnie błędne. Prawa strona zakłada, że Niemcy mentalnie wciąż są tacy jak w 1945 roku. Lewa uważa, że niemiecki obywatel to wzór cnót. Oba wyobrażenia są fałszywe”.

mentują wszystko, co tam się dzieje. Np. chętnie krytykują Trumpa.

U.P.: To – jeden do jednego – przełożenie kompleksu. W Polsce problem polega na tym, że jesteśmy państwem, które w bardzo krótkim czasie diametralnie się rozwinęło, a część ludzi nie nadążała za przerobieniem tej rzeczywistości. Z kolei Niemcy nie nadążają za tym, że właśnie spadają z piedestału.

To podkreśla historyczne reakcje: albo odrzucenia zmian, albo ich kompletnej afirmacji. W społecznych ocenach trudno dziś o spokój. Tylko ekstremalne opinie dobrze się sprzedają, wyśrodkowywanie przestało być atrakcyjne. Co – trzeba podkreślić – też jest niemiecką specyfiką, bo Niemcy to naród romantyków. Oni wierzą

w to, co chcieliby widzieć, w rzeczywistość z wyobraźni. Mają ekstremalne podejście do spraw, cały czas jadą na ścianę, a dopiero gdy się na niej znajdują, zaczynają myśleć racjonalnie.

Przyczyną radykalizacji społeczeństwa jest też narastający w obywatelach lęk?

Ł.S.: Ten lęk ma racjonalne podstawy. Cała klasa polityczna obecnie Niemców zawodzi.

U.P.: System nie jest stabilny. Czy to kasjerka w supermarkecie, czy profesor uniwersytetu – dziś wszyscy odczuwają jakieś drgania.

Te drgania mogą objawić się jakimś społecznym buntem, czy Niemcy po prostu duszą je w sobie?

U.P.: Niemcy i bunt przeciwko władzy – to słowa, które się wzajemnie wykluczają. To nie jest Francja, gdzie żółte kamizelki wychodzą na ulice i rozwalają pół miasta. Tutaj jest raczej ciche knucie i pielęgnowanie nienawiści do wszystkich na górze. A jednocześnie mamy ogromną bierność i oczekiwanie, że ta „góra” się nami zajmie. Bo to ona jest odpowiedzialna za to, czy ja będę mieć na czynsz. Taki jest model psychologiczny. Co przypomina gotowanie pod pokrywką. W Niemczech, jeżeli już następuje zmiana, odbywa się na zasadzie wysadzenia tej pokrywki. Tylko wtedy nie ma już czego zbierać.

Ł.S.: Jakikolwiek bunt jest absolutnie niemożliwy. Niemcy są wychowani tak, że zawsze masz jakąś instytucję, zawsze masz kogoś nad sobą. I albo żyjesz z tym kimś dobrze, albo stwarzasz pozory, że jest dobrze. Ewentualnie knujesz; narzekasz i starasz się dochodzić swoich praw, ale nie przez bunt, tylko przez roszczeniowość. To jest coś bardzo charakterystycznego dla niemieckiego społeczeństwa.

Jak ta roszczeniowość się objawia?

Ł.S.: Warto podkreślić, że ona bywa uzasadniona. Np. chcesz więcej pieniędzy, to masz swój związek zawodowy i zawsze masz kogoś nad sobą. Ale często ta roszczeniowość w ogóle nie ma podstaw. Wynika raczej z samej niemieckiej mentalności. Ludzie w większości nie zadają sobie trudu, żeby zastanowić się, dlaczego znajdują się w takim kołowrotku. Np. nad tym, że to oni sami wybrali tę władzę. Nie ma refleksji, że cokolwiek – choćby w małym stopniu – może zależeć ode mnie.

Ale w Niemczech – głównie w Berlinie – odbywają się przecież różne demonstracje.

Ł.S.: Najpopularniejsze są demonstracje przeciwko prawicy, przeciwko AfD. Ale kiedy zapytasz kogoś, po co właściwie idzie na taki protest, często pierwsza odpowiedź to: „Przecież będą tam wszyscy, nie można tam nie być”.

U.P.: Absolutnym fenomenem jest to, że mówimy o demonstracjach nie przeciwko

władzy, ale przeciwko opozycji! Chociaż Friedrich Merz ma fatalne notowania jako kanclerz – jak pokazują badania Deutschlandtendenz z maja 2026 r., tylko 16 proc. wyborców ocenia pracę jego rządu dobrze. A jedyny większy protest wobec tej władzy odbył się w Berlinie rok temu, krótko po tym, gdy Merz przejął stery. Były to demonstracje przeciwko CDU, ale – co ciekawe – dlatego, że jego partia wcześniej „zbratała się z faszyzmem”, jeden raz głosując wspólnie z AfD.

Słowo „faszyzm” funkcjonuje też powszechnie w polskiej debacie publicznej, przypuszczam jednak, że w Niemczech wybrzmiewa to inaczej niż u nas.

U.P.: Faszyzm to niemiecka trauma narodowa, to także inna historia walki między komunistami i faszystami. W Polsce kopiuje się lewicową narrację z Niemiec jeden do jednego, kompletnie nie rozumiejąc niemieckiego backgroundu, walki klas w na wskroś burżuazyjnym systemie. Co warunkuje inną, wręcz odwrotną mentalność. Mamy zupełnie inną historię, przede wszystkim doświadczenie komunizmu. Warto podkreślić, że w Niemczech istnieje olbrzymi podział na Wschód i Zachód.

Jedynymi Niemcami, z którymi moglibyśmy się jako tako porównywać, są Niemcy wschodni, gdzie poparcie dla AfD utrzymuje się od dawna na poziomie ok. 40 proc. Podejrzewam, że może być nawet wyższe. Tutaj mówi się o rządzie słownictwem AfD, o „partiach kartelowych”, czyli partiach układu władzy Republiki Federalnej, w kontrze do samej AfD. Nie wolno pominąć faktu, że poparcie dla AfD na zachodzie Niemiec też rośnie, sięga ok. 20 proc.

Mocno wybrzmiewa opozycja „elity” kontra „lud”?

U.P.: Bardzo mocno. Dużo jeżdżę po wschodniomiejscowej prowincji i lepiej jest mi powiedzieć, że jestem z Polski, niż że przyjechałam z Berlina. Polska darzona jest większym szacunkiem, a słowo „Berlin” wręcz kończy rozmowę. Ci ludzie uważają, że szkoda strzępić języka na gadkę z kimś, kto stamtąd przyjechał. Berlin jest synonimem złej polityki, lekceważenia trosk zwyczajnego człowieka i psucia tradycji. Ostatnio w piekarni w Meklemburgii rozmawiałam z panią w kolejce. Gdy nieopatrznie powiedziałam, że przyjechałam właśnie z Berlina, kobieta po prostu się ode mnie odwróciła. Bez słowa.

Dlaczego porównywanie się Polaków z zachodnimi Niemcami nie ma żadnego przełożenia?

U.P.: Oni wyrosli z innej, postamerykańskiej rzeczywistości. Generacja, która urodziła się po II wojnie, ma dziś około 70 lat, ich dzieci 50, a wnuki 20-30. To są inaczej sformatowani ludzie, funkcjonujący już od kilku pokoleń w tym zamożnym i bezpiecznym Zachodzie. To Amerykanie układali im system, np. programy szkolne. Oczywiście większość dawnych elit nazistowskich została, nikt ich przecież nie ruszył.

W Niemczech nie ma nawet bezpośrednich wyborów prezydenckich. Prezydenta wybiera specjalne zgromadzenie, co moim zdaniem odbiera temu narodowi sprawczość. Ja lubię wybory prezydenckie, bo właśnie tutaj chodzi o konkretną osobę, a w Niemczech ludzie te wybory mogą sobie obejrzeć w telewizji.

L.S.: To prawda, przywiązanie do elit i to „bycie Anglosasem” jest tutaj bardzo ważne. 14-letni syn, który interesuje się historią, zapytał mnie ostatnio, jak to jest, że 8 maja świętuje się w Niemczech Tag der Befreiung, czyli dzień wyzwolenia od nazizmu. „Przecież oni sami tego Hitlera wybrali. To on rozpoczął tę wojnę, oni ją przegrali, a teraz cieszą się z tego, że przegrali”.

To jest właśnie kwintesencja niemieckiego metalu: oni chcą być tam, gdzie jest lepiej. Sytuują się po stronie Stanów Zjednoczonych, czyli wygranych, jednocześnie kompletnie zapominając o tym, że przegrali obie wojny.

Polacy za to mają mentalność ofiary.

L.S.: To jest cały czas pielegnowane. Polacy muszą być trochę pokrzywdzeni, wtedy czują się dobrze. „Przegraliśmy po dobrym meczu” – to jest bardzo polskie. Niemiec mówi natomiast: „Nawet kiedy przegraliśmy, to wygraliśmy, bo dołączyliśmy do wygranych”.

U.P.: W Niemczech, nawet jeśli ktoś został ewidentnie pokrzywdzony, nie powie tego na głos. Taka osoba będzie wypierać krzywdę, którą ją spotkała. Bo ofiar się nie ceni. Ofiara jest bierna, a człowiek musi być sprawczy. Tymczasem Polak będzie swoją krzywdę jeszcze podkręcał. Niemcy są też bardzo lojalni wobec swojego państwa i obcym się nigdy nie skarżą, a Polak, pierwsze, co robi, to się poskarży.

Jak Niemcy mieszczą w sobie tę lojalność wobec państwa z jednoczesnym poczuciem, że żyje im się coraz gorzej?

U.P.: To jest ogromny dysonans, którego nie da się do końca pomieścić. Dlatego w życiu codziennym obserwujemy coraz więcej agresji. Nieuprzejmość to jest w ogóle berliński znak rozpoznawczy. Jest na to nawet określenie: „Berliner Schnauze”, czyli taki berliński pysk. Zadajesz jakieś pytanie kasjerce w sklepie i ona ci odpyskuje. To jest powszechne doświadczenie, nawet w lepszych dzielnicach miasta.

L.S.: Plus cały czas pokutuje to wspomniane oczekiwanie, że władza się mną zajmie. Dlatego jest tu tak kosmicznie rozbudowany system socjalny, który – powiedzmy wprost – zarzyna niemiecki budżet. Obecnie Niemcy nie notują wzrostu gospodarczego, pieniędzy w budżecie po prostu brakuje.

U.P.: Liczba zasiłków i rodzajów pomocy, których można wymagać od państwa, jest niewiarygodna. W tej chwili na garnuszku państwa żyje 5,5 mln osób, otrzymując świadczenia socjalne w wysokości minimum 563 euro miesięcznie puls przejęcie kosztów za mieszkanie. Następny milion otrzymuje pomoc mieszkaniową, czyli dopłaty do czynszu, bo za mało zarabia. Ponad milion osób otrzymuje dopłaty do emerytur, bo otrzymują świadczenia poniżej minimum socjalnego, i tak dalej. W samym Berlinie 20 proc. mieszkańców żyje z socjalu, a gdy doliczy się do tego przeróżne okresowe dopłaty, odsetek się podwaja.

W ten system socjalny wciąż ładowane są ogromne pieniądze, mimo że w zasadzie jest on systemem wtórnie ubezpieczającym. Bo jeżeli ktoś miałby zacząć normalnie pracować za minimalną krajową – a tak się tutaj zarabia, nie mając kwalifikacji – zyskuje wszystkie troski i zero benefitów. Ten manewr kompletnie się nie opłaca.

Rozbudowany system socjalny w Niemczech może wynikać z dużej roszczeniowości samego narodu?

L.S.: Dokładnie. Z kolei ta roszczeniowość bierze się stąd, że przykłada się duże znaczenie do indywidualizmu. To się zaczyna już na poziomie szkoły. W szkole podstawowej jest jakiś program, ale on jest realizowany indywidualnie. Nie ma ocen. Jak idziesz na wywiadówkę, to nauczycielka rozmawia z tobą o twoim dziecku, nie mówi się o dzieciach w kontekście klasy. No i później każdy wychodzi z założenia, że jest jakimś indywidualum na tym świecie. A jak nie pasuje do systemu, gdzie trzeba pracować, to państwo musi się mną zająć. Bo ja jestem częścią tego społeczeństwa i tego żądam.

Znam wykształcone osoby, które przez dekady siedzą na garnuszku państwa, bo np. są artystami i twierdzą, że nie ma dla nich pracy. Taki ktoś potrafi grać na instrumentach czy rozśmieszać ludzi, no ale państwo nie składa mu odpowiednich ofert. I co on ma z tym zrobić?

Co się dzieje z takimi osobami?

U.P.: To się wiąże z różnymi kosztami psychicznymi, bo świat pędzi do przodu, niezależnie od tego, czy „mama”, „Mutti” – rozumiana tutaj jako państwo – pogłaszcze nas po głowie i powie: „No spróbuj, zrób coś”, czy nie. Życie mija i takie osoby często są potem sfrustrowane. Bo po tych 30 latach bilans życiowy jest smutny. Nie ma sukcesu, który na Zachodzie

jest przecież bardzo premiowany. Nie zawsze chodzi o finanse, ale o mentalne poczucie, że jest się w drużynie wygranych.

W tych grupach obserwujemy też silną podatność na komunistyczną ideologię. Nie tyle lewicową – bo lewica ma wiele odcieni – ile stricte komunistyczną, wywodzącą się z Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec z NRD. Są pomysły na nacjonalizację majątków, mieszkań, rozdawanie pieniędzy według klucza. Komunizm, który zresztą tu się narodził, wcale nie umarł.

„Artysta na zasiłku” głosi więc na lewicę, np. socjalistyczną Die Linke, a robotnik zwraca się ku prawicowej AfD?

U.P.: Osoby z klasy robotniczej, które są absolutnie nieuprzywilejowane, nie bez przyczyny przeszły do AfD. Mamy robotników czy rzemieślników, którzy naprawdę ciężko pracują, a nie czują się ani finansowo doceniani, ani politycznie zauważani.

Bogaci z mojej dzielnicy kupują w sklepach bio i głosują na Zielonych. Wierzą, że – dajmy na to – piekarz głosi na AfD, bo jest źle wy-

Niemcy i bunt przeciwko władzy – to słowa, które się wzajemnie wykluczają. To nie jest Francja, gdzie żółte kamizelki wychodzą na ulice i rozwalają pół miasta. Tutaj jest raczej ciche knucie

kształcony i nie ma wiedzy o tym, jakie to groźne, ale ten piekarz nie robi zakupów w takich sklepach. Z kolei dla klasy średniej koszty życia są ogromnie wysokie, a wynagrodzenia praktycznie nie rosną. I tak rodzą się frustracje i odległości międzyklasowe.

L.S.: W dużych miastach koszty wynajęcia mieszkania są horrendalne, ale większość i tak się tu przeprowadza, bo jest więcej pracy. Pozostanie na prowincji się nie opłaca. Kiedy pojedziesz z Hamburga jakieś 30 km, znajdziesz się w wioskach, które są praktycznie wymarłe.

U.P.: Nawet w miastach większość ludzi wynajmuje mieszkania przez całe życie. W Berlinie 85 proc. mieszkań jest na wynajem.

Część polskiej lewicy podnieca się tym, że w Niemczech nie ma tego konserwatywnego mentalu „potrzeby własności”.

U.P.: To jest właśnie największe oszustwo. Prawda wychodzi na jaw dopiero w momencie przechodzenia na emeryturę, która jest raczej niska. Ludzie nie mają pieniędzy na starość i często nie stać ich na czynsz w mieszkaniu, w którym spędzili całe życie. Eksmisje z takich lokali są dziś na porządku dziennym. Mit niemieckiego bogatego emeryta można ograniczyć do kilku procent Niemców zachodnich – pracowników dużych koncernów, którzy mieli też opłacane renty zakładowe. I urzędników, których w Niemczech można nazwać wręcz kastą.

L.S.: Niemcom wmówiono, że nie warto mieć własnego mieszkania, bo zawsze są mieszkania czynszowe na rynku. To była w dużej mierze też narracja robotnicza. Robotnik idzie za fabryką. A jak masz mieszkanie czynszowe, jesteś mobilny. Dzisiaj pracujesz w Berlinie, a jutro jedziesz do Wolfsburga. Własnościowe mieszkanie było przedstawiane jako kula u nogi.

U.P.: Sytuacja wygląda teraz tak: jeżeli masz mieszkanie czynszowe, to de facto jesteś niewolnikiem tego mieszkania. Bo jeśli chcesz je zmienić, tracisz swój stary czynsz z umowy, którego wzrost był systemowo ograniczany. Więc podpisując nową umowę, masz już wyższy czynsz, czasami nawet trzykrotnie. Ktoś miał 500 euro czynszu, powiększa mu się ro-

dzina i postanawia zmienić lokum na większe – i nagle rośnie mu do 1500.

I co wtedy robi? Bierze dodatkową robotę?

U.P.: Nie, to się kompletnie nie opłaca, bo wchodzi się wtedy w nowy próg podatkowy, więc wszystko, co zarobi dodatkowo, zeżrą mu podatek i składki. Taki człowiek żyje w klatce jak chomik. Został uwięziony w systemie. Żeby kupić mieszkanie w mieście lub dom na przedmieściach, trzeba mieć dobrą zdolność kredytową, którą trudno osiągnąć, zarabiając średnią krajową.

Jest też inny problem. Emerytki – najczęściej kobiety – zostają w za dużych mieszkaniach. Ich mężowie umierają, dzieci się wyprowadzają. Taka osoba nie chce już mieszkać w tak wielkim lokalu, ale mniejszy jest na rynku droższy niż te cztery pokoje, w których mieszka. Jedna osoba żyje na 100 metrach, bo nie stać jej na 50. Słyszę mnóstwo takich absurdalnych historii.

L.S.: Takie sytuacje wywołują tarcia między osobami z różnych klas. Rodzina, która ma dwójkę dzieci, musi mieszkać w dwóch pokojach i patrzy zazdrośnie na osobę, która sama żyje na 100 metrach.

U.P.: Niemcy są bardzo klasowym społeczeństwem – podzielonym i respektującym te granice, przestrzegającym hierarchii. Tutaj klasy za bardzo się ze sobą nie mieszają. I już widzimy luki w tej opowieści równościowej. Bogaci starzeją się w swoich domach czy mieszkaniach, a biedni w czynszowych. Bogaty płaci 250 euro kosztów administracyjnych utrzymania budynku, a biedny 900 euro czynszu.

Mówiliście o „kaście urzędników”. Rzeczywiście istnieje coś takiego w Niemczech?

L.S.: Urzędów jest mnóstwo i ciągle się rozrastają. Ostatnio znowu pobiliśmy rekord: przez ostatnie 5 lat liczba urzędników wzrosła o 5 procent. Czasy są niespokojne, więc działamy w myśl zasady, która funkcjonuje od starożytnego Rzymu: jak coś się dzieje, trzeba uspokoić ludzi wokół siebie. Stałe powiększanie liczby urzędników to forma redystrybucji.

Ci urzędnicy mają swoje przywileje. Płacą mniejsze podatki, nie placą ubezpieczenia emerytalnego, za to nie mają normalnej emerytury, tylko dostają tzw. pension – mówimy o stawkach średnio 1000 euro wyższych od przeciętnej.

Niemieckie społeczeństwo żyje dziś kryzysem paliwowym wywołanym konfliktem USA i Izraela z Iranem oraz zamknięciem cieśniny Ormuz. Wysokie ceny na stacjach benzynowych sprawiły, że część obywateli zdecydowała się na „turystykę paliwową” – np. w Świnoujściu ustawiają się długie kolejki, by zatankować. Dotyczy to zresztą nie tylko osób prywatnych, ale i całych firm.

L.S.: Początkowo niemiecki rząd długo czekał na to, co się stanie, zupełnie nie reagując. Gdy ceny wystrzeliły powyżej 2 euro, pojawiało się coraz więcej krytycznych artykułów, nawet tradycyjnie przychylna rządowi prasa zaczęła pisać, że wypadaloby coś z tym zrobić.

Po długich rozmowach politycy doszli do wniosku, że wprowadzą tzw. model austriacki, który w praktyce polega na tym, że stacje benzynowe będą mogły podnosić ceny paliw tylko raz dziennie, o godzinie 12. Media zareagowały krytycznie, że przecież model austriacki w Austrii nie działa, więc chyba nie ma sensu go wprowadzać. No ale skoro oni już tyle o tym dyskutowali, to rozwiązanie i tak wprowadzono. To kompletnie nic nie dało.

U.P.: Jak to nie dało? Widzimy, że wpływy do budżetu wzrosły. Paliwo w Niemczech jest mocno opodatkowane, podatki stanowią około połowy ceny na stacji. Codziennie – ale tylko raz dziennie! – podnoszona jest cena. Rząd zrobił dobrze sobie, nie obywatelom.

To zresztą bardzo niemieckie zagranie. W Niemczech, jak się o czymś już dyskutuje, odbywa się to w atmosferze ogromnej powagi. Dostrzegliśmy problem, dyskutujemy. Tylko

często nic za tym nie idzie. I żaden polityk nie chce przejąć odpowiedzialności za te działania, bo gdy weźmie na siebie tę odpowiedzialność, to ludzie go ukarzą, sondaże mu spadną. Ale to powoli przestaje działać, bo rząd ma rekordowo niskie notowania.

W obliczu kryzysu paliwowego niemiecki rząd podjął też inny krok – 1000 euro premii dla wszystkich pracowników.

Ł.S.: Sęk w tym, że to pracodawcy mają wypłacić te premie swoim pracownikom, ale rząd nie będzie ściągał od tej kwoty podatku. Dość szybko okazało się, że to niewypał, zbyt mało firm zgłosiło się do programu.

U.P.: Pojawiła się też propozycja, żeby osoby na zasiłkach też pobierały tę premię. Ale tylko te podejmujące jakieś minimalne działania np. pracujące przez 5 godzin w tygodniu. Ale rząd już się wycofuje z koncepcji tej premii.

Ł.S.: Niedawno zrealizowano jeszcze trzeci pomysł: obniżenie podatków. Co miało dać oszczędność 17 eurocentów na litrze benzyny. Okazało się, że realny spadek wynosi mniej więcej 4 eurocenty.

Co na to wszystko Niemcy?

U.P.: Czym to skutkuje? AfD jest najsilniejszą partią w sondażach, a dystans przypuszczalnie będzie rósł. Przestało już działać zakłęcie, że wszyscy, którzy głosują na AfD, to faszysty.

Siada też wyobrażenie Niemców o sobie samych. Zwłaszcza na zachodzie kraju długo utrzymywało się przekonanie, że jesteśmy najbogatszym krajem Europy, w związku z tym wszyscy nas cenią i każdy chce nas jako turystów. Dziś ci sami ludzie dostrzegają, jak brzydkie są niemieckie miasta, jak zaniedbane są ulice, mosty, infrastruktura kolejowa, że nic nie działa punktualnie. To wreszcie do Niemców dotarło.

Przy wydatkach na inwestycje oscylujących wokół 10 miliardów euro rocznie?

Ł.S.: Jest takie niemieckie pojęcie wprowadzone w latach 20. i 30. XX wieku – ordoliberalizm. To połączenie dwóch słów: liberalizmu i niemieckiego porządku (*Ordnung*). Niemcy chcą żyć w liberalnym społeczeństwie, także jeśli chodzi o gospodarkę, natomiast nie umieją stworzyć tego inaczej niż przez ten *Ordnung*. Nad wszystkim musi być jakieś panowanie, jakiś urząd.

W tej chwili gołym okiem widać, jak bardzo to Niemców ogranicza. Bo z tego systemu robi się taki wielki pociąg, który jak się rozpędzi, to działa dobrze. Ale kiedy musi wyhamować i zmienić tor, tak jak teraz, trwa to bardzo długo, o ile po drodze nie dojdzie do katastrofy.

Spółeczeństwo niemieckie jest – mówiąc wprost – zacofane?

Ł.S.: Tak się może wydawać, choć to wynika bardziej z tego, że w porównaniu z polskim jest po prostu starsze. Niemcy wciąż są innowacyjni. Cały czas powstaje tu bardzo dużo patentów, w badania inwestowane jest mnóstwo pieniędzy. Oni wiedzą, że trzeba to robić. Natomiast mają kłopot z wdrażaniem tych innowacji, to często trwa po prostu zbyt długo.

Inna kwestia: mamy mało inicjatyw na rynku pracy, które tworzone są od dołu. A nawet jeśli już są, to i tak muszą wejść w system, bo inaczej nie mają szans, żeby zaistnieć w tym zamkniętym światku gospodarczo-przemysłowym. Musisz się starać o finansowanie, znaleźć instytucje w swoim mieście, w swoim landzie czy przy rządzie, po to, żeby popchnęły twój pomysł dalej. Inaczej nie masz szans.

U.P.: W dzisiejszym świecie bardzo ważne jest, żeby być elastycznym. Polacy są niezwykle mobilnym i elastycznym narodem, Niemcy – zupełnie nie. Postęp technologiczny związany ze sztuczną inteligencją ich wyprzedził. Wszystkie technologie, które mamy, są albo amerykańskie, albo chińskie. I Niemcy czują, jakby się budzili z głębokiego snu, ale niestety, ten pociąg już odjechał.

Polak w kryzysie się mobilizuje, a Niemiec?

U.P.: Niemiec jest sparaliżowany i czeka na decyzję z góry. To jest spora różnica mentalna, która przy obecnym rozwoju technologicznym stanowi absolutną barierę. Bo jak nie jesteś szybki i elastyczny, to znikasz. Świat pędzi szybciej niż procedura.

Ł.S.: Teraz jest taki problem, że urzędy, np. w Hamburgu, cały czas tną budżety na różne projekty – od przedszkoli po kluby sportowe. I co robią ci, którzy tymi projektami zarządzają? Nie zmieniają samych projektów, tylko – po pierwsze – starają się zachować wszystkich pracowników. Czym to skutkuje? Pieniądze z projektu idą głównie na utrzymanie zatrudnienia, więc na sam projekt niewiele już zostaje. Ci pracownicy siedzą w pracy i „obgryzają ołówki”. Pracują z domu, włączają rano komputer, czekają na maila, odpisują na dwa maile i tyle. Tak wygląda ich dzień pracy. Bo jest czekanie na to, co przyjdzie z góry. Można sobie tak pykać przez następne dwa lata i nikt nie wpadnie na pomysł, że trzeba to zrobić inaczej. Nikt nie myśli projektowo. A to jest – trzeba powiedzieć wprost – zarządzanie upadkiem.

Poważna teza.

U.P.: Dam przykład z mojej branży, czyli nauczania uchodźców i imigrantów. Właśnie po dwudziestu latach mocno ograniczono dostępność darmowych kursów integracyjnych dla nowo przybyłych. To były kursy, które po-

■
Znam wykształcone osoby, które przez dekady siedzą na garnuszku państwa, bo np. są artystami i twierdzą, że nie ma dla nich pracy. Gdyż państwo nie składa im odpowiednich ofert. I co oni mają z tym zrobić?

zwały tym ludziom w ciągu kilku miesięcy zacząć uczyć się języka niemieckiego i w ogóle rozumieć, w jakim społeczeństwie żyją. Te kursy oczywiście miały swoje wady, choćby zbyt dużą tolerancję wobec osób, które były zapisane, a nie przychodziły na zajęcia, ale rozwiązaniem nie było ich zlikwidowanie.

My czasami mówiliśmy, że pracujemy w terapii zajęciowej, czyli zajmujemy się tymi ludźmi, żeby nie stali na ulicach. Bo oni czekają wtedy na decyzje pobytowe – przez dwa, trzy, cztery lata tkwią w zawieszeniu, po czym dostają odmowę pobytu i dalej przebywają w kraju. Wyobraźmy sobie, że ktoś ma 20 lat i przez cztery lata życia jest bez zajęcia.

Czyli sam system ich zawiesza?

U.P.: System i rozbudowana pomoc socjalna. Legalna praca jest kompletnie bez sensu, bo zarabia się dużo mniej, niż można dostać z różnych programów wsparcia. Oni tak czy siak podejmują jakieś niskopłatne prace, ale na czarno, najczęściej w arabskich biznesach, które ich maksymalnie wykorzystują.

To powoduje również, że nie uczą się niemieckiego. Ja po prostu nie wyobrażam sobie tego – co zrobić z taką liczbą młodych ludzi, którzy nie są w żaden sposób zagospodarowani, czy to edukacyjnie, czy gospodarczo.

Kancelarz Merz marzy o tym, żeby ich odesłać. Ostatnio publicznie powiedział, że 80 proc. Syryjczyków ma wrócić do Syrii, ale szybko się z tego wycofał.

**Sam fakt, że takie rzeczy można dziś głośno powiedzieć, pokazuje, jak przesu-
nęło się okno Overtona. Czy w Niemczech
ktoś jeszcze nie zdaje sobie sprawy z kry-
su związanego z migracją?**

U.P.: Tacy Niemcy to np. dziennikarze mediów publicznych, którym dobrze płaci się za opo-

wiadanie historii na uspokojenie. Nie chodzi o żadną cenzurę odgórną, ale uczucie, by zawsze mówić to, co jest właściwe. To jest raczej wewnętrzny automat dopasowujący się do rządowych oczekiwań. Ci ludzie codziennie opowiadają o tym, jak jest świetnie, lekceważąc prawdziwe problemy społeczne. Prawdopodobnie uważają, że to jakoś samo się przez następne lata wygładzi, że rzeczywistość dogoni wyobraźnię. Czasem to odklejenie od rzeczywistości, a czasem cyniczna decyzja.

Z drugiej strony, ja zawsze skupiam się na tym, żeby migrantów tak nie piętnować, bo uważam, że to system jest winny.

Ł.S.: Problem Niemiec z migracją jest bardzo poważny i wynika wprost z systemu. Ludziom cały czas wmawiano – zresztą do dziś tak jest – że Niemcy potrzebują wykwalifikowanych pracowników. I to się zgadza. Ale żeby ci wykwalifikowani pracownicy tu przyjechali, Niemcy muszą być dla nich atrakcyjnym krajem. Bo oni zwracają uwagę na to, gdzie będą mieszkać, jak będą żyć ich rodziny, jak będą kształcone dzieci, ile zapłacą podatków. Natomiast samo stwierdzenie: „Przyjeździecie do nas” trafiło na podatny grunt, ale wśród osób, które są niewykształcone – tych, którzy nie mają nic do stracenia. To nie byli ci, których chcieli tu Niemcy.

Jak we współczesnej rzeczywistości odnajduje się młode pokolenie?

U.P.: Młodość w Niemczech to już jest dzisiaj chyba do czterdziestki (*śmiech*). Niektórzy członkowie niemieckiej młodzieżówki partyjnej mają obecnie po 36 lat. Więc to się zaczyna od osiemnastki, a kończy w okolicach czterdziestki.

Ł.S.: Politycznie patrząc, młodzież z dużych miast idzie w lewą stronę. Oni się bardzo mocno odcinają od swojej historii, chcą być po prostu interesującymi ludźmi, Europejczykami. Obecnie największym problemem Bundeswehry jest właśnie to, jak pozyskać młodych ludzi do wojska. Wiadomo, możemy wkładać w armię mnóstwo pieniędzy, ale ona nie będzie działała bez ludzi. Ostatnio w niemieckim prawie zaktualizowano przepis, który mówi, że mężczyźni w wieku poborowym nie mogą wyjechać za granicę na okres powyżej trzech miesięcy bez specjalnego pozwolenia.

Młodzi nie zwracają się ku AfD?

Ł.S.: To zależy. Młodzi ludzie w Hamburgu wybierają Zielonych, ale już ci, którzy mieszkają 30 km od Hamburga, to głównie są wyborcy AfD. Podobnie we Frankfurcie, w Monachium i tak dalej. Tych, którzy mieszkają w małych miejscowościach, bardzo często po prostu nie stać na wyjazd do miasta.

U.P.: Młodzież na prowincji czuje się porzucona. Oni nie chodzą w tych wszystkich fajnych ciuszkach, nie piją na mieście kawy po 6 euro i nie kontestują rzeczywistości za kasę rodziców ani nie mieszkają na squacie, bawiając się w bunt studencki aż do roku 1968. Bo często nie mają pieniędzy nawet na to, żeby przyjechać do Berlina na koncert.

Ł.S.: Czyli masz uprzywilejowane dzieci, których rodzice dobrze zarabiają i których stać na to, żeby pomagać im aż do trzydziestego piątego roku życia. I masz takich, których – niestety – życie dogonił wcześniej. Ci mieszkają na wsi i mają na przykład chorych rodziców, którymi muszą się zajmować, a przy okazji jeszcze pracować. Z tej wsi też dziś bardzo trudno wyjechać, bo to, że pojedziesz do miasta i zrobisz tam studia, nie daje żadnej gwarancji na przyszłość.

U.P.: Problem zaczyna się wtedy, kiedy system awansu społecznego jest zabetonowany. Gdy nie jesteś w stanie własną pracą wybić się wyżej. Niemcy, jeszcze jako państwo silnie uprzemysłowione, taką szansę na awans dawały – ktoś był majstreem, robił dodatkowe szkolenia, został kierownikiem. Była przepustowość z klasy robotniczej do klasy wyżej. Teraz jest to niezwykle trudne. Korelacja między awansem społecznym a statusem materialnym rodziców jest dziś bardzo silna.

Nie brzmi to zbyt zachęcająco...

Ł.S.: Po prostu widzimy, co się dookoła nas dzieje, i nie boimy się o tym mówić otwarcie. Natomiast nie chciałbym być aż tak pesymistyczny. Nikt nas nie zmusza do życia tutaj – to jest nasz wybór. Życie w Niemczech potrafi być dobre, przyjemne i spokojne, jeżeli ma się ustatkowaną sytuację.

Mam bardzo miłych sąsiadów, którym czasami brakuje otwarcia na rzeczywistość, bo żyją w swoim wyobrażeniu świata sprzed 30 lat. Ich największym problemem jest teraz to, gdzie pojadą na wakacje, jeśli cena paliwa lotniczego będzie nadal tak wysoka.

U.P.: W zachodnich Niemczech sukces życiowy definiuje się przez urlop. Jak Niemiec nie pojedzie na urlop, to niemal tak, jakby przegrał życie.

Jeśli Niemca stać obecnie tylko na urlop w Świnoujściu, to jest to dla niego upokarzające?

U.P.: Absolutnie nie. Na wschodzie bardzo dużo Niemców jeździ do Polski. Ostatnio jeden pan do mnie mówił, że był w Poznaniu. „I jak się panu podobało?” – pytam. „Czysto było”.

Ł.S.: Polska musi się nauczyć czerpać z tego korzyści. Nauczyć się grać w tę grę. W polskiej mentalności mocno mi tego brakuje. Mam sporo do czynienia z ludźmi, którzy są zaangażowani w różne sprawy gospodarcze, i obserwuję, że Polacy mają takie podejście: jeżeli z kimś robią interesy, to są już przyjaciółmi, a jeżeli te interesy się nie powiodą, to jesteśmy wrogami na całe życie. Musimy się nauczyć trochę inaczej rozmawiać z tymi Niemcami. Dawać im tego, czego oni by chcieli.

Jak zatem „grać w tę grę”?

U.P.: Obydwie strony muszą dokonać rewizji swoich uprzedzeń. Niemcy nauczyć się tego, że ich styl zarządzania nie jest świetny. Otworzyć trochę oczy i zrozumieć, że model zarządzania w Polsce jest na rok 2026 – aktualne okienko dziejowe – lepszy, bo jest bardziej elastyczny. Natomiast Polacy powinni skupić się na tym, co jest tu i teraz. Bo Polska naprawdę nie ma się czego wstydzić. To, że Polacy odnieśli taki sukces ekonomiczny, jest doceniane. W zasadzie co tydzień w niemieckiej prasie ukazują się duże teksty o tym, jak Polsce przez ostatnie 30 lat udało się wybić na niesamowitą orbitę.

Ł.S.: Dla nas ważna jest właśnie ta sprawa – coś i pokazanie, że nie jest się ofiarą, tylko że ma się argumenty, o których można rozmawiać. Niemcy muszą zacząć rozmawiać z nami jak z partnerami, a nie junior partnerami. Dostrzegać, że teraz jesteśmy – jak się mówi w Niemczech – na „wysokości oczu”. Znaleźliśmy się w momencie, który jest dla Polski bardzo korzystny. Musimy nauczyć się z tego czerpać. ●



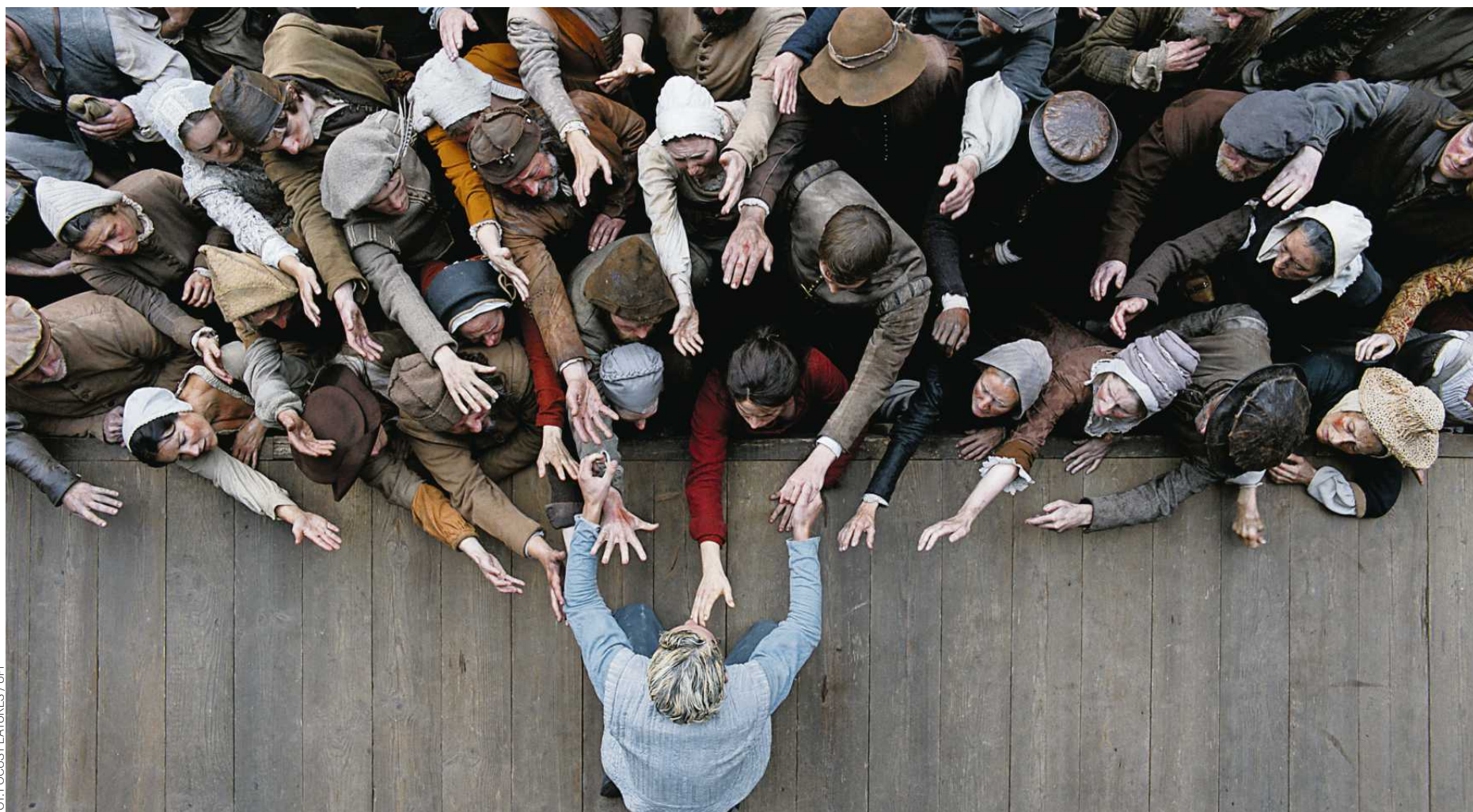
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Urszula Ptak

• Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego. Zawodowo zajmuje się integracją migrantów i publicystyką na temat współczesnych Niemiec. Laureatka Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarskiej im. Tadeusza Mazowieckiego 2019 w kategorii prasa. Mieszkanka Berlina od 2003 roku

Łukasz Sołtysiak

• Germanista, od 2005 roku Hamburgczyk z wyboru, autor projektu „Herr Hamburger



FOT. FOCUS FEATURES / UPI

Najpierw bazgrzę *na* marginesach

Dostałem bardzo mocnego kopa od życia. Ale przerodziło się to w coś pięknego. I dziś myślę, że czasem taki kop jest człowiekowi potrzebny.

Z ŁUKASZEM ŻALEM, AUTOREM ZDJĘĆ
M.IN. DO FILMÓW „OJCZYŻNA” I „HAMNET”
ROZMAWIA PIOTR GUSZKOWSKI

Jako autor zdjęć jesteś jedną z pierwszych osób, które widzą, że padł ten jeden, wyjątkowy dubel, w którym zagrało wszystko. Jakie to uczucie?

– Piękne. Jak przy scenie otwierającej „Ojczyżnę”. August Diehl w roli Klaus Manna siedzi nagi na podłodze, pali papierosa i rozmawia przez telefon z siostrą Eriką, która jest z ojcem w Ameryce. To intymna scena, więc w pokoju nie ma nikogo poza mną i Pawłem Pawlikowskim. Siedzimy pochyleni, kręcimy dubel za dublem, aż tu nagle...

Uwielbiam te chwile: Paweł patrzy na mnie, ja patrzę na Pawła i wiemy, że to się właśnie wydarzyło. Bo nigdy nie mamy pewności. Przygotowujemy się, szukamy, ale towarzyszy temu niepewność. Czy dzisiaj znowu uda się tego dotknąć? Czy te wszystkie elementy znowu się ząbnią? W spreparowanym na potrzeby filmu świecie próbujemy złapać kawałek prawdy. I kiedy to się udaje, to jest coś niezwykle, rodzaj pewnej obecności.



FOT. AGATA GRZYBOWSKA



• „Hamet”
(2025)
reż. Chloé
Zhao. Oscar
dla najlepszej
aktorki
i Złoty Glob
za najlepszy
film drama-
tyczny

• „Ojczyzna”
(2026)
reż. Paweł
Pawlikowski.
Nagroda
za reżyserię
na tegorocz-
nym festiwalu
filmowym
w Cannes

• „Ida”
(2013)
reż. Paweł
Pawlikowski.
Oscar dla naj-
lepszego filmu
nieangloję-
zycznego oraz
BAFTA i Złote
Lwy w Gdyni

• „Strefa
interesów”
(2023)
reż. Jonathan
Glazer. Grand
Prix w Cannes
i dwa Oscary
(film między-
narodowy
i dźwięk)



FOT. SOLOPAN



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nagrodzona w Cannes „Ojczyzna” to wasz trzeci wspólny projekt. Jak to się właściwie zaczyna – Paweł Pawlikowski dzwoni do ciebie i mówi: „Łukasz, mam pomysł na film”?

– Mniej więcej tak to wygląda. Z tym że zwykle wiem wcześniej, nad czym Paweł pracuje, i rozmawiamy o różnych pomysłach. W pewnym momencie dostaję jednak pierwszą wersję scenariusza. Czytam ją kilka razy, robię notatki, bazgrzę po marginesach. Lubię zapisywać pierwsze skojarzenia, bardzo intuicyjne, czasem wręcz pojedyncze słowa czy obrazy.

Potem zaczyna się rozmowa. Spotykamy się, przechodzimy przez scenariusz scena po scenie, rozmawiamy o emocjach, bohaterach, o tym, czym jest dana scena. Równolegle pojawiają się moodboardy [kolaż zdjęć, kolorów czy tekstur, który pomaga zdefiniować styl i nastrój projektu], zdjęcia referencyjne, materiały od scenografów. Zaczynamy dokumentację. Jeździmy po miejscach, fotografujemy je, a wieczorami przy kolacji przeglądamy zdjęcia i zastanawiamy się, co w nich jest bliskie światu filmu. Ten proces trwa właściwie aż do pierwszego dnia zdjęciowego – a nawet wtedy pozostajemy otwarci na to, co może przyjść nieoczekiwanie.

Pamiętasz, co nabazgrałeś na marginesach scenariusza „Ojczyzny”?

– Od początku bardzo mocno działało na mnie poczucie, że Tomasz Mann żyje w jakiejś kapsule. Tą kapsułą stał się samochód, czarny Buick. Za kierownicą siedzi Erika, która staje się filtrem oddzielającym ojca od rzeczywistości.

Mann dla świata jest wielkim intelektualistą i moralnym autorytetem, ale jednocześnie w codzienności pozostaje zaskakująco nieporadny.

Gdziekolwiek się pojawia, wszystko wydaje się uporządkowane i piękne, podczas gdy wokół są zgłiszcza. Zastanawiałem się, jak pokazać ten kontrast w obrazie.

Interesowało mnie również to, co pozostaje poza kadrem. Tomasz wypiera pewne rzeczy ze świadomości, nie dopuszcza ich do siebie. Chciałem, żeby obraz działał podobnie – żeby pewne sprawy były stale obecne, ale na obrzeżach, ledwie zasugerowane. To, czego nie widzimy, miało być równie ważne, jak to, co znajduje się w centrum kadru.

Pół roku przed zdjęciami mój przyjaciel operator pokazał mi amatorskie slajdy kupione przypadkiem – animowe zdjęcia z Niemiec z lat 70. i 80. Widać było, że robi je jedna osoba, prawdopodobnie standardowym obiektywem 50 mm. To były codzienne sytuacje: ludzie na dworcach, na wakacjach, fragmenty samochodów, pranie na sznurach. Fotograf wycinał z rzeczywistości pojedyncze fragmenty, ale robił to konsekwentnie. Każda kompozycja była otwarta – człowiek zawsze był częścią większego pejzażu, a to, co działo się na brzegach obrazu, dopowiadało resztę. Zdjęcia miały w sobie coś dokumentalnego i przypadkowego, ale jednocześnie były spójne. Przypominały mozaikę fragmentów rzeczywistości. Zafascynowała mnie w nich prostota i szczerość – mimo że amatorskie, miały w sobie jakiś porządek, jakąś kompozycję. Estetyka jednak nigdy nie była tam najważniejsza, liczył się sam zatrzymany moment. I chyba to uderzyło mnie najbardziej: były bardzo niefilmowe.

we, czuć w nich było coś surowego, wyrwane-go wprost z życia.

Zastanawiałem się też, jak pokazać ojca, który jest fizycznie blisko, a jednocześnie tak daleko. Podobnie bankiet: natychmiast pomyślałem o poczuciu osaczenia, o człowieku otoczonym ludźmi, który mentalnie jest zupełnie gdzie indziej. Często zaczynamy takim oczekiwaniem – gotowymi kadrami, jakby plakatami, które ożywają dopiero wtedy, kiedy Tomasz się pojawia. Z czasem coraz bardziej interesowało mnie coś jeszcze. To, jak człowiek staje się zakładnikiem własnego wizerunku.

Chwilami „Ojczyznę” ogląda się jak kronikę filmową z końca lat 40., podróż przez zrujnowane Niemcy.

– Bo takie było najważniejsze założenie. Archiwalna fotografia Tomasza Manna wysiadającego z samochodu była dla mnie wizualnym kluczem do całego filmu. Widać tłum twarzy otaczających bohatera i od razu czujesz, że to ludzie będą tutaj najważniejszą scenografią.

Drugim ważnym skojarzeniem były zdjęcia z Weimaru, które Paweł pokazał mi po swojej pierwszej podróży. Place, ulice skąpane w ostrym południowym słońcu, mocne kontrasty. Te ulice, podzielone ostrym słońcem na światło i cień, zostały mi w głowie – chciałem, żeby nasz film był właśnie taki.

Zwłaszcza że w czerni i bieli taki kontrast działa nie tylko wizualnie, ale też metaforycznie, jak nasz filmowy czarno-biały świat, w którym nie ma szarości, ale trzeba opowiedzieć się po którejś ze stron.

Dopiero co pracowałeś z Jonathanem Glazerem nad „Strefą interesów”, która miała wyglądać jak reality show z domu nazisty. Razem z Chloé Zhao szukaliście emocji, grzebiąc w liściach i ziemi przy „Hamnetcie”. A teraz z Pawłem Pawlikowskim stworzyłeś kolejny precyzyjnie skomponowany czarno-biały świat. Fundujesz sobie taki płodozmian, żeby uniknąć powtarzania samego siebie?

– To są zupełnie różne doświadczenia. Nie tylko estetycznie, ale też pod względem samego sposobu pracy. Każdy z tych reżyserów pracuje inaczej i stawia przede mną inne wyzwania. Chyba właśnie dlatego mnie to pociąga. Lubię sytuacje, w których nie do końca wiem, jak coś zrobić. Często towarzyszy temu niepewność: czy znowu uda się coś odkryć, czy znajdziemy właściwy język dla tej historii. Ale kiedy już się go znajdzie, satysfakcja jest ogromna.

Przy „Strefie interesów” z Jonem cały proces polegał na eksperymentowaniu. Odkrywaaliśmy ten film poprzez technologię, ustawienie kamer, składanie wielu obrazów naraz. Chodziło o obraz możliwie neutralny, obserwacyjny, bez upiększeń i szukania idealnego światła.

„Hamnet” był z kolei zupełnie innym doświadczeniem. Chloé Zhao pracuje bardzo intuicyjnie. Wiele rzeczy rodziło się spontanicznie. Jadąc rano przez Londyn na zdjęcia, wiedziałem, że za chwilę mogę zostać całkowicie zaskoczony. Musiałem być gotów nie tyle na konkretny plan, ile na to, że spotkamy się z aktorami, zrobimy próbę i wtedy wszystko się wyjaśni. I to też było fascynujące.

Z Pawłem Pawlikowskim jest inaczej. Przygotowujemy się dużo wcześniej. Spotykamy się wielokrotnie ze scenografami, analizujemy zdjęcia, rozmawiamy o każdej scenie. Przy „Ojczyźnie” miałem rozrysowane właściwie wszystkie dni zdjęciowe. Ale tak naprawdę robimy to wszystko po to, żeby później na planie być gotowym na coś nieoczekiwanego.

Pawlikowski, Zhao, Glazer. Czy jest coś wspólnego w pracy z trojgiem tak różnych twórców?

– Proces poszukiwania, odkrywania czegoś, czego wcześniej nie wiedzieliśmy. I nigdy nie robi się tego samemu. Mam wokół siebie fantastyczną ekipę – Stasia Cuske, Tomka Sternickiego, Krzysztofa Zawieję, Radka Kokota, Przemka Sosnowskiego i wielu innych. To zawsze jest wspólna podróż.

Zresztą często najciekawsze momenty w pracy nad filmem pojawiają się wtedy, kiedy pojawiają się ograniczenia – założenia okazują się niemożliwe do zrealizowania albo trzeba z czegoś zrezygnować. Wtedy nagle trzeba spojrzeć inaczej i znaleźć rozwiązanie tam, gdzie wcześniej go nie widzieliśmy. Ograniczenia paradoksalnie porządkują pracę – cały zespół skupia się na jednym problemie, pracuje intensywniej, szuka rozwiązania wspólnie. Wymuszają inne spojrzenie i prowadzą do decyzji, których wcześniej nie brano pod uwagę. Czasami trzeba też po prostu zaryzykować, puścić kontrolę i zaufać intuicji. Przygotowania są przygotowaniami, ale nie mogą przyćmić tego, co dzieje się dookoła, i szans, które nagle się pojawiają, żeby zrobić coś jeszcze lepszego.

Tak zwane zarządzanie kryzysowe?

– Tego nauczyłem się od Pawła, podobne podejście ma też Jonathan Glazer. Nie ma sytuacji bez wyjścia. Wielokrotnie byliśmy o krok od katastrofy, a właśnie w takich momentów rodziły się najlepsze rzeczy. Nie dlatego, że wydarzał się cud, tylko dlatego, że wszyscy zaczęli patrzeć uważniej i szukać dalej. I często wtedy pojawiała się coś, czego nie dało się wcześniej zaplanować.

Mówisz o wychodzeniu poza to, co już znasz. Są momenty, kiedy ten głód się wyczerpuje?

– Nauczyłem się, że po każdym intensywnym okresie trzeba zwolnić. Ograniczyć bodźce, znudzić się, zatęsknić. Wejść w rodzaj pustki. Dla mnie to zawsze przyroda – wyjeżdżam do miejsca, gdzie świat jest prosty i niezagracony. Gdzie można patrzeć po horyzont, siedzieć godzinami i nic nie robić. Gdzie nie ma krzykliwego języka reklam, ekranów na każdym kroku, nieustannego hałasu. Tylko cisza.

Czyli zamiast szukać kolejnego projektu, próbujesz odzyskać ciekawość?

– Najciekawsze jest dla mnie dotykanie czegoś, czego jeszcze nie umiem. Ale żeby to było możliwe, trzeba mieć z czego czerpać. Nie da się tworzyć tylko z własnych zasobów. Trzeba czytać książki, oglądać filmy, słuchać muzyki, obserwować ludzi, czasem nawet zwyczajnie się ponudzić. Tymczasem moja praca to nie tylko plan zdjęciowy. To również podróże, cała logistyka, maile, zoomy, telefony, przewidywanie problemów, odpowiedzialność za ogromne budżety. To wszystko zabiera energię.

Dostałeś się na studia fotograficzne w Łodzi za trzecim razem. Miałeś więc w sobie dużo samozaparcia. Jednak właściwie, jak tylko się na te studia dostałeś, zrozumiałeś, że fotografia nie daje ci tego, co może dać kino.

– Mieszkalem wtedy we Wrocławiu. Zaraz po maturze, jeszcze zanim dostałem się do Łodzi, studiowałem zaocznie fotografię w prywatnej szkole AFA. To było świetne mieszkanie z wyjściem na dach, blisko szkoły, więc przewijało się przez nie mnóstwo ludzi. Szczególnie przed zaliczeniami. Rozkładaliśmy wtedy zdjęcia na podłodze, wycinaliśmy passe-partout, dyskutowaliśmy. Była w tym też rywalizacja, ale taka dobra, inspirująca i motywująca do jeszcze lepszej pracy. W tamtym okresie oglądaliśmy masę filmów. Mieliśmy taki mały, stary telewizor z wbudowanym magnetowidem...

...zajechałem na takim telewizorze kilka kaset wideo.

– Nie przypominę sobie teraz tytułu filmu. Za to doskonale pamiętam tamto uczucie. Siedziałem z kumplami na kanapie i nagle poczułem taki niepokój, coś w rodzaju zazdrości. Zrozumiałem, że kino potrafi zrobić ze mną coś, czego ja chyba nigdy nie będę w stanie osiągnąć za pomocą fotografii. Fotografia dawała mi kontemplację, taki rodzaj zatrzymania i przestrzeni do własnych myśli. Ale kino działało inaczej. Poprzez ruch, dźwięk, muzykę, obecność aktorów potrafiło chwycić człowieka za serce, za żołądek. Czuło się je całym ciałem.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałem: chcę iść właśnie w tę stronę.

Spontaniczna decyzja?

– Żebyś wiedział – kompletnie nie byłem przygotowany do egzaminów na wydział operatorski. Na ostatnią chwilę zacząłem kompletować teczkę, dzień po dniu siedziałem w ciemni do godz. 4 nad ranem. Byłem tak zmęczony, że czasami dosłownie chciało mi się płakać. Ale teczkę przygotowałem, do Łodzi dotarłem autostopem w ostatniej chwili. No i się dostałem. I dziś myślę, że wszystko zaczęło się właśnie tamtego wieczoru – przed telewizorkiem marki Otake. Nigdy jednak nie chodziło o tworzenie estetycznych obrazów.

W takim razie o co?

– Gdybyś mnie zapytał, jak widzę swoją rolę jako autora zdjęć, to chodzi o próbę uchwycenia czegoś, czego nie da się ująć w słowa. Jakiegoś ulotnego stanu. O sprawienie, żeby widzieć nie tylko coś zobaczył, ale naprawdę to przeżył. Najpiękniejsze momenty na planie są wtedy, kiedy nagle wszystkie elementy się zalegają. Aktorzy, światło, rytm sceny, przestrzeń. Z tego całkowicie wykreowanego świata na chwilę wyłania się coś prawdziwego. Kawalek życia. I wszyscy to czują.

■

*Archiwalna fotografia
Tomasza Manna
wysiadającego z samochodu
była dla mnie wizualnym
kluczem do filmu „Ojczyzna”*

Zanim jednak pojawiły się „Ida”, „Zimna wojna” czy „Strefa interesów”, byłeś operatorem kamery przy „Daleko od noszy”.

– Miałem małe dziecko, własną firmę, kamerę i robiłem wszystko, co przynosiło pieniądze: sitcom, który wspomniałeś, filmy korporacyjne, różne komercyjne zlecenia. Zarabiałem całkiem przyzwoicie, ale coraz mocniej czułem, że to nie jest moje miejsce. Potem wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Dostałem bardzo mocnego kopa od życia. Ale przerodziło się to w coś pięknego. I dziś myślę, że czasem taki kop jest człowiekowi potrzebny.

Przytrafiło mi się wtedy kilka nieprzyjemnych rzeczy, które sprawiły, że zacząłem kwestionować to, co robię. Wróciłem do dokumentu. Wróciłem do robienia rzeczy, które mnie interesowały, ale nie miałem z czego żyć. Przyszedł moment, że zastanawiałem się, czy droga, którą obrałem, jest właściwa. Ale wtedy pojawiła się „Ida”. Ryszard Lenczewski, który zaproponował mi bycie operatorem kamery, zachorował. Nie mógł kontynuować zdjęć. Paweł potrzebował zastępstwa, a ja byłem na miejscu, więc przejąłem obowiązki.

Zatrzymam się przy słowie „miejsce”. Paweł Pawlikowski przyznaje, że pogodził się z tym, że nigdzie do końca nie czuje się jak w domu. A ty?

– Kupiłem kawałek ziemi, godzinę drogi samochodem od miejsca, w którym się wychowałem. Mimo że dom powstanie dopiero w przyszłym roku, to kiedy tam przyjeżdżam, mam poczucie, że jestem u siebie. Jestem związany z tym krajobrazem: pagórkami, jeziorami, lasami. Myślę, że to mnie ukształtowało. Ze względu na moją pracę bywam w wielu miejscach na świecie, ale nic nie wydaje mi się tak piękne jak polska wiosna i początek lata. Łubiny na łące, spokojna tafla jeziora, zapach mokrej trawy po deszczu, to ciepło, lepsze powietrze – za tym tęsknię najbardziej. Zdarzało mi się wracać z planu na Litwie na zaledwie trzy dni, przejeżdżając sześć godzin w jedną stronę, tylko po to, żeby chwilę tam pobyc.

Brzmi tak, jakbyś wracał tam nie tylko odpoczywać, ale też po inspirację. A może to jest film, który czeka na ciebie: z tym światłem, zapachami, krajobrazem?

– Prawdę mówiąc, obrazy z początku „Hamneta” przypominają moje miejsce. Nic nie równa się dla mnie z czerwcowym deszczem nad jeziorem, z parującą ziemią i tym momentem, kiedy wszystko pachnie latem. To jest krajobraz, do którego wracam nie tylko fizycznie, ale też w swojej wyobraźni. I pewnie dlatego ciągle odnajduję go później w filmach. Bo to jest moja ojczyzna. Nie w politycznym sensie, tylko bardzo dosłownie: miejsce dzieciństwa, pierwszych zachwyty, zapachów i obrazów, które zostały ze mną na zawsze. Dorastałem między lasem a polami, spędzałem całe dni na zewnątrz. I chyba dlatego nawet żadna Fuerteventura czy Nowa Zelandia, jak piękne by były, nie są w stanie tego zastąpić.

Kiedy myślisz o swoim dzieciństwie, poza krajobrazem i przyrodą, co wraca najmocniej?

– Przede wszystkim ludzie. Bycie razem, jazda na rowerze, siedzenie na murku, lody. Takie momenty, kiedy nie musisz nic udowadniać ani niczego grać – wystarczy, że jesteś. Nie trzeba nic mówić.

To zresztą coś, co bardzo lubię u Pawła Pawlikowskiego. Patrzy na swoich bohaterów z ogromną czułością. Są niedoskonalą, czasem pogubieni, ale zawsze pozostają ludźmi. I chyba właśnie to jest dla mnie najważniejsze: rodzina, przyjaciele, poczucie, że mamy siebie nawzajem. Taka mała ojczyzna.

Brzmi jak świat, w którym wszystko jest trochę prostsze.

– Prostsze, wolniejsze...

Przez ostatnie lata ciągle byłem w drodze. Wyjeżdżałem na kolejne dokumentacje, zdjęcia. Zawsze, kiedy przychodziło lato i wszystko kwitło, ja akurat musiałem być gdzieś indziej. W tym roku po raz pierwszy postanowiłem, że nie chcę tego przegapić. Że nie odpuszczę polskiego lata. I nagle okazało się, że największym wydarzeniem dnia może być telefon od sąsiadki, która prosi o pomoc, bo przyjechał do niej transport kur. Wyładowaliśmy i policzyliśmy te kury, wypiliśmy kawę i koktajl z truskawek, porozmawialiśmy, ale też milczeliśmy, tak razem siedząc. Zrobiła się dziewiętnasta, a ja nie zrobiłem nic „produktywnego”. I było to wspaniałe. Coraz bardziej uczę się, że nie zawsze trzeba coś tworzyć. Czasem wystarczy po prostu być.

Kiedy opowiadasz o takich chwilach, przypominasz mi się finał „Hamneta”. Właśnie nie sama historia żałoby, ale twarze ludzi w teatrze – ten pierwotny zachwyt, wzruszenie, wspólne przeżywanie czegoś tu i teraz.

– Jesteśmy stworzeni do bycia razem. Do wspólnego przeżywania rzeczy. I właśnie dlatego sztuka ma sens – bo nas łączy.

Chwilę przed premierą „Ojczyzny” w Cannes, o trzeciej trzydziści nad ranem, siedzieliśmy jeszcze z ekipą na projekcji technicznej, sprawdzając kopię i dźwięk.

A następnego dnia film oglądali już widzowie. Światło się zapala, patrzę na twarze publiczności i właśnie wtedy przypominam mi się, po co to wszystko robimy. Nie dla czerwonych dywanów czy Oscarów. ●

Łukasz Żal

• Rocznik 1981. Ceniony operator filmowy, nominowany do Oscara za zdjęcia do filmów „Ida” i „Zimna wojna” w reż. Pawła Pawlikowskiego. Ma w dorobku także „Strefę interesów”, „Hamneta”, „Może pora z tym skończyć”, „Intruza” oraz dokumenty „Joanna” i „Ilkona”. Absolwent PWSFTiTu w Łodzi. Wychował się we wsi Manowo pod Koszalinem.

Film „Ojczyzna” już w polskich kinach.

W SPRZEDAŻY



Faworyci turnieju: Kylian Mbappe,
Lamine Yamal, Harry Kane, Leo Messi

Korespondencje z USA
„Za pięć dwunasta”

Rozmowy z Janem Urbanem
i Jackiem Laskowskim

Sylwetka Szymona Marciniaka

Program transmisji w TV

Kup w punkcie sprzedaży prasy (magazyn dostępny m.in: w salonach Empik, na stacjach benzynowych,
w salonikach Media Relay, w Żabce, w Lidlu i w innych dobrych punktach sprzedaży prasy)
lub zamów z bezpłatną dostawą na **prenumerata24.pl**

MONSUNY, PAWIE i GUJAWY

„Sama jestem wstrząśnięta tym,
że spędziłam ćwierć życia nad jedną książką”.

Z INDYJSKĄ PISARKĄ **KIRAN DESAI**
O JEJ NAJNOWSZEJ POWIEŚCI
„SAMOTNOŚĆ SONII I SUNNY'EGO”
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

W sieci można znaleźć wiele stand-upów obśmiewających stereotypy związane z indyjskimi matkami. W twojej powieści indyjskie ciotki i matki też przedstawiane są ironicznie.

– Matka i ciotka to niezwykle ważne figury w indyjskiej rodzinie. Stereotypowo postrzegane są jako osoby nadmiernie kontrolujące, przywiązane do tradycji i obawiające się wszelkich nowinek. W „Samotności Sonii i Sunny'ego” czytelnik odnajdzie takie postaci. Jest Babita, matka Sunny'ego, która w domu rządzi silną ręką, drży o syna i kocha „zachodni” styl życia. Jest też Mina Foi, ciotka Sonii, która po tym, jak się rozwiodła, została uznana przez rodzinę za osobę pechową, przegraną.

Twoja matka Anita Desai jest jedną z najważniejszych indyjskich pisarek XX wieku. Jej książki trzykrotnie znalazły się w finale Bookera. Jaką była matką?

– Nigdy nie była matką tradycyjną, która codziennie pilnuje, bym zabrała do szkoły śniadanie, i kontroluje wszystko, co robię.

Zadaję sobie pytanie: skąd miała ambicje, by zostać pisarką? Nikt nie oczekiwał od niej niczego poza pełnieniem tradycyjnej roli matki i żony. Przyszła na świat w zamożnej rodzinie, jej ojciec był bengalskim biznesmenem. Wyszła za mąż za mojego ojca, który również zajmował się biznesem.

Zaczęła pisać już w dzieciństwie, ale nikt nie traktował tego poważnie. Gdy – po ślubie – opublikowała pierwszą książkę i okazało się,

że znalazła uznanie na świecie, rodzina była zaskoczona. Nagle do domu w Nowym Delhi zaczęli przyjeżdżać wydawcy, tłumacze. Pisarstwo otworzyło przed matką drzwi do wielkiego świata. Wtedy postanowiła odejść. Zabrała mnie i wyjechała do Europy.

Zawsze była wobec mnie czuła, ale w naszej relacji był pewien dystans. Gdy dojrzałam, zrozumiałam, skąd się wziął. Patrzyła na świat podwójnie: oczami matki i oczami pisarki, która wnikliwie i krytycznie opisuje życie uprzywilejowanej indyjskiej klasy średniej. Jej książki były zaskakujące, bo zamiast pokazywać „egzotyczne” piękno Indii, nawiązywać do tradycyjnych opowieści, tworzyła pogłębione portrety psychologiczne, bardzo nowoczesne.

W „Samotności...” wielokrotnie wspominasz o problemach z opisywaniem Indii. Z jednej strony czytelnik oczekuje tego orientalizującego piękna, z drugiej strony wiemy, że jest ono swego rodzaju stereotypem, a z jeszcze innej – Indie są pięknym, fascynującym światem.

– Za każdym razem, gdy chcemy opowiadać nasz świat, zadajemy sobie pytanie, kto i jak nas odczyta. To koszt kolonialnej historii naszego kraju.

Pierwszymi, którzy Zachodowi opowiadali Indie, byli pisarze pochodzący z kolonialnych mocarstw. Stworzyli podwaliny pod to, czego czytelnik spodziewa się po opowieści z Indii. W drugiej połowie XX wieku, po uzyskaniu przez Indie niepodległości, do głosu doszło pokolenie indyjskich pisarzy, którzy odebrali edukację w brytyjskich szkołach i zostali ukształtowani przez te zewnętrzne głosy.

Literatura wciąż była przyczółkiem kolonializmu?



– Salman Rushdie na początku lat 80. napisał, że „imperium wraca” właśnie w literaturze. Moja matka była jedną z takich pisarek – osób, które piszą tak, by trafić do czytelnika w Anglii czy USA. Rynek wydawniczy wciąż jest bardziej otwarty dla twórców, którzy podążają tymi śladami. Nasza rzeczywistość jest jednak bardziej skomplikowana. Są w niej wojny, korupcja, nacjonalistyczne rządy. Są skomplikowane zależności między biznesem, władzą i wojskiem. Są ludzie żyjący w bogactwie i ci skrajnie biedni. Ale są też monsuny, pawie i gujawy. Sama zadebiutowałam powieścią „Zadyma w sadzie gujów” [po polsku ukazała się jako „Zadyma w dziłim sadzie”]. Czy jako indyjska pisarka, żeby uniknąć egzotyki, powinnam umieścić akcję powieści w sadzie jabłek?

Ten problem nie dotyczy wyłącznie Indii. Pisarze z Karaibów ironizują, że w każdej karaibskiej książce, która zdobywa popularność na świecie, bohater musi jeść mango. To owoc, który dla europejskiego czy amerykańskiego czytelnika jest łącznikiem między światami.

– Może się komuś wydawać, że ten dylemat – co ma jeść bohater – jest błahy, ale gdy się mu bliżej przyjrzymy, dostrzeżemy, że niesie za sobą konotacje polityczne i tożsamościowe. Kilka lat po wydaniu mojej debiutanckiej powieści słuchałam rozmowy Marlona Jamesa z Rushdiem. James zapytał autora „Diabelskich wersetów” o radę dla młodych pisarzy. „Nie umieszczaj w tytułach nazw owoców. Żadnej gujawy”, padła odpowiedź. Przyznaję, zawstydziałam się.

„Zadyma...” ukazała się w 1998 r., 8 lat później wydałaś „Brzemień rzeczy utraconych”, za które dostałaś Bookera. „Samotność...” to twoja trzecia powieść. Po niemal dwóch dekadach. Skąd tak długa przerwa?

– Sama jestem wstrząśnięta tym, że spędziłam ćwierć życia nad jedną książką. W tym czasie narodziło się w mojej głowie wiele historii, które pewnie wykorzystam w kolejnych książkach. Ale jednocześnie muszę przyznać, że ani przez chwilę nie miałam poczucia, że chcę porzucić temat, nad którym pracuję, czyli tytułową samotność.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34439967

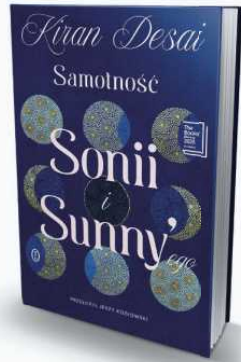
W SPRZEDAŻY

PAMIĘTACIE ANUSIĘ, MARYSIĘ I MIKOŁAJA Z „LALKI”?
Służba w „Lalce” przemija w tle powieści. Alicja Urbanik-Kopeć pasjonująco opowiada o trzecioplanowych bohaterach polskiej powieści wszechczasów.

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

„Samotność Sonii i Sunny’ego” liczy ponad 700 stron. To epicki romans przywodzący na myśl XIX-wieczne arcydzieła gatunku. Akcja dzieje się we współczesnych Indiach i w USA, gdzie studiują tytułowi bohaterowie.



• Kiran Desai,
„Samotność Sonii i Sunny’ego”,
przetł. Jerzy Kozłowski,
Wydawnictwo Literackie (2026)

Mysząc przez lata o samotności, stworzyłam na własny użytek coś w rodzaju katalogu samotności. Bo samotności są różne. Jest ta mroczna związana z przeżytą traumą. Jest kontemplacyjna, z wyboru. A czasem zwykła, zupełnie nieprzeżywana. Od czego zależy to, jak kształtujemy własną samotność, czy umiemy się w niej urządzić, jak z nią walczyć?

Sonia i Sunny pochodzą z dość zamożnych rodzin i studiują w Stanach Zjednoczonych. Ich samotność to samotność imigrantów?

– Tak i nie. Z jednej strony ich samotność spowodowana jest tym, że nie odnajdują się w nowym otoczeniu, ale trzeba też pamiętać, że są uprzywilejowani. Pochodzą z wykształconej klasy, która zna angielski, i jest im łatwiej. Ich samotność jest w nich, a jej źródłem jest nie tylko poczucie wyobcowania.

Zdają sobie sprawę ze swojej uprzywilejowanej pozycji. Sunny, gdy myśli o powrocie do Indii, zastanawia się, jak to o nim świadczy, skoro tyle osób „heroicznie zmierza w przeciwnym kierunku”. W Nowym Jorku nietrudno spotkać ludzi, które mają za sobą niezwykłą podróż. W ich opowieściach są lodzie, statki, nieprzebyte lasy, góry, jakaś Sri Lanka, Iran, Włochy, wreszcie Meksyk i podróż do Stanów Zjednoczonych na pace ciężarówki, pod jakimiś stertami ubrań.

Niemal w tym samym czasie ukazały się w Polsce trzy książki opowiadające o doświadczeniach migrantów z klas co najmniej uprzywilejowanych. To „Bilans snów” Adichie, „Moi przyjaciele” Hishama Matara i właśnie twoja monumentalna powieść. Bohaterowie tych książek choć na co dzień żyją życiem „zachodnim”, to wciąż poddani są wpływowi swoich rodzin, liczą się z tradycją.

– Podczas pisania tej książki zafascynowało mnie to, w jaki sposób przebiega proces we-

sternizacji. Sunny swoją pierwszą dziewczynę podrywa „na zachodni sposób”. Spełnia tym samym nie tyle swoje marzenia, ile matki, która marzy o tym, by chłopak stał się „obywatel-em Zachodu”. W efekcie jego partnerka staje się kimś na kształt „trophy wife”.

Sunny jest dumny z tego, co osiągnął. Jednocześnie jest tą dumą zawstydzony, bo częścią tego, co rzeczywiście go pociąga w tej kobiecie, jest też właśnie rasa i klasa.

Nie unikasz tematów politycznych, wpłatasz w „Samotność...” choćby historie konfliktów religijnych, które w Indiach co jakiś czas odżywają i prowadzą nawet do pogromów.

– Samotność i nacjonalizm są powiązane. Strach przed osamotnieniem kieruje czasem ludzi w stronę nacjonalistycznej retoryki.

W ostatnich dwóch dekadach Indie przechodziła niezwykle szybką transformację. Co roku wracam tam, by spędzić czas z ojcem, i widzę rosnący nacjonalizm. Ale to samo dostrzegam też w Stanach Zjednoczonych. Indie idą w stronę hinduskiego nacjonalizmu, a Stany Zjednoczone – w stronę nacjonalizmu białych chrześcijan. Różnorodność przestaje być wartością.

Kiedy byłam młoda, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że przyjaciele moich rodziców byli muzułmanami i sikhami. Nie myślałam o związkach mojego rodzeństwa jako o związkach z chrześcijanami. Fakt, że żyło się w mieszanych relacjach, był oczywisty. Dziś już nie.

Patrząc na historię Indii, kraju wielu religii i tożsamości, dzisiejsza retoryka my kontra oni może budzić zdziwienie. Kim są oni? Kim jesteśmy my? Niestety zawsze się tych onych jakoś znajdzie.

W globalnej perspektywie Indie są rynkiem zbytu; krajem, w którym należy budować kolejne fast foody i wprowadzać zachodnie sieciówki. A co z prawami człowieka? Czy kogoś to jeszcze interesuje?

Jakie książki towarzyszyły ci podczas pisania „Samotności...”?

– Kafka. I napisany w 1941 roku wstęp Thomasa Manna do amerykańskiego wydania „Zamku”. Piszę w nim o samotności Kafki – samotności w rodzinie, w byciu Żydem. Ponieważ „Samotność...” miała być opowieścią o epickim rozmachu, to inspirowała mnie, jak to zwykle bywa, nie tylko „Anna Karenina” Tolstoja, ale też „Kraina śniegu” Kawabaty...

Wspaniała!

– Piękna, azjatycka historia miłosna. Warto też przeczytać mowę noblowską Kawabaty, w której opowiada o tym, jak jego proza jest inspirowana filozofią zen.

Tolstoj w „Annie Kareninie” pisze tak, że choć nasza uwaga skupiona jest na głównych bohaterach, to wszystko, co się z nimi dzieje, ma też wpływ na innych ludzi. Nigdy nie zapomina o tych, co są na drugim planie. Podobnie pisała Hilary Mantel.

Niestety nie jestem bardzo zdyscyplinowaną pisarką i pozwalam się porwać historiom, czasem zapominając o tym, że trzeba połączyć różne wątki. Pociągają mnie opowieści pozbawione jednego wyraźnego centrum, mówienie różnymi głosami, bez konieczności ich splatania ze sobą. Dlatego tak lubię powieści Roberto Bolaño. Może w kolejnej książce uda mi się uciec od zwartej struktury. Ale jeszcze nie chcę o tym za dużo myśleć.

Gdy w 2006 roku dostałaś Bookera za „Brzemie rzeczy utraconych”, miałaś 35 lat. Zostałaś najmłodszą laureatką tej nagrody w historii. Jak to wpłynęło na twoje życie?

– Nagroda pomogła mi zyskać pewność. I podjęć decyzję o napisaniu bardziej osobistej powieści, jaką jest „Samotność...”. Zamiast odcinać kupony od bookerowej sławy, mogłam się wycofać, pożyć anonimowo. Dzięki temu chyba łatwiej było mi uchwycić świat, który nas otacza. ●

Teraz się martwię, że mam już 55 lat i nie powinnam spędzić kolejnych 20 na pisaniu następnej książki.

Dlaczego samotność?

– Ten pomysł jest ze mną od dzieciństwa. Już gdy miałam 18 lat i zaczynałam studia w Stanach Zjednoczonych, wiedziałam, że chciała-bym napisać książkę o samotności.

Wyjazd z Indii tak na ciebie wpłynął?

– Nie. Wyjazd na zagraniczne studia był czymś oczywistym. W mojej klasie społecznej był naturalnym etapem życia.

Moja fascynacja samotnością zaczęła się wtedy, gdy jako młoda dziewczyna się zakochałam. Oczywiście nieszczęśliwie. Wtedy uświadomiłam sobie, że właściwie nikt nie opisyje tego, jak wyglądają indyjskie relacje między ludźmi w zglobalizowanym świecie. Piszę się o tradycyjnych związkach i problemach z tejej tradycji wynikających. Ale jak opisać tych, którzy choć pochodzą ze świata rytuałów i tradycji, są częścią globalnego świata, studiują w Stanach, pracują w londyńskim City?

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34439968



ZA MONUMENTALNE „CIAŁO”
OTRZYMAŁ W 2025 ROKU BOOKERA.
W „Wyborczej” kanadyjsko-węgierski
pisarz rozmawia z Mateuszem Mazzinim o tym,
czym jest dla niego dom. I nie tylko.

Zamów magazyn z darmową dostawą na: [Prenumerata24.pl](https://prenumerata24.pl)

Więcej na: [Wyborcza.pl/ksiazki](https://wyborcza.pl/ksiazki)

ORANŻADA W WORKU

Kiedyś wypoczywało się kolektywnie.
W rytmie wyznaczonym przez stołówkę:
kolonie, obozy, wczasy pracownicze.

• Harcerze
na obozie
wędrownym
w lipcu 1982 r.

FOT. JAN MOREK/PAP

Artur Nowak

Kończy się czerwiec i jak co roku siadam nad telefonem, kombinując, jak pogodzić parametry ceny, jakości i atrakcji w planowanych wakacjach z córką. Jaki wybrać samolot, hotel i co zobaczyć. Wszystko dziś obsługują wyspecjalizowane aplikacje: Kiwi, Booking, Tripadvisor i wiele innych. Zalewa mnie milion zdjęć, które obiecują cudowne wakacje; zachody słońca nad zatokami, góry, muzea, kultowe restauracje.

Przypominam sobie, jak ludzie planowali te wyjazdy kiedyś. Olo będzie miał zaraz 80 lat. Ja lubię słuchać, a on lubi opowiadać.

– O wakacjach chcesz pogadać? – uśmiecha się. No i zabiera mnie w jakieś zamierzchłe czasy lat 50.

– Nie wiem już dokładnie, jak matka znajdowała te miejsca – mówi, wspominając letnie wyjazdy za miasto. – Telefonów przecież nie było. W tamtych wsiach, do których się jeździło, nie było nawet prądu. Musiała dowiadywać się od znajomych, ktoś gdzieś był, ktoś znalazł gospodarza. Jechała wcześniej sama albo wysyłała wiadomość przez kogoś, żeby sprawdzić, czy znajdzie się dom, izba, kawałek podłogi, miejsce dla dzieci na lato.

Jechało się pociągiem, autobusem, czasem PKS-em, a potem dalej czym się dało.

– Pamiętam drogę do Zabrzeży, do Nowego Sącza, potem w stronę Łącka. Furmanka wiozła nas trzydzieści kilometrów. Dla dziecka znajdującego jedynie podwórko to była cała wyprawa, prawie podróż przez kontynent. Koń, kurz, trzęsący się wóz, góry, drogi, które nie były jeszcze drogami w dzisiejszym sensie. I matka, która wszystko trzymała w rękach. Ona była bardzo dzielna. Bardzo.

W tych wsiach żyło się bez lodówek, bez wygód, bez sklepu za rogiem. W Lisznej, koło Sanoka, bywało tak, że chleb przywozili do do-

mu ludowego. Albo trzeba było iść po niego do Sanoka, osiem kilometrów przez góry. My, małe szkraby, też coś nieśliśmy – kapustę, jakieś zakupy, cokolwiek było trzeba. Dzisiaj dziecko marudziłoby po pięciu minutach, a wtedy się szło.

Człowiek mył się w rzece. Gdy trzeba było załatwić potrzebę, szło się za krzaki, brało gałązki, paprocie, liście. To był świat elementarny, surowy, ale wcale nie odbieraliśmy go jako biedy. Dziecko nie porównuje. Dziecko po prostu żyje w tym, co jest.

W co się bawiliśmy? Z bratem bliźniakiem w wojny. On miał swoją grupę, ja swoją. Toczyły się między nami bitwy, dziecięce kampanie, podwórkowe fronty.

Kiedyś pod blachami na podwórku szukaliśmy dżdżownic do łowienia ryb. Podnosimy blachę, a tam pociski. Prawdziwe. Dopiero po latach dowiedziałem się więcej o tym, co działo się w tamtych okolicach: o UPA, o przemocy, o ludziach, którzy przez te wąwozy i wsie przechodzili z bronią.

Ta wioska leżała w wąwozie prowadzącym do Sanu.

Ludzie – mówi Olo – byli wtedy bardziej życzliwi. Może to była relacja jeszcze powojenna. Może wynikająca z tego, że wszyscy wiedzieli, czym jest niedostatek. Ktoś podwiózł kobiecę z dziećmi do wioski, ktoś się zatrzymał i sam zainteresował, w czym może pomóc, zwłaszcza jeśli nie był stąd. Życie szło swoim torem, bez tego pośpiechu, który zostawia innych za plecami.

Jeździli po Bieszczadach.

– Ojciec był lekarzem wojskowym, więc pewne drzwi się otwierały. Matka chciała zobaczyć Komańczę, miejsce, gdzie więziono Wyszyńskiego – opowiada Olo. Kiedy po latach wracał do Komańcy, kiedy pracował nad filmem, Olgierd Łukaszewicz nie jeden przecież raz grał prymasa Wyszyńskiego, odkrywał te miejsca na nowo.

Człowiek wraca do własnej pamięci i nagle widzi, że ona nie jest dokumentem. Jest snem, który przechował proporcje dziecka. To, co

kiedyś było wielkim światem, okazuje się małą szkołą, zwykłym podwórkiem, wąską drogą, kawałkiem rzeki. Ale emocja zostaje ogromna.

Jajka na twardo w PKP

Moje wspomnienia są już bardziej realne. Mniej w nich surwiwału i kameralności. Ale jednak dla pokolenia mojej córki to pewnie dziki zachód.

Z dzieciństwa szczególnie zapamiętałem jeden wyjazd nad morze, do Kołobrzegu. Wielką wyprawę pociągiem z Zielonej Góry. Mam ten obraz przed oczami: ojciec niósł ogromną brązową walizkę – taką na zamki i dwa boczne zabezpieczenia, w której spokojnie można by przewieźć pół mieszkania, zapas konserw i jeszcze składany leżak.

Był odstrzelony w biały letni prochowiec, jakby nie jechał z rodziną nad Bałtyk, tylko na rozmowy pokojowe do Genewy. Matka też była gotowa na wielki świat: zrobiona u kosmetyczki, z trwałą świeżo po fryzjerze, w garsonce i butach na wysokim obcasie. Choć i tak z daleka najbardziej widać było czarną jak piekło hennę nad oczami.

Ale prawdziwy cyrk zaczął się dopiero na dworcu PKP w Zielonej Górze. Ludzie nie mieli skrupułów. Do pociągu wchodzili często oknami. Ale oczywiście ktoś musiał wcześniej zająć przedział.

My na szczęście bilety kupiliśmy wcześniej. Ojciec trzymał je w wewnętrznej kieszeni, jakby przewoził plany Układu Warszawskiego. Co dziesięć minut sprawdzał, czy są, a potem jeszcze sprawdzał, czy na pewno sprawdził. I ja chyba mam to po nim. Jakbym nie dowierzał samemu sobie, muszę zawsze sprawdzić, czy bilet kupiony przed chwilą w automacie na pewno jest w kieszeni. No i też się zapętlam.

Kiedy już miało się przedział, zaczynało się osobne państwo. Bo przedział w sezonie to był wypas.

No i zaczynał się ten kolejny teatr.

Ktoś otwierał brytfankę z pieczonym kurczakiem. Ktoś inny wyciągał z siatki jajka na twardo, kanapki, pomidory i sól zawiniętą w kawałek papieru. Po chwili cały wagon pach-

niał tłuszczem, małosolnym, potem i papierosem, a gdzieś tam w oddali, z innego wagonu słychać było znany wszystkim hit śpiewany do prostych akordów gitary.

Na kolejnych stacjach do środka wpadali handlarze z niebieskimi plastikowymi siatkami. Tak zwani cwaniacy: sprzedawali piwo, czasem fajki.

Było głośno, duszno i wesoło. Ktoś opowiadał kawały, ktoś się klócił, ktoś już spał z głową opartą o szybę.

Nawalony wczasowiczami pociąg jechał nad morze.

Rekin czyli dorsz

Z tamtych wakacji pamiętam jakieś urywki.

Zajechaliśmy na tak zwaną stację. W praktyce oznaczało to pokój na piętrze z łazienką na korytarzu i wspólną kuchnię. W zestawie był parawan, kilka koców i pewna obietnica luksusu, która polegała na tym, że tylnym, trochę nielegalnym wejściem można było przejść prosto na plażę.

Tylko że łazienka była mała. A ojciec był człowiekiem przesadnie serio traktującym pewne sprawy. Kiedy usiadł z poważną misją, okazało się, że nie dość, iż nie może tam wygodnie poczytać swojej ulubionej „Trybuny Ludu”, to jeszcze drzwi się nie domykają. I to był problem, który strasznie go gryzł.

Znalazł inną stację. Trzeba było się przemieścić, ale – jak się okazało – opłacało się. Trafiliśmy na piętro nad knajpą z rybami. W nowym apartamencie była fajna duża łazienka tylko dla nas.

Właściciel tej knajpy z rybami któregoś wieczoru, kiedy napił się z ojcem, wyjawiał mu tajemnicę polskiego kapitalizmu nadbałtyckiego. Największa kasa – mówił – jest nie na rybach, nie na frytkach, nie na dorszu – jest na surówkach.

A jeśli chodzi o ryby, to oficjalnie sprzedawał trzydzieści gatunków. W rzeczywistości miał pięć. Bo taki dorsz mógł robić nawet za rekina. „Bo kto tam wie, jak smakuje rekin?” – śmiał się. No i jeszcze stawiał ojcu piwo z bu-

telki, a nie z kija. Bo to z kija było chrzczone wodą. Na wszystkim można zarobić – uśmiechał się.

Słodczyce były wtedy towarem deficytowym. Matka wydzielala mi zazwyczaj kilka kostek z pudełka Ptasiego Mleczka. Miało starczyć na cały miesiąc. No ale na wakacjach było inaczej. Poznałem świat cukierni, gofrów, lodów włoskich, oranżady w woreczku i całej reszty tego nadmorskiego luksusu.

No, ale żeby go zaznać, trzeba było zająć odpowiednią wcześniej plażę. No i zamiast się wyspać, rodzice budzili mnie skoro świt i na głodniaka ruszaliśmy z wielkim wiklinowym koszem z bułkami, gotowanymi jajkami i termosem z herbatą na śniadanie doprawione nadmorskim piaskiem.

Wychodek z serduszkciem

Ale i tak najlepsze wakacje, jakie miałem, były u wujka na wsi.

To był świat PGR-ów, stodół, państwowych pól z ziemniakami i burakami, z których każdy rwał i wyrwał, co chciał i jak chciał. Dla miastowego dziecka – magiczna kraina bez mapy.

Co rano ruszaliśmy z kuzynami na przeszukanie wielkiej stodoły w poszukiwaniu jajek. Kury miały swoje miejsca. W sianie, za deskami, pod żłobem, w kątach, do których trzeba było wejść na czworakach. Jeśli w gnieździe było więcej niż jedno jajko, jedno należało zostawić, żeby kura widziała, gdzie ma znieść następne.

Ciotka z tych jajek robiła wielką patelnię jajeczniczy. No jak trafił się zbuk, to miała sposób. Wbijala więcej jajek, żeby zbuka nie było czuć. Śmieję się dziś, jak to wspominam, ale tak naprawdę było.

W tym czasie pracował już parnik z ziemniakami dla zwierząt gospodarskich, a wujek zbierał się po kanki z mlekiem, które woził do mleczarni. Kilka razy zabrał mnie ze sobą i to były naprawdę wielkie przygody.

Pomagałem z kuzynami ładować te kanki na wóz i dostawałem za to od wujka jakieś drobne. Niby nic, a człowiek czuł się, jakby właśnie dostał pierwszą wypłatę za poważną robotę.

Pamiętam też wyprawy na grzyby. Największym trofeum grzybobrania była kania, zwana u nas sową – smażona potem à la schabowy. Wujek mówił, że to taki rarytas, że ściąłby ją nawet wtedy, gdyby wyrosła na brzuchu trupa.

Nie wiem, co to dokładnie znaczyło. Ale właśnie dlatego działało, bo wieś była pełna takich zdań: niedopowiedzianych, groźnych, trochę przekreślonych, powtarzanych po dorośłych i natychmiast uznawanych przez dzieci za prawo natury.

Na polu stała wielka wanna na deszczówkę. Czasem wracał ktoś pijany z imprezy, kładł się w tej wannie i patrzył w gwiazdy, jakby znalazł się w sanatorium pod gołym niebem. Najczęściej jednak największą frajdę miały dzieciaki, zwłaszcza kiedy był upał. Wtedy ta wanna stawała się basenem, morzem, jeziorem i luksusowym kąpieliskiem w jednym.

Na wsi dziecko mogło być naprawdę dzieckiem.

Oczywiście były też rzeczy, które dzisiaj są już zupełnie niespotykane. No, chyba że jako skansen albo atrakcja edukacyjna dla dzieci z miasta. Mam na myśli wychodek z wyciętym wizjerem.

Do dziś zastanawiam się, dlaczego akurat w kształcie serduszka.

Niebezpieczne zabawy

Ale wakacje to przecież był głównie czas spędzony w domu. W tamtych czasach, myślę o swojej młodości lat 80., to, co dziś wydawałoby się proste, szare i mało interesujące, przeżyaliśmy intensywniej. Świat, a w zasadzie jego smak nie był jeszcze tak rozcieńczony w tysiącach ekranów.

Chodziliśmy, nucąc nowe kawalki z winyli Republiki, The Cure, rozmawialiśmy o wywiadach z „Razem” i „Non Stopu”. Kasety przechodziły z magnetofonu na magnetofon, z jednej głowy do drugiej. Były znakiem roz-

poznawczym, że należymy do tego samego świata, do którego wpuszczali nas Beksiniński z Niedźwieckim w radiowej Trójce.

W czerwcu wypatrywaliśmy lata. Jeszcze tylko wpierdol – żartowali niektórzy, mając na myśli kiepskie świadectwo – i zaczynały się wakacje.

Budowaliśmy szalasy, organizowaliśmy wyprawy do ruin zamku, który obiecywał nam wielki skarb, zupełnie jak z „Pana Samochodzika”. Każda dziura w ziemi mogła być wejściem do tajnego tunelu, każdy kawałek rdzawego metalu – śladem dawnej bitwy, każdy opuszczony mur – początkiem przygody.

Czasem te zabawy były po prostu niebezpieczne. Jak sikanie z mostu na Odrze w Krośnie Odrzańskim na przepływające barki. Byliśmy bezkarni, niewidzialni, sprytniejsi od całego dorosłego świata. Ale któregoś dnia jeden z członków załogi zapamiętał nas, dopadł już na brzegu i dał nam manto za te wszystkie razy.

Były też zawody w tak zwanego „Kukucz-kę”: kto dalej i bardziej ryzykownie zejdzie po tamie w stronę wiru rzeki. Biliśmy rekordy. Sprawdzaliśmy granice odwagi, głupoty i szczęścia. Dzisiaj myślę o tym z przerażeniem. Podobnie jak o zawodach w przebieganiu przed nadjeżdżającym samochodem. Wtedy była w tym adrenalina, śmiech, popisywanie się przed kolegami. Dziś, kiedy wracam do tego pamięcią, czuję olbrzymią wdzięczność, że w ogóle żyję.

Takie było to nasze podwórkowe życie. Zabawy w chowanego po piwnicach, posiadówki na trzepakach, nieustająca liga ulic w piłkę nożną. Nieraz człowiek się poobijał, wyturłał w pokrzywach, nieraz wsadził łapę w psią kupę, kiedy czaił się do zaklepywanki, albo dostał w łeb od matki czy obcego dorosłego, który akurat uznał, że ma prawo przywołać cudze dzieciaki do porządku.

Ale było w tym coś, czego dziś nie umiem łatwo nazwać. Wolność? Dzikosć? Brak nadzoru? A może tylko dziecięce przekonanie, że świat należy do nas, bo dorośli nie patrzą. Że między obiadem a kolacją istnieje osobne państwo, w którym obowiązują nasze prawa, nasze hasła, nasze sojusze i nasze zdrady. I że dopóki nie wołają na obiad, dopóty można wszystko.

Nieudany irokez

Wakacje w latach 80. to był także czas kultowych koncertów: Jarocina, Róbrege i Brodnicy. Ten ostatni festiwal był raczej dla hippisów. Każdy miał swoje miejsce, swój rytuał, swoją pielgrzymkę.

Kiedyś postanowiłem pojechać do Jarocina. Zanim jednak w ogóle przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć o tym rodzicom, trzeba było zadbać o odpowiedni image. A czasy były biedne. Alternatywa ubierała się w przefarbowane wojskowe moro, do tego ciężkie buty, czasem jakieś zdobyczne „ojki” czy inne wynalazki, byle wyglądało to wystarczająco punkowo. No i oczywiście wskazany był irokez.

Postanowiłem zrobić go sam. Wziąłem żyłkę i zacząłem podgalać włosy nad uchem. Szybko się okazało, że wygolone po bokach polacie są kompletnie niesymetryczne. Wierzę prowadziałem. I tak centymetr po centymetrze zbliżałem się do tego wymarzonego koguta, którego chciałem potem postawić na cukier.

Kiedy zobaczyła mnie matka, wpadła w szal. Popłakała się i powiedziała, że wyglądam jak bandyta. Musiałem zgolić się na lyso.

Ale do Jarocina pojechać się udało.

Przedtem były jeszcze kombinacje z biletami, bo cała frajda – i to była chyba jedna z cech młodego peerelowskiego pokolenia – polegała na tym, żeby obejść system, zakombinować. Bo tak, po prostu normalnie kupić, to umiał każdy głupi. Potrzebny był stary, wypisany bilet albo blankiet, który można było skądś zdobyć. Koledzy, którzy potem zdawali na ASP, przeprowadzali tę przedziwną operację z wielką precyzją. Na jednym bilecie można było wpisać kilka osób.

Autostopem z klerykiem

Jeździło się stopem. Kolejny pomnik wolności w kraju, który wolność reglamentował jak wBuchowy towar. Można było nie mieć samochodu, pieniędzy ani konkretnego planu, a jednak jechać. Wystarczyło stanąć przy drodze i podnieść rękę.

Jeździliśmy na oazę do Tylmanowej, z okolic Zielonej Góry. Dzisiaj brzmi to jak szaleństwo: przeprawa na koniec świata, aż za Kraków, bez telefonów, bez GPS-u, bez możliwości wysłania komuś pinezki z lokalizacją. Były tylko mapy, pobocza, przypadkowe samochody i umowy zawierane na słowo.

Umawialiśmy się na kolejne odcinki drogi. Tu się spotkamy, tam będziemy czekać, następny punkt: Mszana Dolna.

Najlepiej było, kiedy jechał z nami kleryk. „Na kleryka” łapało się stopa bezbłędnie. Nie było bata – ludzie pobożni widzieli sutannę albo coś, co sutannę przypominało, i hamowali. Otwierały się drzwi „maluchów”, dużych Fiatów, Żuków i Polonezów.

Na miejscu były oczywiście msze. Dużo mszy. Były śpiewy, konferencje, pogadanki, wspólnotowe uniesienia, ten cały religijny język, który wtedy wydawał się naturalny, a w którym dzisiaj słyszę już dobrze znaną nutę tresury. Ale wtedy było też coś prawdziwego: spęd ludzi z całej Polski, twarze z miast, których wcześniej nie umiałbym pokazać na mapie, rozmowy do późna, pierwsze wielkie przyjaźnie, pierwsze zauroczenia, pierwsze poczucie, że świat jest większy niż własne podwórko.



Najlepiej było, kiedy jechał z nami kleryk. „Na kleryka” łapało się stopa bezbłędnie

Czasem z tych oazowych przyjaźni rodziły się narzeczeństwa, czasem małżeństwa, ale na pewno ważne wspomnienia, które po latach wracają, pokazując prostotę i bez troskę, której dziś tak nam brak.

Było w tym, rzecz jasna, dużo indoktrynacji. Dzisiaj nie mam co do tego złudzeń. Formowano nas, ugniatano, podsuwano gotowe odpowiedzi, zanim zdążyliśmy zadać własne pytania. Uczono nas mówić określonym językiem o Bogu, ciele, winie, czystości, posłuszeństwie. Wdrukowywano schemat: wspólnota jako rodzina, ksiądz jako przewodnik, Kościół jako jedyny bezpieczny dom.

Egzotyczna Bułgaria

Wiek średni wakacyjnej wyobraźni – te między furmanką a lotem czarterowym – to lata 70. Epoka Gierka dała nam poczucie, że świat jest większy niż powiat, województwo i zakładowy ośrodek wypoczynkowy nad jeziorem.

Paszport nie był oczywiście dokumentem osobistym w dzisiejszym sensie i nie leżał w szufladzie. Był własnością państwa, a obywatel mógł go na chwilę wypożyczyć. A kiedy obywatel z wakacji wracał, paszport oddawał.

Potem pojawiły się wkładki paszportowe. Polacy masowo ruszyli do demoludów: Bułgaria, Rumunia, Węgry, NRD, Czechosłowacja. Dzisiaj te kierunki brzmią zwyczajnie, ale wtedy miały w sobie obietnicę egzotyki. Bułgaria była niemal Riwierą. Rumunia – dzielnicą dziczą. Węgry – krainą pachnącą salami i papryką. NRD kojarzyła się z bliższymi ciału potrzebami – była państwem lepiej zaopatrzonych sklepów, porządku i ernerdowskich zabawek.

Żyjemy w strefie Schengen i człowiek czasem nawet nie zauważa, że przed chwilą był w innym państwie. Ale jeszcze parę dekad temu na granicach stały kolejki samochodów, autobusów nabytych zaspanymi wczasowiczami i ich dziećmi. Najgorsi byli celnicy za-

glądający do walizek i te pytania zadawane tonem, który sugerował, że każdy obywatel jest potencjalnym przemytnikiem, dezertrem albo idiotą.

To nie była jakaś tam podróż, ale mała wyprawa kolonialna. Kanister z benzyną, części zapasowe, pasek klinowy, narzędzia, konserwy, namiot, śpiwory, menażki, koc, apteczka, mapa, plastikowe kubki, nóż, latarka, sznurek, agraftki, zapasowe żarówki, czasem nawet własny papier toaletowy. Cały dom upchnięty w bagażniku i na dachu.

Klimatyzacji nie było. Były uchylone okna, przeciąg, kurz, pot i to wykuwało naszą cierpliwość, bo człowiek wiedział, że nie ma żadnej alternatywy.

Często wyjazd musiał się „zwrócić”. Ludzie coś wieźli, coś przywozili. Trochę handlu, trochę kombinowania, trochę turystyki, trochę rodzinnego przemytu. Krem Nivea z niemieckimi napisami, plastikowa torba z zagranicznego sklepu – to były trofea. Tych toreb zresztą nie wyrzucano. Reklamówka z napisem po niemiecku była małym sztandarem awansu cywilizacyjnego.

Odróżnić się w tamtych czasach było marnieniem, którego ktoś, kto nie żył w tamtych czasach, nie jest w stanie zrozumieć.

Uczestnik turnusu

Bo w kraju wypoczywało się kolektywnie. W rytmie wyznaczonym przez stołówkę: kolonie, obozy, wczasy pracownicze, domy wypoczynkowe należące do zakładów pracy, kopalni, hut, spółdzielni, ministerstw i związków zawodowych. Ośrodki nosiły nazwy, które same były jak wiersz socrealistycznej geografii: „Górnik”, „Hutnik”, „Energetyk”, „Jutrzenka”, „Relaks”, „Przodownik”, „Metalowiec”, „Kolejarz”.

W pokojach stały wersalki, segmenty z płyty, stoliki przykryte ceratą, szklanki w metalowych koszyczkach, czasem radio, czasem obrazek z widokiem gór albo morza. Łazienka w korytarzu, ciepła woda w określonych godzinach i regulamin, z którego najważniejsze punkty to cisza nocna od dwudziestej drugiej i liczne zakazy: używania grzałek, wynoszenia naczyń ze stołówek, przyjmowania osób postronnych i tego wszystkiego, co mogło przypominać, że człowiek przyjechał odpocząć od zakazów.

Śniadanie o ósmej, obiad o trzynastej, kolacja o osiemnastej. No a wieczorem ten peerelowski wodziirej: kaowiec – półanimator, półideolog, półkonferanser.

Kaowiec musiał wśród perlistych opowieści o urokach miejsca, do którego przyjechaliśmy, wpleść jakąś socjalistyczną myśl oświeceniową. Dzieci chciały kielbasę z ogniska, dorośli potaćnić, ale ten typ musiał nadać temu wszystkiemu sens klasowy.

O tym jest kultowy „Rejs” Marka Piwowskiego: statek wycieczkowy płynący donikąd jest przecież jednym z najtrafniejszych obrazów PRL-owskiej wspólnotowości.

Ten kolektywizm miał w sobie coś dusznego, ale też coś wspólnotowego. Ludzie się poznawali, pili razem, tańczyli, grali w karty, pilnowali sobie dzieci, pożyczali krem do opalania. Wakacje były przedłużeniem PRL-owskiego życia społecznego: trochę przymusowego, trochę serdecznego, trochę absurdalnego. Człowiek nie był anonimowym klientem hotelu. Był uczestnikiem turnusu.

Dziś jest inaczej. To odkrywanie świata w pojedynkę, samotne wakacje, randki ze sobą – wszystko to stało się proste, wręcz technicznie banalne.

Lubię grzebać w tym komunistycznym gruzie, bo sporo tam sentymentalnych skarbów.

Uśmiecham się do siebie – planując tę wycieczkę, ten wyjazd z córką, nie liczę na to, że zapamięta to, co pokazują te wszystkie podrasowane zdjęcia. Żadna z obietnic aplikacji nie przetrwa.

Mam nadzieję, że zostanie właśnie to coś, co po latach ją zawoła – zapachem, światłem, muzyką, jednym zupełnie nieistotnym szczegółem, którego dziś nie da się zaplanować. ●

WYCHOWANI PRZEZ WILKI

W Norrlandii znajduje się połowa szwedzkich lasów oraz połowa przemysłu drzewnego i papierniczego. Bez tutejszych tartaków nie byłoby sukcesu Ikea. Czego jeszcze nie wiemy o szwedzkim Podlasiu?



Małgorzata Sidz

Turyści chętnie zwiedzają szwedzkie miasta – Sztokholm, Malmö, Göteborg – z ich historycznymi starówkami. „Prawdziwej” Szwecji, którą symbolizuje czerwony, drewniany konik, szukają w Dalarnie, a prawdziwej natury – na Gotlandii czy archipelagu sztokholmskim. O północnej części Szwecji przypominają sobie, gdy jadą pociągami do Laponii na spotkanie ze Świętym Mikołajem. A warto zobaczyć z utartych szlaków i zrobić sobie w Norrlandii kilka przystanków.

Kim jest Norrlandczyk?

Norrland – dosłownie „północne ziemie”, to jeden z trzech głównych historycznych i kulturowych regionów Szwecji (obok Götaland i Svealand). Zajmuje około 60 proc. powierzchni kraju, ale mieszka tam tylko 12 proc. populacji. Milion i niecałe 200 tysięcy ludzi na obszarze tylko o 15 proc. mniejszym niż Polska.

Norrlandia nie jest żadną konkretną jednostką administracyjną, ale każdy Szwed ma o niej swoje zdanie. Na południu zaczyna się w miastach Gävle i Sandviken i rozciąga daleko za Koło Podbiegunowe. Ale dla mieszkańców południa kraju zwykle wszystko co na północ od Sztokholmu – to już Norrlandia.

Młodzi mieszkańcy stolicy, których o Norrlandię i jej mieszkańców pytała na ulicy dziennikarka kanału Tänk Till na You Tube, mówili, że Norrlandczycy to ludzie „z okresu kamienia łupanego, mieszkający w domach z patyków, którzy do picia gotują wodę z rzeki”. Że w Norrlandii nie ma sklepów, jest tylko centrum, „w którym stoi Hemköp [1] i dwoje ludzi”. Że w Kirunie jest co prawda „spokojnie i ładnie,

ale nie ma internetu”. Gdzie dla nich zaczyna się Norrlandia? „Na północ od Sztokholmu, najwyżej w Uppsali”.

Stereotypowy mieszkaniec Norrlandii to drwal w koszuli w kratę, który konsumuje tak dużo tytoniu w woreczkach snus, że może włożyć palec pod wargę i dotknąć oczodołu. Jego pasje to ściganie się samochodem po wiejskich drogach i picie piwa na parkingu pod jedynym supermarketem w mieście. Słucha country i ma prosty gust – je tony ziemniaków, nie wyobraża sobie posiłku bez mięsa, a każdy poranek zaczyna od owsianki. W odróżnieniu od światłych mieszkańców stolicy Norrlandczycy nie znają się na modzie, nie słyszeli o kosmetykach, a ich jedyny produkt do pielęgnacji włosów to woda z jeziora.

Co jeszcze stereotypy mówią o Norrlandczycach? Że są aspołecznymi dziwakami wychowanymi w lesie przez wilki, którzy łatwiej dogadają się z losiem niż z drugim człowiekiem. Że są małomówni i niechętni do kontaktu tak bar-

dzo, że zamiast słowa „ja” oznaczającego „tak” odpowiadają głośnym wdechem. No i jeszcze, że są konserwatywni, grubiańscy i nieociosani.

To krzywdzące opinie, ale jakoś wciąż popularne. Bo nawet rzeczy pozytywne tłumaczy się tak, jakby nimi nie były. Norrlandczycy są raczej otwarci, pomocni i gościnni, ale mówi się, że to dlatego, bo są prości i dzicy. To, że tworzą bliskie społeczności i utrzymują ciepłe relacje z rodziną, bywa uważane za dowód na nieucywilizowanie i zacofanie w stosunku do zindywidualizowanego, kapitalistycznego społeczeństwa zurbanizowanego południa Szwecji.

Norrlandczycy są więc synonimem wszystkiego, co „inne”, dzikie, obce i niezrozumiałe.

Dzikość i przemysł

Norrlandia rzeczywiście może się wydawać nieco egzotyczna. Im dalej na północ, tym jest zimniej, a krajobraz pustoszeje. Lasy liściaste zamieniają się w iglastą tajgę, a potem w tundrę. Prawdziwa Norrlandia to zorze polarne,

przenikliwe zimno, niekończący się zimowy mrok i lato bez snu (tzw. białe noce).

Tak, jest tutaj zimniej, ale jest też cicho, przytulnie i klimatycznie, a powietrze jest przyjemnie suche. Zimą śnieg skrzypi pod stopami i swoją bielą rozjaśnia świat lepiej niż sztuczne światła w miastach na południu. Woda jest smaczniejsza, powietrze czyste i rześkie. Ani śladu zanieczyszczeń czy smogu.

W Norrlandii znajduje się połowa szwedzkich lasów oraz połowa przemysłu drzewnego i papierniczego. Bez tutejszych tartaków nie byłoby sukcesu Ikea. Zielone złoto napędzało rozwój szwedzkiego przemysłu już w XIX wieku. Ale niepokorny apetyt przemysłu drzewnego, który wycina piękne, stare lasy, a na ich miejsce tworzy sztuczne szkółki leśne, budzi duże kontrowersje i dyskusje (pisał o tym m.in. dziennikarz Marcin Zaremba-Bielawski).

W tutejszych rzekach i wodach Zatoki Botnickiej od tysięcy lat łowiono śledzie, łososie, sieje, sielawy, okonie i szczupaki. Żywiły nie tylko lokalną ludność, ale i cały kraj. Najlepiej znanym produktem z regionu jest chroniony przez Unię Europejską kawior z sielawy Kalix Lőjrom.

Dzisiaj rzeki to już mniej rybołówstwo, a bardziej produkcja zielonej energii. Tutejsze elektrownie wodne pokrywają 40 proc. krajowego zapotrzebowania na prąd. Wiele projektów związanych z produkcją czystej energii zapoczątkowano właśnie w Norrlandii, choćby w Skellefteå nowa technologia produkcji energooszczędnych baterii.

Największym bogactwem Norrlandii są jednak jej kopalnie, bo znajdziemy tu miedź, złoto, srebro, minerały ziem rzadkich, a przede wszystkim największe w Europie złoża rudy żelaza. Obok przemysłu drzewnego odpowiadają one za ogromny skok gospodarczy, który przeżyła Szwecja pod koniec XIX wieku. Dzisiaj



• **Renifery w Parku Narodowym Abisko za Kołem Podbiegunowym. Jedno z najlepszych miejsc do obserwacji zorzy polarnej**



FOT. UNOMIOS/SHUTTERSTOCK

Norrlandia - Szwecja

Norrland znaczą dosłownie Północne Ziemie. Jeden z trzech głównych historycznych i kulturowych regionów Szwecji. Zajmuje prawie 60 proc. powierzchni kraju, a mieszka tam tylko 12 proc. populacji: 1 200 tysięcy ludzi



MAPA: JOANNA PATYK

© GAZETA WYBORCZA



FOT. MATS ANDERSSON/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

◀ **Wioska rybacka w Höga Kusten nad Zatoką Botnicką. Tutejsze atrakcje to urokliwe zatoki i plaże oraz klify – jedne z najwyższych na wybrzeżu Bałtyku**

▲ **Norrlandia to połowa szwedzkich lasów i połowa przemysłu drzewnego. Ale wycinanie starych drzew budzi w Szwecji coraz większe kontrowersje**

▼ **Wielki Rynek w Sundsvall. Miasto jest otoczone lasami, 10 minut od centrum jest jezioro Sidsjön. W XIX w. było to centrum przemysłu drzewnego**



TRABANTOS/SHUTTERSTOCK

Szwecja ma Spotify, Volvo, Skanska i ogromny przemysł muzyczny, ale ponad 100 lat temu to właśnie bogactwa Norrlandii wyciągnęły Szwedów z gospodarstw rolnych do miast.

Relacja południowej Szwecji z Norrlandią ociera się o kolonializm. Opiera się głównie na eksploatacji, bardzo często wbrew głośno wyrażanym potrzebom lokalnych społeczności. Tak, mieszkają tu ciężko pracujący ludzie, bije tu serce przemysłu, które utrzymuje resztę Szwecji, ale wytwarzane na północny bogactwo w ograniczonych stopniu tu zostaje.

Gävle – wrota na Północ

Pierwsze wrota, które prowadzą na Północ, to Gävle leżące zaledwie 100 km od Uppsali. To symboliczna granica między południem a północą kraju i najstarsze miasto w Norrlandii, założone w 1446 roku.

Gävle jak na Norrlandię jest bardzo miejskie. Ludzie chodzą na spacer do parku, a nie do lasu, i grają tam we frisbee, a nie polują na łosie. Nie ma tutaj dzikiej, nieokiełznanej natury i wiele osób uważa, że miasto powinno należeć do Svealandii – regionu, w którym znajduje się Sztokholm. Ale Gävle z 80 tysiącami mieszkańców woli być dużym miastem w Norrlandii niż jednym z małych miast południa kraju.

Centrum duchem trochę przypomina warszawski Muranów. Starówka to małe domki w odcieniach stonowanych żółci i czerwieni, z wybrukowanymi drózkami, w których mieszczą się dzisiaj kawiarenki, sklepiki z rękodziełem i pamiątkami w zawyżonych cenach. Jest też sala koncertowa, dziwnie granatowa i geometryczna, przypominająca basen oraz samowarowe najstarsze szwedzkie centrum handlowe, czyli dwupiętrowa, mała hala targowa.

Jeszcze zanim zbudowano tu kolej, Gävle było furtką między północną Szwecją a resztą świata. To miasto z długą, kupiecką tradycją i ważny port. Były czasy, że było nawet piątym co do wielkości miastem w kraju. Stąd eksportowano rudę żelaza, smołę, drewno. I oczywiście ryby. W XV i XVI wieku rybacy z Gävle mieli królewski monopol na połowę wzdłuż całego wybrzeża Norrlandii. Przez setki kilometrów ciągnęły się więc zakładane tutaj w sezonie rybackie wioseczki.

Sundsvall, prawdziwe centrum kraju

Trochę ponad 200 km wyżej leży Sundsvall, moje prywatne wrota na Północ. Tutaj już

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazywać różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



można poczuć prawdziwą Norrlandię. Miasto otaczają lasy, 10 minut od centrum jest jezioro Sidsjön, a krótki most prowadzi na Alnö – wyspę, na której są plaże i domki letniskowe. Nie ma tu już charakterystycznych dla południowej Szwecji gospodarstw rolnych.

Miasto położone jest między dwoma wzgórzami nazwanymi z fantazją Norra Berget i Södra Berget – Północne Wzgórze i Południowe Wzgórze. Można na nich palić ogniska i podziwiać panoramę miasta, które jest tak inne od ciasnej, miejskiej zabudowy na południu.

Pod koniec XIX wieku było to centrum przemysłu drzewnego i papierniczego. Tutejszy port ułatwiał eksport tych produktów za granicę i dzięki temu miasto było jednym z najbogatszych w kraju. To tu kształtowały się dzisiejszy szwedzki kapitalizm i klasa pracująca.

Dzisiaj w Sundsvall nadal działają tartaki, ale to hydroelektrownie oraz usługi cyfrowe i telekomunikacyjne napędzają teraz rozwój miasta. Tak jak cały kraj, Sundsvall przechodzi przemianę – od wydobywania i przetwarzania zasobów naturalnych do ekologicznej nowoczesnej gospodarki opartej na wiedzy i umiejętnościach. Miasto chce być znane dzięki swojemu uniwersytetowi – Mittuniversitetet – nazywanemu tak, bo Sundsvall leży w samym centrum kraju. Dołączyło do długiej listy miast, które uważają się właśnie za leżące w centrum kraju – takich jak Gävle, Uppsala, Örebro i oczywiście Sztokholm.

Kamienne domy pod ochroną smoków

Miasta szwedzkie były budowane z drewna, więc każde ma w swojej historii wiele pożarów, ale niewiele tak dramatycznych jak ten, który strawił Sundsvall w ciągu jednego dnia w 1888 roku. Tysiące ludzi wylądowało na ulicy. Żeby zapobiec podobnym tragediom, centrum odbudowano w kamieniu i cegle, na

wzór innych miasteczek europejskich. Na starówkę, która jest wyjątkowo szeroka i elegancka, mówi się więc Stenstan (kamienne miasto).

Jeden z ówczesnych mieszkańców Sundsvall, przedsiębiorca Isaak Hirsch wierzył w lokalną legendę o smokach, które chronią miejsca, opiekując się nimi. Umieścił więc na dachu swojej kamienicy zięjącego ogniem mośiężnego potwora. Innym się to spodobało i też zaczęli smokami ozdabiać swoje budynki. Dzisiaj smoki są wszędzie i stały się symbolem miasta. Swoje smoki mają poczta, wodociągi, strażacy, policja, uniwersytet. I oczywiście lokalna drużyna koszykarska nazwana na cześć smoków właśnie. Robienie zdjęć dziesiątkom porozrzucanych po mieście smoków to ulubiona rozrywka turystów.

Zielone wzgórza nad Zatoką

Z okolic Sundsvall wyruszyć można na Höga Kusten – wybrzeże Zatoki Botnickiej znane czasami jako „szwedzkie Lofoten”. Cofający się miliony lat temu lodowiec pozostawił po sobie dramatyczny krajobraz. Potężne klify i wirska, kotliny i kaniony, które z czasem pokryły się bujnymi lasami, a wzgórza zielenią i wrzosem. I nagą skalę zabarwioną na ceglasto. I porwane na małe kawałki wysepki.

To wyjątkowe widoki – wzgórza wpadające prosto do morza i głębokie zatoki. Można takie zobaczyć w Kanadzie czy Brazylii oraz właśnie tu, w Szwecji. Szlak, który prowadzi przez to wybrzeże, ma 130 km i nazywany jest jedną z najpiękniejszych pieszych tras w Europie.

Umeå – miasto brzoź i młodzieży

Ostatnie wrota na Północ to Umeå ze 130 tysiącami mieszkańców. Nazwane na cześć rzeki, która przez nie przepływa – podobnie jak Luleå czy Piteå – ale mieszkańcy Norrlandii mówią na nie po prostu Ume. Nazywa się je też

„miastem brzoź”. Podobnie jak w Sundsvall, w 1888 roku pożar pochłonął większość miasta. Tak jak w Sundsvall, problemem był wiatr, który rozniósł ogień. Dlatego podczas odbudowy, pomiędzy budynkami sadzono tysiące brzoź, żeby złagodzić podmuchy wiatru.

Umeå to stolica północnej Szwecji, intelektualne i kulturalne centrum regionu m.in. dzięki tutejszemu uniwersytetowi założonemu w latach 60. XX wieku. To centrum badań, innowacji i kultury start-upów oraz jedno z najmłodszych demograficznie miast w kraju. W Umeå mieszkają się też kultury, a prom łączy miasto z fińską Vaasą.

W latach 80. rozwijała się tutaj muzyka punk i hardcore, powstał ruch straight edge, którego członkowie odmawiali picia alkoholu i nie używali narkotyków. Dzisiaj działa tu wiele ruchów aktywistycznych zajmujących się m.in. prawami zwierząt i zmianami klimatu. Umeå pełna jest młodej energii.

Bo postrzeganie tego, czym jest północ Szwecji, zmienia się. O ile Gävle było pierwszą bramą, która otworzyła drogę na Północ, a Sundsvall centrum jej industrializacji, to Umeå jest symbolem przyszłości i nadzieją na nowoczesny rozwój regionu.

Laponia. Im dalej w las, tym mniej drzew

I Szwed, i Polak zgodzi się, że prawdziwa Północ to Laponia. Tu mieszka Święty Mikołaj, tutaj jest hotel zbudowany z lodu, tu mieszkają renifery i można ścigać się na psich zaprzęgach. Tu znajdziesz esencję szwedzkości, jej ciżbę, jej lagom, czyli umiarkowanie. Jej smagający, zimny wiatr. Park narodowy Abisko leżący 200 km na północ za kołem podbiegunowym to cel turystów poszukujących zorzy polarnej i emocjonalnego wyciszenia. Bo oglądanie zorzy polarnej jest jak medytacja.

Perłą w koronie Laponii jest Kiruna. To mekka kultury Sámi. Kiedy ludy nordyckie zaludniały południe kraju, Sámi od tysięcy lat zamieszkiwali jego północ, łowili ryby i wypasali renifery. Ziemie, które zamieszkują do dzisiaj, rozciągają się między Norwegią, Szwecją, Finlandią i Rosją. W XX wieku byli dyskryminowani we wszystkich tych krajach.

Kultura Sámi i Tornedalianów

Sámi mają tradycyjny strój *gákti*, przypominający jodłowanie śpiew *jojk* oraz rękodzieło *duddi*. Od paru dekad rozwijają też swój przemysł filmowy i literaturę. W Szwecji mają własny parlament, a państwo – przynajmniej w teorii – konsultuje się z nimi w kwestiach związanych z rozwojem regionu.

Język *sámi*, który ma wiele dialektów, przeżywa swój renesans wśród młodych, którzy są dumni ze swojego pochodzenia i już się go nie wstydzą. Pomaga to, że Szwecja przez ostatnie 20 lat zapelniła się imigrantami z całego świata, i nie trzeba być już etnicznie czystym Szwedem, żeby czuć, że przynależy do tego kraju.

Mniej znaną mniejszością, która zamieszkuje Kirunę oraz okolice rzeki Torne od stuleci, są *Tornedalianie* – ludność etnicznie fińska. Swoją tradycyjną dom nazywają *meänmaa*, czyli nasza ziemia, a język – *meänkieli*, czyli nasz język. Region, który zamieszkują, od 1809 roku był częścią szwedzkiej Finlandii. Kiedy Szwecja w wyniku wojny z Rosją, musiała jej oddać dzisiejszą Finlandię – wielu Finów zostało po tej stronie granicy. Ich język i kultura pozostały fińskie, ale rozwijały się równolegle, bez kontaktu z Finlandią, oraz pod wpływem represyjnej polityki szwedzkiego państwa.

Ich tożsamość to szwedzko-fińska hybryda. A bardziej niż z którymkolwiek z krajów identyfikują się z samą rzeką, lodowym krajobrazem, potrawami z renifera, ryb rzecznych i żytniego chleba. Pisarz Mikael Niemi rozślawił ten region w Szwecji i Finlandii, opisując go w powieści „Muzyka pop z Vittuli”.

Kiruna musi się przenieść

Ostatnio, jeżeli Kiruna pojawia się w mediach, to niestety, nie w związku z bogatą historią i kulturą miasta. Stała się symbolem tego, jak



• Kopalnia w Kirunie stoi na największym złożu rudy żelaza w Europie. To labirynt 500 km dróg i korytarzy



• Kiruna – miasto, które powstało kiedy odkryto tutaj rudę żelaza i zbudowano kopalnię. Jaka będzie jego przyszłość? Zapada się z powodu wydobycia i musi zostać przeniesione

północ kraju jest eksploatowana przez południe. W XVII wieku w tych okolicach znaleziono złoża rud żelaza. Pod koniec XIX wieku rozpoczęto ich wydobycie na masową skalę i wtedy też założono miasto.

To, co było zbawieniem, dzisiaj jest przekleństwem. Powstanie kopalni nie przelożyło się na dobrobyt ludzi, którzy przybyli tu do pracy. Pieniądze nie są tu reinwestowane, ale jak zwykle zniknęły gdzieś na południu. Kopalnia stoi na największym złożu rudy żelaza w Europie, to monstrum, podziemny labirynt 500 km korytarzy (winda jest tylko dla złóż).

Miasto zaczyna się zapadać. Żeby kontynuować wydobycie, postanowiono je przenieść 3 km na wschód. Kawalek po kawalku, budynek po budynku. Prywatne domy, drogi, szkoły i całą infrastrukturę.

Posłuchajcie podcastu „Poznajmy naszą Europę”

• Szwecja to kraj, który przez lata był symbolem najwyższej jakości, nowoczesności i dobrego życia. Przewodniczką **Alicji Dąbrowskiej** z „Gazety Wyborczej” jest **Emilia Fabisiak**, tłumaczka i znawczyni szwedzkich realiów. Opowiada o niezwykle drodze Szwecji: od biednego państwa rolniczego, do jednego z najbogatszych i najbardziej rozwiniętych krajów świata.



Także drewniany kościół luterński zaprojektowany przez Gustafa Wickmana, którego zainspirował kształt tradycyjnego namiotu Sámi – káta. To jedna z najpiękniejszych budowli w kraju. Rok trwały przygotowania do transportu, wewnątrz oczyszczono z mebli czy ozdób i w 2025 roku przewieziono go na gąsienicach w całości na nowe miejsce.

Procesję oglądali mieszkańcy Kiruny, a w internecie – cały świat. Widok był niezwykły, ale dla mieszkańców to tylko chwyt marketingowy. Bo wbrew zapowiedziom nie wszystkie budynki zostaną tak potraktowane – tylko część zostanie rozebrana na kawałki, a potem przeniesiona. Dla wielu nie ma planu – nie zostaną ani przeniesione, ani nie powstaną dla ich alternatywa. Taki los czeka np. sale koncertowe i miejsca spotkań młodzieży. Istnieje obawa, że wraz z przeprowadzką zniknie infrastruktura, która sprawia, że życie w mieście jest przyjemne. Miasto w nowym miejscu zostanie podporządkowane wyłącznie działalności górniczej. Tak jak wtedy, kiedy powstało.

Przenosiny miasta to także problem dla Sámi. W arktycznym klimacie roślinność rośnie powoli i renifery muszą poruszać się na ogromnych przestrzeniach, żeby dać odpocząć ziemi. Dlatego tak ważne jest, by mogły swobodnie wędrować między lasem na południe od Kiruny latem i wzgórzami na północy zimą. Sámi mają swoje szkoły, instytucje, nawet parlament, ale tracą najważniejszą tradycję.

Szwedzkie Podlasie

Dla Szwedów Norrlandia to miejsce ze względu na kulturę i naturę magiczne, a jednocześnie uważane za nieco „zacofane”. Jest auten-

tycznie szwedzkie w sposób, który my, nowocześni ludzie z Południa, już porzuciliśmy. Norrlandia to takie szwedzkie Podlasie. Tak samo, jak my podziwiamy i kochamy Podlasie, jeździmy tam po doświadczenie autentyczności, ale jednocześnie patrzymy trochę z góry na tych, którzy śledzikują.

Norrlandczycy są dumni ze swego pochodzenia. Nawet chętnie akceptują stereotypy, z którymi się mierzą. I tak – zamiast powiedzieć „tak”, wdychają głośno powietrze. Może i zimno są tutaj ciężkie, ale latem słońce nigdy nie zasypia. Nigdzie krajobraz nie zapiera tchu w piersi tak jak tutaj. Można tu poczuć inną Szwecję – nie tę wiejską, agrarną, chłopsko-taneczną, ale tę skupioną, przemysłową, która musi pracować, żeby południe kraju mogło tańczyć.

W narodowych eliminacjach do konkursu Eurowizji w 2024 roku zespół Engmans Kapell opisywał podróż po świecie w piosence „Norrland”:

*Spakowałem plecak, kiedy byłem młody
Bo gdzieś czekała na mnie przygoda (...)
Głęboko na Saharze, w świecie z piasku
Stałem nad oazą i tęskniłem za domem
Zawiał wiatr pachnący dalekimi krajami
Ale wiatr z Norrlandii – żaden nie może się z nim równać
Kiedy przewodnik zaczął opowiadać o karawanach
Ja myślałem o rzekach, górach i jodłach (...)
Tęsknię z Norrlandią, tęsknię za domem [2]*

[1] Szwedzki sklep w typie Lidla albo Biedronki

[2] Tłumaczenie własne



FOT. JOANNA GOŁEMBIEWSKA

Małgorzata Sidz

• Rocznic 1990 r., Ukończyła japonistykę i studia regionalne o Azji Wschodniej na Uniwersytecie w Turku w Finlandii. Spędziła kilka lat w Szwecji, Finlandii i Danii. Dłużej przebywała także w Japonii i Korei Południowej, a obecnie mieszka w Kanadzie. Mówi w 10 językach. Autorka reportaży „Kocie Chrzczyny. Lato i zima w Finlandii” (2020), „Mądre matki, dobre żony. Kobiety w Korei Południowej” (2023) oraz powieści „Pół roku na Saturnie”. (2021) i „Garbate lato” (2024).

Urok pękniętej wrażliwości

Czy wyda się czytelnikom dziwne, że nie przeszkadza mi np. alkoholizm lub narkomania pisarzy czy artystów, którzy szli przez życie z piętnem nałogu, lecz w chwilach trzeźwości starali się być uprzejmi, współczujący?..



Jarosław Mikołajewski

felieton z cyklu „Za pięć trzynasta”

Polityką interesuję się zdecydowanie mniej, niż modelami kultury, które ze sobą niesie, a te zaskakują i dotykają bardziej niż procentowa przewaga jednej formacji nad drugą.

To wcale nie jest tak, że bolało i bolałoby mnie, gdyby u władzy był PiS. Bolało mnie (i trudno mi znieść wizję powrotu układu

sprzed 2023 roku), że u władzy było pisostwo – ten sposób mówienia, buta, nonszalancja, który temu pisostwu przypisuję. Sylwetka moralna i intelektualna ludzi podobnych Czarnkowi, Kaczyńskiemu, Morawieckiemu, Sasinowi, Wójcikowi, Dudzie, Nawrockiemu. Powierzchnowość mówienia (za którą domyślam się powierzchowności myślenia, błahości odczuwania), obcesowość, cwaniactwo. Priorytet demonstrowania własnych przekonań nad poetyką rozumienia drugiego człowieka.

Śmiesz mnie pogląd, że cokolwiek poza życiem prywatnym (o którym nic nie wiem) ich różni. Czarnka i Morawieckiego. Kaczyńskiego i Nawrockiego. I boli kiedy ugrupowania, na które skłonny jestem głosować całym sercem i umysłem, zbliżają się choć epizodycznie do piśmowskiego czy konfederackiego sposobu istnienia.

Nie mówię tylko o przypadkach tych lekarzy czy senatorów, którzy korzystają z możliwości prawnych, żeby uzyskać dla siebie więcej luksusu – choć każdy jest ponurym rozczarowaniem i zniechęcą (ładne

słowo?) do przejmowania się krajem. Także o odchodzeniu od poetyki bycia na świecie, którą uformowała we mnie rodzina, lektury, rozmowy, krąg przyjaciół towarzyszący mi w drodze życiowej.

Czy zdziwi moich czytelników, że kultywuję w sobie Kafkę i Alberta Camusa? Czy będzie zaskocze-

ści kraju. Na przykład dumą z tego, że uszczelniliśmy granice, którą wołałbym, żeby zastąpiła dumą z troski, jaką na przejściach polskie władze wykazywałyby wobec afrykańskich czy azjatyckich uchodźców oszukanych przez Putina i Łukaszenkę.

Niech mi nie będzie poczytane za zdradę interesów narodo-

Czy naprawdę nie można znaleźć i używać języka, w którym dałoby się informować o zbrojeniowych sukcesach, przekazując jednocześnie kruchy model człowieczeństwa?

niem, że kocham Tuwima i Staffa?. Czy wyda się dziwne, że nie przeszkadza mi na przykład alkoholizm lub narkomania pisarzy czy artystów, którzy szli przez życie z piętnem nałogu, lecz w chwilach trzeźwości starali się być uprzejmi, współczujący?..

Obserwując świat (coraz częściej przez okno telewizora) niepokoję się ostatnio nutą triumfalizmu i entuzjazmu dla spraw obronno-

wych, że odczuwając wewnętrzną ulgę, satysfakcję, uznanie dla rządu, że realizuje ambitny plan zbrojeń obronnych, noszę w sobie niepokój z militaryzującej poetyki informowania.

Tak, rozumiem, że o sukcesach trzeba informować. Tak, widzę jaskrawą różnicę pomiędzy sposobem, w jaki o sile Polski mówią

Nawrocki z Błaszczakiem, a poetyką powiadamiania o tym przez wicepremiera i ministra obrony. Nie dzieje się tutaj jeszcze chyba żadna cywilizacyjna tragedia, ale pomyślmy o młodych.

Czy naprawdę nie można znaleźć i używać języka, w którym dałoby się informować o zbrojeniowych sukcesach, przekazując jednocześnie kruchy model człowieczeństwa? Ten współczujący, solidarny poprzez refleksję nad wspólnotą ludzkiego losu i zmiennością historycznych losów?

Boję się języka i postaw. Mam lęk, że zapomniana zostanie atrakcyjność pękniętej wrażliwości.

Że kiedyś ktoś, kto czyta moje dawne zapiski, zdziwi się, że mógł być aż tak atrakcyjny i fascynujący jeden samobójca czy drugi. Cesare Pavese czy Edward Stachura.

Boję się wyścigu, w którym tylko przez większą liczbę głosów może wygrać pycha, cwaniactwo, obmowa, szpiegowska natura nowych pegazusów.

Dlatego oglądam i polecam jak i kiedy mogę piosenki Magdy Umer, szlachetną cienistość Andrzeja Poniedziałkiego. Dlatego władzom polecam, by doceniali artystów. ●

REKLAMA

Kraj/34440505

Mamy to. 1 AGORA

GRUPA MEDIOWA #1 W POLSCE

Każdego dnia trafiamy do blisko 15 milionów odbiorców, co daje nam 1. miejsce wśród grup mediowych w Polsce. Dziękujemy, że jesteście z nami.

Źródło: Mediapanel/Gemius; maj 2026

GRUPA MEDIOWA

AGORA

GAZETA wyborcza GAZETA.PL ZET radio tokfm ams HELIOS

Marta Górna

Więziń zwisa głową w dół jak nietoperz. – Obudziliśmy się? – pyta grzecznie nowy szeryf. – Nie jesteśmy pewni – odpowiada więzień. – Jesteśmy czarni? Szeryf uśmiecha się lekko: – Owszem, jesteśmy. – Więc się obudziliśmy. Ale jesteśmy wielce zaskoczeni – mówi więzień.

Skonsternowani byli też widzowie i krytycy, kiedy w 1974 roku „Płonące siodła” Mela Brooksa – anarchistyczna, parodiująca tradycyjny western komedia o czarnym szeryfie (Cleavon Little) i jego kumpla dandysie-kryminaliście (Gene Wilder) – miały premierę.

„Płonące siodła”. Czegoś takiego widzowie jeszcze nie widzieli

Ta brawurowa, inteligentna bufonada pewnie dziś by nie powstała. Ba, cudem powstała w latach 70. 46 razy padło w niej słowo „czarnuch”.

„Płonącymi siodłami” Brooks przywiązał klasyczny western do siodła mustanga i klepnął go w zad. Wsunął dynamit pod tyłek gątunku i podpalil lont.

Czegoś takiego widzowie jeszcze nie widzieli – krytycy zresztą też. I od tamtej pory już nie oglądali. Brooks zmienił gatunek radykalnie.

Zrobił szeryfa z czarnego robotnika i napuścił go niby na bandytów terroryzujących prowincjonalne miasteczko.

Rozwalając czwartą ścianę, a więc zwracając się wprost do widowni, Brooks wyśmiał sposób przedstawiania czarnych w westernach. Do 1974 roku czarni byli na hollywoodzkim Dzikim Zachodzie służącymi, robotnikami, uciśnionymi niewolnikami, ewentualnie szlachetnymi postaciami na dalekim drugim planie.

Nawet w „czarnych westernach” z lat 30., celujących w czarną widownię, główną rolę grał Herb Jeffries, którego matka była biała, a ojciec miał korzenie francusko-włosko-mauretańskie. Dopiero filmy blaxploitation, nisza kinowa tworzona przez czarnych dla czarnych, wypełniła w latach 70. lukę w opowieściach o białych kowbojach. Ale one nie przebiły się do głównego nurtu.

Pisząc scenariusz m.in. z czarnym komikiem Richardem Pryorem, Brooks rzucił Hollywood w twarz jego własnym rasizmem.

28 czerwca Brooks kończy 100 lat, a „Płonące siodła” wciąż są aktualne. To najważniejszy z 11 filmów w dorobku reżysera, scenarzysty i aktora. On sam wcielił się tu zidiociałego gubernatora, którego bardziej interesują kobiece biusty niż polityka.

Czy bez Brooksa umielibyśmy śmiać się z tego, co bolesne?

„Producenci”. Wiosna dla Hitlera

Jako reżyser filmowy zadebiutował satyrą na show-biznes, genialnymi „Producentami”: o księgowym i szemranym producencie, którzy chcą zarobić na oszustwie. Pomysł jest prosty: wyprodukują na Broadwayu musical, który okaże się kląpą, a forszę od inwestorów – czyli głównie starszych pań – zgarną do kieszeni.

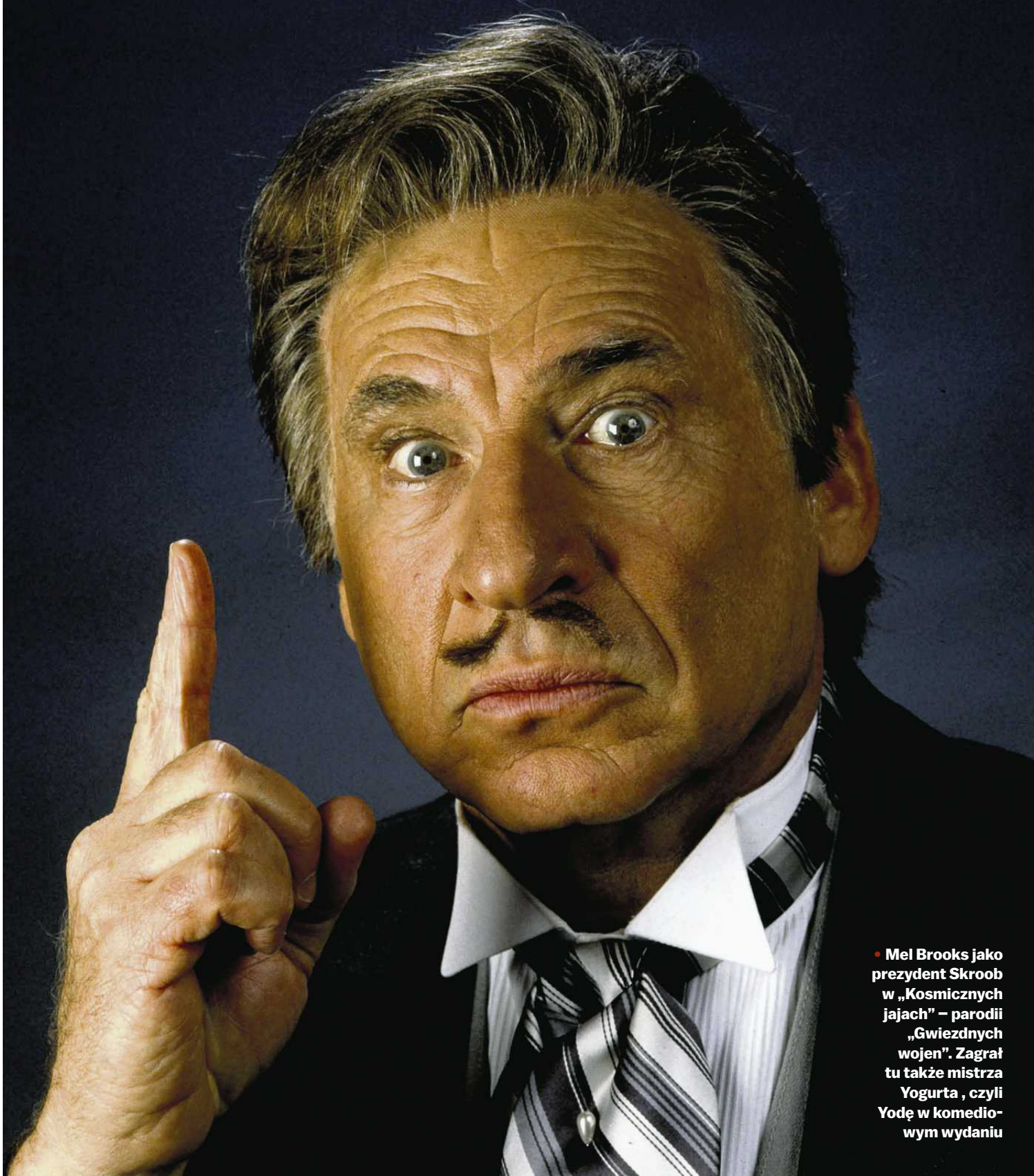
Ale show „Wiosna dla Hitlera” autorstwa niezrównoważonego nazisty wcale kląpą nie jest. To wielki sukces, choć Hitler pląsa na scenie z lekkością hipisa (zagrał go niezapomniany Dick Shawn).

W 1969 roku Brooks dostał za „Producentów” Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny. 23 lata po wojnie otwarcie zrobił z Hitlera i nazistów pośmiewisko.

Brooks, syn Żyda z Gdańska, weteran II wojny światowej, postanowił przywódcę III Rzeszy ośmieszyć. „Czy tańczący Hitlerzy mogą poczekać w kolejce? Na razie przesłuchujemy jedynie śpiewających Hitlerów”.

WSZYSTKIE CHWYTY DOZWOLONE

Ze strachem myślę o planowanej drugiej odsłonie „Kosmicznych jaj”.
Nie tylko dlatego, że powstaje bez 100-letniego Mela Brooksa.
Dziś Hollywood śmieje się tylko z tego, co bezpieczne i poprawne.



• Mel Brooks jako prezydent Skroob w „Kosmicznych jajach” – parodii „Gwiezdných wojen”. Zagrał tu także mistrza Yogurta, czyli Yodę w komediowym wydaniu

FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

1 RP

Wielkie wytwórnie wystraszyły się filmu, żadna nie chciała go dystrybuować. Uznały też, że jest w złym guście. Dziś z perspektywy widzów powiedzmy: to jedna z jego największych zalet. Trzeba mieć znakomity gust, by docenić kiepski. Brooks rozumiał to od początku kariery.

„Producenci” spodobali się Peterowi Sellersowi, który widział ich na prywatnym pokazie i za własne pieniądze publikował w magazynie „Variety” apele o szeroką dystrybucję. W końcu w marcu 1968 roku odbyła się premiera.

„Producenci” to manifest stylu Brooksa, było w nim to, co znalazło się w jego późniejszych dziełach: humor intelektualny i fekalny, wyśmiewanie autorytetów, żonglerkę tematami tabu, absurd, przesadę. W usta bohaterów Brooks wkładał proste dowcipy: „Hitler był wspaniałym malarzem! Mógł pomalować całe mieszkanie w jedno popołudnie!”.

No i najważniejsze – parodia. Bezlitosna, czasami przeszarżowana parodia rzeczywistości, sposobów myślenia i kultury. „Jak to się mogło stać? Byłem taki ostrożny. Wybrałem okropną sztukę, okropnego reżysera, okropną obsadę. Co zrobiłem dobrze?”.

„Producenci” zrewolucjonizowali to, z czego wolno się śmiać. „Płonące siodła” zrewolucjonizowały sposób, jak można to robić.

Czy tylko się brandzlujemy?

Jakaż to wspaniała scena: Madeline Kahn (nominacja do Oscara dla najlepszej aktorki drugoplanowej) siedzi okragiem na krześle i parodiuje Marlene Dietrich jako znużoną życiem śpiewaczkę obdarzoną tembrem lokalnego pijaka.

Albo taki finał: tuż po tym, jak pastor krzyczy w niebo: „O panie, czy mamy siłę udźwignąć ogrom tego zadania, czy tylko się brandzlujemy!”, bandyci, wśród których są też naziści i zbrojnicy na wielbłądach, atakują miasteczko czarnego szeryfa. W strzelaniu cierpią filmowe dekoracje, a bijatyka przenosi się do sąsiednich hal filmowych, na plany innych produkcji: musicalu w stylu Gene’a Kelly’ego, dramatu obyczajowego. Jest nawet bitwa na torty.

Ostatecznie bohaterowie oglądają swój własny film w kinie. Przed wejściem do niego czarny szeryf i czarny charakter ścierają się w klasycznym pojedynku rewolwerowców. W 1974 roku to było coś niespotykanego.

Brooks stworzył metakomedię, która nabija się z konwencji opowieści, ram gatunku. Dziś filmowcy robią to często: w „Deadpoolach” czy ostatnio „Barbie”. Wcześniej lekcje z Brooksa odrabiał np. Wes Craven w swojej serii „Krzyk”.

Widzowie przez lata nauczyli się bawić tym, że oglądają film świadomy bycia filmem. Najwierniej w ostatnich 20 latach śladami Mela Brooksa podążał Ben Stiller swoimi „Jajami w tropikach” – satyrą o aktorach z filmu o wojnie w Wietnamie, którzy w czasie realizacji wpadają w dżungli na prawdziwych handlarzy narkotyków.

O jego filmie też się mówi, że dziś nie mógłby już powstać, choć premierę miał w 2008 roku, a więc całkiem niedawno. Stiller skromnie przyznaje, że „Jaja w tropikach” błędna w porównaniu z wiadomym arcydziełem i jego beczelnością. Mówi: – Co się za tym kryje? Jasne, satyra, ale Brooks tak naprawdę obnaża hipokryzję świata i tego, jak ludzie traktują innych ludzi.

Brooks na przestrzeni lat wielokrotnie pytany był o słowo „czarnuch”, którym w „Płonących siodłach” czarne charaktery strzykają przez zęby jak tytoniem. W dokumencie zrealizowanym z okazji swoich 99. urodzin mówi, że uległ namowom Pryora. „Chciał, byśmy pokazali prawdę. Richard powiedział do mnie: »Czasami używamy go słodko między sobą, czasami to słowo brzmi jak paskudna klątwa, która łamie ci serce«”.

Jakim garbem?

W czarno-białym „Młodym Frankensteinie” Brooks zaszerwował tradycyjnej komedii kolej-



• Dave Chapelle jako Apsik i Cary Elwes – Robin Hood w „Robin Hood: Faceci w rajtuzach” (1993 r.). Ten pierwszy został później szeryfem – w ten sposób Brooks (tu zagrał Rabina Tuckmana) puścił oko do fabuły „Płonących siodła”



• Gubernator William J. Le Petomane (Brooks) przystaje na niecny plan prokuratora Hedleya Lamarra (Harvey Korman, z prawej), w którym kluczową rolę odegra Bart (Cleavon Little – na biurku). „Płonące siodła” (1974 r.) – opus magnum Mela Brooksa



• „Producenci” (1969 r.), za których Brooks dostał Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny, pokazały, że dla filmowca nie ma i nie będzie żadnych świętości. Na zdjęciu: Gene Wilder, Zero Mostel i Lee Meredith

ny cios. Tym razem pokazał, że można śmiać się z tego, co się kocha, a jednocześnie oddać temu hold.

Brooks nakręcił film w stylu ekspresjonistycznym, chwilami całkiem na serio. Ta parodia klasycznego kina grozy to do dziś jedna z najlepszych komedii, jakie powstały. Zakochałam się w niej, kiedy wyraźnie garbaty Marty Feldman w roli pomagiera genialnego naukowca Frankensteina („Fronkensteena!”) na propozycję, że „mogą coś zrobić z tym garbem”, z kamienną twarzą odpowiada: „Jakim garbem?”.

Feldman, podobnie jak Gene Wilder czy Madeline Kahn (oboje grają też i tutaj), często wsiadał do prowadzonej przez Mela Brooksa filmowej, podpalanej dynamitem rakiety. Tutaj lśni jeszcze Cloris Leachman jako pani Blücher, ponura zarządczyni zamczyska.

Brooks pokazał, że parodia nie musi zginać oryginału, niszczyć go i szargać. Może za to nadać mu nowe znaczenia, a nawet zrozumieć go lepiej niż zapatrzeni w oryginał imitatorzy. Bez „Młodego Frankensteina” nie byłoby parodiujących kino grozy i sensacyjne „Strasznych filmów”, „Wysypu żywych tru-

pów” czy „Hot Fuzz – ostrych psów”. Bez filmów Brooksa z lat 70. nie powstałyby komedie braci Zucker.

W kolejnych latach Brooks zajął się początkami Hollywood w „Niemym kinie”, dziejami ludzkości w „Historii świata. Części I.” oraz dorobkiem Alfreda Hitchcocka w świetnym „Lęku wysokości”.

W latach 80. zrealizował kolejną parodię. Dla mojego pokolenia „Kosmiczne jaja”, komedia wyśmiewająca z czułością „Gwiezdne wojny” i inne hity science fiction, to Brooks kluczowy w rozwoju poczucia humoru.

Szturmowcy Czarnego Helmu (Rick Moranis) przeczesujący pustynię gigantycznymi grzebieniami? Trafiona!

Miniaturowy Obcy stepujący na barowej ladzie? Jestem!

Księżniczka Vespa śpiewająca basem o swojej samotności? Proszę o więcej.

Z przestachem myślę o planowanej w Hollywood drugiej odsłonie „Kosmicznych jaj”. Nie tylko dlatego że powstaje bez 100-letniego Mela Brooksa na stołku reżyserskim.

W ostatnich latach Hollywood śmieje się tylko z tego, co bezpieczne i poprawne. Nie ma tam twórcy, który mógłby przejąć po Brooksie celne wytykanie błędów naszego myślenia. Ci, którzy robili to świetnie, jak Ben Stiller czy Will Ferrell, muszą się tłumaczyć z własnych żartów.

Na humor taki jak w „Płonących siodłach” nie ma w kinie miejsca. Sam Brooks uległ nieco presji bezpiecznego śmiechu. Jego dwa ostatnie filmy – „Robin Hood: Faceci w rajtuzach” i „Dracula – wampiry bez zębów” – były mniej niepokorne, bardziej skupione na szydzeniu z fabuł niż z paradoksów rzeczywistości.

Wszystkie chwyt dozwolone

Do dziś toczy się dyskusja, czy Brooks w ogóle powinien „Płonące siodła” robić.

W ubiegłym roku na łamach „Guardiana” filmu przed oskarżeniami o rasizm bronił brytyjski czarny komik Stephen K. Amos. W swoim esej z zaznacza, że film Brooksa zredefiniował dla niego pojęcie satyry. „Powstała, gdy Ameryka była w kryzysie. Przeszła właśnie wojnę w Wietnamie, a przez nią przeszedł ruch obrony praw obywatelskich. Stany Zjednoczone były głęboko podzielone i w kryzysie tożsamościowym. Tak jak są teraz. W ramach sprzeciwu przeciwko podziałom i dla beczki śmiechu Brooks postanowił zrealizować komediowy western, połączyć dwa gatunki, które aż do tamtej chwili nigdy nie szły w parze”.

Amos przypomina również, że western był gatunkiem białych. Wczesne filmy o Dzikim Zachodzie miały też wydźwięk propagandowy. „Płonące siodła” wyrwały dywan spod stóp kowbojów. Brooks skierował kamerę na rasistów, bigotów, seksistów. Rasizm w jego filmie jest obecny jako przeciwnik, a rasistowskie kwestie są wypowiedane, by pokazać ich śmieszność.

Ale HBO Max przstraszyło się tego w 2020 roku. „Płonące siodła” serwis opatrzył komentarzem kontekstualnym, jakby film Brooksa był „Przeminęło z wiatrem”, a nie szarżą na wszystkie grzechy współczesnego świata.

Brooks w swoich filmach śmiał się ze wszystkich. Kiedy pisał scenariusz, żadna grupa etniczna nie była bezpieczna, Żydzi też. Żadna mniejszość nie była zbyt święta.

Sam twierdzi, że pisanie komedii stało się w ostatnich latach trudniejsze. – Bo staliśmy się głupio poprawni politycznie – powiedział BBC. – To śmierć dla komedii. Dobrze jest nie ranić uczuć różnych grup, ale komedia na tym cierpi. Powinna balansować na cienkiej linii, ryzykować. Komedia jest lubieżnym elfem szepczącym do ucha króla, zawsze mówi prawdę o ludzkiej kondycji. Nigdy nie tknąłbym komór gazowych, śmierci żydowskich dzieci z rąk nazistów. Ale wszystkie inne chwyt są dozwolone. Nadzy ludzie? Bardzo proszę. Lubię nagich ludzi. Zwykle są najbardziej uprzejmi. ●

• **Procesja Rycerstwa Chrystusa Króla (zwolenników objętego suspensą ks. Piotra Natanka) na Krakowskim Przedmieściu w W-wie (26.06.2025)**

NASZA NOWA *apokalipsa*



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Do czego prowadzi chciwość, pycha i infantylizm? Do moralnej degeneracji, do kultu sprytu, siły i narodowej krzepy. Do faszystacji życia publicznego

Jacek Dobrowolski*

„Powieść to zwierciadło przechadzające się po gościńcu”
Stendhal, „Czerwone i czarne”

Groteska jako gatunek zderza ze sobą wszelkie sprzeczności i nie cofa się przed naczynym. Tu śmieszność spotyka się z grozą, patos z banałem, piękno z brzydotą, to co ludzkie z tym co zwierzęce, demoniczne lub anielskie. Karykatura i absurd sytuacyjny są jej podstawowymi chwytami. Literaturoznawca Jurij Mann w swojej książce „O grotieskie w literaturze” pisze, że groteska „wyraża świat, który »wyszedł z zawiasów«, który się wykołoił”.

Pierwsza całkowicie groteskowa powieść w historii to „Gargantua i Pantagruel” Rabelais’a. Od czasu oświecenia powstało wiele literackich arcydzieł groteski w prozie i dramacie: „Podróż Guliwera” Swifta, „Kandyd” Woltera, „Tristram Shandy” Laurence’a Sterne’a, utwory E.T.A. Hoffmanna, „Doktor Jekyll i Mr Hyde” Stevenson’a, „Mistrz i Małgorzata” Bułhakowa, „Proces”, „Kolonja karna” i „Przemiana” Kafki, utwory Witkacego, „Ferdynand” Gombrowicza, „Sklepy cynamonowe” Schulza, „Folwark zwierzęcy” Orwella i „Rzeźnia numer pięć” Vonneguta.

„Józef, czyli...”, ostatnia powieść Michała Komara, jest znakomitym i wybitnym przykładem specjalnego gatunku groteski – realistycznej groteski apokaliptycznej, ukazującej świat dystopijny, całkowicie wykołojony, dekadentcki i samounicestwiający się. Jest ona również ostrzegającym thrillerem politycznym, cierpką powiastką filozoficzną i powieścią psychologiczną z kłuczem, ukazującą opłakany stan umysłów naszego społeczeństwa, przede wszystkim elit. Michał Komar jako wizjoner jest współczesnym Swiftem (por. wspaniały „Bestiariusz codzienny”) i Orwellem w jednym.

Swift naszych czasów

Książka pisana jest przez wirtuozę kpiarskiego, prześmiewczego stylu i skrzy się od sardonicznych uwag i dowcipów. Tylko od czasu do czasu zabrzmi nuta empatii, co czyni narrację odrobinę mniej pesymistyczną, autor bowiem raczej nie ma złudzeń co do natury ludzkiej.

Książka pisana jest przez wirtuozę kpiarskiego, prześmiewczego stylu i skrzy się od sardonicznych uwag i dowcipów. Tylko od czasu do czasu zabrzmi nuta empatii, co czyni narrację odrobinę mniej pesymistyczną, autor bowiem raczej nie ma złudzeń co do natury ludzkiej.

Blisko Konwickiego

Groteska apokaliptyczna w literaturze polskiej przejawiała się najmocniej w twórczości Tadeusza Micińskiego, Witkacego, Brunona Schulza, Witolda Gombrowicza, Sławomira Mrożka, Tadeusza Konwickiego i Jerzego Pilcha. Ostatniej powieści Komara najbliższe do utworów Konwickiego „Kompleks polski” i „Mała apokalipsa”, jak i do dwóch wybitnych dzieł opisujących postępującą faszystację w Europie – genialnego „Bankietu w Blitwie” Mirosława Krleży (niewznawianego przez Czytelnika od 1987 r., co jest absolutnym skandalem) i znakomitego, prorocznego „Blasku” Eustachego Ryłskiego, o faszystach demagogach manipulujących „mo-

tłochem” we współczesnej Polsce, niestety, niezauważonego przez krytykę.

Podobieństwa „Józefa” z obiema powieściami Konwickiego są liczne.

Po pierwsze, narratorem w nich jest podobny alter ego pisarza – tu i tam antybohater ironista, koneser polskiej samsary, wyczulony na wszelkie absurdy, raz PRL-u, raz III Rzeczypospolitej.

Po drugie, drażniony jest ten sam temat – nasze społeczeństwo obfitujące w ludzi zakompleksionych, chorych na chciwość i zawiść, spragnionych awansu i sławy, poczynawszy od przedstawicieli elit władzy, przez elity artystyczne, po biznesmenów hochsztaplerów.

Po trzecie, mamy ten sam kontekst, czyli wędrówkę przez labirynty ulic Warszawy przepełnione jej historycznym genium loci.

Po czwarte, akcje tych trzech powieści apokaliptycznych toczą się w oparach popularnego znieczulacza rzeczywistości, czyli wódki, której intensywne zażywanie sprzyja autodestrukcji. Jak wiadomo, Polski, Rosji, Finlandii i Szwecji bez wódki się nie zrozumie, choć Komar wprowadza en passant współczesne, jak je nazywam, euforyzanty: marihuanę, haszysz i grzybki psilocyby.

Ta książka pokazuje licznych u nas ludzi chorych na zawiść, spragnionych awansu i sławy. Poczynawszy od elit władzy, przez elity artystyczne, po biznesmenów hochsztaplerów

Lubimy grozę

Atmosferę czarnej groteski autor narzuca od pierwszej strony, opisując słowami narratora, tytułowego Józefa, samobójstwo jego przyjaciela, artysty i poety, który (co znamienne dla czasów degrengolady rodzimego katolicyzmu) w samą wielkanocną niedzielę polyka tabletki nasenne, popija denaturatem, podcina żyły i skacze z dziesiątego piętra wprost na dach swego Bugatti Divo, przestraszając tym sąsiadów z niższych pięter i opryskując przechodniów drobinami mózgu.

Kiedy autor czytał ten fragment podczas wieczoru autorskiego w Muzeum Polin, widownia kwitowała momenty grozy salwami śmiechu.

To, że śmiech rozładowuje lęk, jest prawdą psychologiczną i dlatego czarny humor jest tak popularny w naszej pełnej przemocy epoce. Lubimy bać się bezpieczeństwa, by rozproszyć lęk przed agresją w realu. Czyż malowane danse macabre nie pełniły takiej funkcji w średnio-wieczu?

Stąd też powodzenie literatury kryminalnej i grozy, od angielskiej powieści gotyckiej i opowiadań E.A. Poe przez dystopijne groteski jak wspomniani „Mistrz i Małgorzata” Bulhakowa czy „Folwark zwierzęcy” i „1984” Orwella po twórców horrorów jak Stephen King.

Wszystkim rządzi Patron Państwa

Fabula toczy się wartko, Józef, reżyser, odnoszący sukcesy w warszawskim teatrze lalkowym Pinocchio, zaczyna krążyć po Warszawie, by dowiedzieć się, jaka była przyczyna samobójstwa przyjaciela i jak pomóc wdowie. Odwiedza Bogumiła – właściciela restauracji U Szczęśliwego Sylena, by omówić z nim menu konsolacji dla żałobników i oszacować spadek.

Dowiadujemy się o jego sukcesach i porażkach reżyserskich – debiut „Porwanie kaczątek” zachwycił nie tylko dzieci i grany był 2500 razy, nie udało się „Przemiana” według Kafki, „Księga Hioba” wywołała oburzenie biskupów, sukces odniósł „Kot w butach”, natomiast „Apokalipsa według św. Jana” przeszła bez echa, choć pomysł przechwyciła władza, o czym za chwilę.

Na zwieńczenie niemal 50-letniej kariery Józef chciałby wystawić swoją adaptację „Burzy” Szekspira, fascynuje go postać maga Prospera, obawia się jednak, że nie dostanie pieniędzy, bo tytuł może się nie spodobać władzy rządzącej kulturą poprzez Narodowe Centrum Kultury, jako że burze są nieprzewidywalne i nieobliczalne, i przeciwko komu ta „Burza”?

Centrum planuje Międzynarodowy Kongres Cywilizacji Życia i Prawdy i aby przygotować społeczeństwo na to epokowe wydarzenie, proponuje Narodowe Czytanie „Apokalipsy według św. Jana”. Tak się składa, że żyjemy w czasach, gdy tak naprawdę rządzi Patron Państwa manipulujący swymi marionetkami: prezydentem, rządem i Sejmem. Ten obłudny arcykatolik mało chrześcijański, by legitymizować swą władzę, lansuje Polskę jako awangardę duchową Europy. Kongres ma być ideologiczną podkładką pod przygotowywany nowy aparat władzy – Centralny Zarząd Wszystkiego. Mamy więc pojedynek dwóch magów, białego i czarnego.

Kiedy władza łaskawa

Józef chciałby wystawić „Burzę”, by białą magią zrównoważyć czarną magię władzy w realu i w TV, ale cwa-na władza szczuje na niego w sieci sforę trolli oskarżających reżysera o zniszczenie dekoracji teatralnych sztuki. W wyniku tej nagonki pół Polski żąda linczu na zdrajcy i bandycie, a drugie pół wynosi go pod niebiosa jako bohatera narodu.

Na szczęście wspiera go duchem i ciałem niejaka Pani Flora, córka Koryntu z dolów społecznych, kurwa o złotym sercu, która dzięki odziedziczeniu spadku po mężu Amerykaninie i swej przebiegłości znakomicie funkcjonuje jako businesswoman w nowej, płynnej rzeczywistości. Ma firmę Love Me Tender sprzedającą gadzety erotyczne i agencję Instruktorem Czułości. Pani Flora wyjaśnia Józefowi, że miliony kliknąć bez względu na to, czy to hejt, czy lajk, tylko uczynią go sławnym i powinien się cieszyć.

Po kulminacji emocji narodowych okazuje się, że scenografia nie uległa zniszczeniu, bo przewidujący Józef, stary lis od lat grający z władzą w bambuko, ukrył ją w magazynie i co najważniejsze, sam z własnej kieszeni sfinansował jej zbudowanie. Skandal robi się za duży dla pozytywnego wizerunku władzy.

W rezultacie Patron Państwa zaprasza Józefa na rozmowę, w której wykazuje się znawstwem sztuki Szekspira, ale zdecydowanie potępia Prospera za to, że ów

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Osip Mandelsztam*

Do nagiej ziemi...

*Do nagiej ziemi przypada bezwiednie,
Nierównym krokiem tkliwie się przybliża,
Tuż przed młodzieńcem-rówieśnikiem biegnie
I nieodstępną przyjaciółką chyżą.
Wlecze ją z sobą wolność skrupowana
Biedy, co duszną żywi się nadzieją,
I jakby nagle przeczucie pragnęło
Krok jej powstrzymać: jakby odgadnięcie,
Że ta promienna pogoda wiośniana
Jest pramacierzą naszego konania,
I że to wieczne będzie rozpoczęcie.
Bo są kobiety, krewne ziemskiej gliny,
I krok ich każdy to przeciągłe łkanie,
Iść za zmarłymi i szybciej od innych
Wskrzyszonych witać – to ich powołanie.
I pożądanie ich łask jest występne,
I pożegnanie z nimi ponad siły.
Dziś – anioł w blasku, jutro – czerw z mogiły,
Pojutrze – rysy pozapominane.
Przeszłe – stąpnięcie – będzie niedostępne:
Suchokwiat wieczny. Niebo nieuszcżknięte.
A to, co przyjsz ma – tylko obiecane.*

WORONEŻ, 4 MAJA 1937



***Osip Mandelsztam** - wybitny rosyjski poeta, prozaik i eseista, urodzony w 1891 r. w Warszawie, zmarł w 1938 r. w obozie przejściowym Wtoraja Rieczka koło Władywostoku. Aresztowany w maju 1934 r. – czego powodem był wiersz o Stalinie – został zesłany na trzy lata. Towarzyszyła mu żona Nadieżda, która ocalała jego powstałe w tym czasie wiersze – zapis przeczucia śmierci i zachwytu nad fenomenem istnienia, przypływów nadziei i rozpacz. Aresztowany ponownie w maju 1938 r. i skierowany do obozu, już z niego nie wrócił.

Wiersz za: Artur Międzyrzecki, **„Rimbaud, Apollinaire i inni (Wybór przekładów)”**, Czytelnik, Warszawa 1988.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

wybacza swym wrogom, wyrzuca księgę zaklęć i łamie magiczną różdżkę, co nie przystoi władcy w naszych czasach.

Tym niemniej Patron zezwala na wystawienie „Burzy”, by pokazać, że władza łaskawa, ale z pewnym zastrzeżeniem, i poucza Józefa, gdzie jego miejsce w wielkim planie politycznym od „Burzy” poprzez Narodowe Czytanie Apokalipsy św. Jana po wielki Międzynarodowy Kongres Prawdy i Życia. Czyli nie będzie lansowania nowego sprawiedliwego ani żadnych drugih „Dziadów” marcowych. Ojciec Chrzestny narodu zręcznie wyważył akcenty swej pedagogiki historycznej.

Maski, wykręty i udawana cnota

Komar, tak jak Konwicki w „Małej apokalipsie”, szedł zarówno z władzy, jak z opozycji. Z wielką psychologiczną przenikliwością, wirtuozerią stylistyczną i fenomenalnym poczuciem humoru prezentuje i rozkminia typy charakterystyczne dla Warszawki i Warszawy. Jego zjadliwy sarkazm nikogo nie oszczędza, tnie równo po rozzuchwalonych naturach pospolitych, którym pachną konfitury władzy i biznesu, ukazując ich szpetne oblicza w krzywym zwierciadle.

Stary wyga Józef wie, co jest grane, i nie przybiera póź sumienia narodu, w końcu i tak osiąga swoje, zyskując rozgłos i poklask plebejską „Burzą”, w której Ariel i Kaliban kopią się po jajach ku uciesze gawiedzi.

Dawno żadna powieść mnie tak nie ubawiła, czytając, co chwila śmiałem się do rozpuku. Komarowi jako badaczowi obludy i głupoty nic co polskie nie jest obce, nie zwiedzie go żadna maska, żaden wykręt, żadne kłamstwo, żadna prowokacja, żadna fałszywa obietnica, żaden komplement, żadna udawana cnota. Punktu-



Michał Komar, **„Józef, czyli...”**, Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2025

je je pólslówkiem, aluzją, dowcipem. Obnaża i wyśmiewa, a przy tym przytacza przypadki z mitologii greckiej, ilustrujące daną namiętność czy podłość, wyciągając z nich moral dla rówieśnych i potomnych.

Bigos w kotle polskiego piekła

O ile „Mała apokalipsa” była monochromatyczna, bo PRL był szary, o tyle książka Komara gra wieloma barwami jak ogon pawia w dobie konsumpcjonizmu multi-kulti. Jest to dzieło wielowątkowe, wielowymiarowe, dygresyjne i bogate w odniesienia historyczno-filozoficzne. Oby zmusiło do refleksji umysł zaczadzone pędzącymi obrazkami telewizyjnej bieżączki i action movies.

Będąc wielbicielem Mrożka, tropiciela absurdów władzy ludowej, który jak nikt przebił balony triumfalnej narracji socjalistycznej, czekałem od lat na pisarza, który wykpiłby nasz z zewnątrz triumfalny kapitalizm korporacyjny kopipejstowany z Ameryki, a wewnątrz przasny, chamski i zakompleksiony. I doczekałem się.

Komar demaskuje bohaterów naszych czasów, kpi na całego z żadnej poklasku próżności prowincjonalnych miernot wchodzących na koturny wielkich ról koryfeuszy rodzimej wersji naskórkowej cywilizacji globalnej. Sztydzi z tej sfory narcystycznych celebrytów-celebran-sów, pupilków mediów paradykujących w kostiumach władzy i sukcesu, paplających amerykańską arogancją nowomową, którym słoma z butów wychodzi, oraz z przekrzykujących się gładszy i błaznów życia publicznego, gadających do kamer i mikrofonów na wyprzódki.

Szczególnie pastwi się nad przedstawicielami władzy państwowej i kościelnej i ich kibolskich bojówek – biczącymi się publicznie Komandosami Legionu Zbawiciela we włosienicach oraz rywalizującą z nimi Chorągwią Husarzy Maryi. Ośmiesza infantylizm kiczowatych ceremoniałów samodurnych oficjeli, pokazywanych w Telewizji Narodu. Z lubością odsłania intrzygi finansowe, teorie spiskowe, akcje tropienia wrogów ludu, donosy, zastraszanie, obsrywanie, wszystkie gry i zabawy ochlokracji w internecie i realu, sterowane przez polityków.

Serwuje nam porcje bigosu gotowanego w kotle polskiego piekła, którego ingrediecje nie zmieniły się od wieków, bo są to nasze odwieczne destrukcyjne emocje: kogucie zacietrzewienie, pazerność, zawiść, nieufność, podejrzliwość i pycha. Może Sarmaci nie są już w kontuszach, ale namiętności, które doprowadziły do upadku Rzeczypospolitej, dalej te same.

Prałat z kałasznikowem

A do czego prowadzi ta rozpasana chciwość, pycha i infantylizm? Do moralnej degeneracji, odrzucenia wszelkich norm i wartości na rzecz kultu sprytu, siły i narodowej krzepy, czyli faszystacji życia publicznego. Książka kończy się transmisją w Telewizji Narodu z Międzynarodowego Kongresu Cywilizacji Życia i Prawdy w Teatrze Wielkim Opery i Baletu, podczas której 12-letnia Miss Duchowości wręcza złoty medal Banku Narodowego panu prezydentowi. Wzruszony, w podzięcie intonuje pioseczkę zasłyszaną w dzieciństwie:

„Każdy człowiek, duży, mały, dzieckiem Bożym jest./ Pan Bóg kocha wszystkie dzieci i mnie kocha też”.

Cała sala śpiewa z nami! Po czym następuje kontrpunkt, gdy realizator raptem pokazuje za kulisami rodzajową sex scenkę – trzech facetów z jedną kobietą. Szok na widowni, ale oni nie pękają.

Główna rozpustnica podchodzi do pana prezydenta i gestem hetery Fryne przed sądem w starożytnych Atenach odsłania biust, co obecny na sali prałat kwituje serią z kałacha wymierzoną w sufit, aż tynek się sypie.

Przypomina się finał „Czwartej siostry” Janusza Głowackiego: jak to w Moskwie rodzi się noworodek z kałasznikowem i wali do wszystkich na oślep.

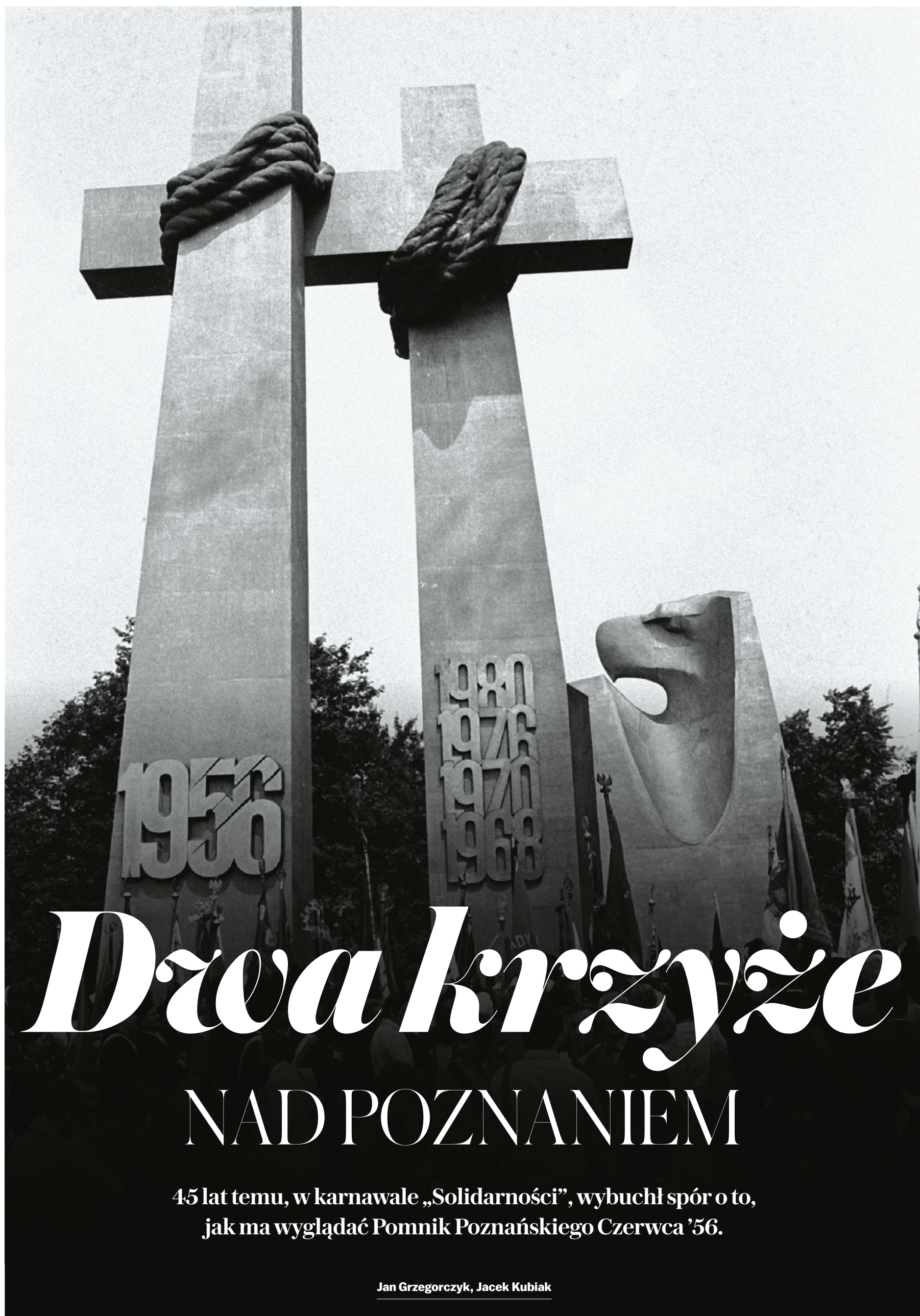
Zastanawiające, że obaj, Głowacki i Komar, przewidzieli apokalipsę z kałachem à la russe. Pasmotrim, uwidim. Jednak ostatnie zdania powieści anonują happy end z przymrużeniem oka, bo to, proszę Państwa, przecież tylko groteska, zwykłe jaja, skoro przedsiębiorca Pani Flora planuje kupno samolotu, kursy pilotażu i odlot z Józefem „dokąd nam się zachce” ku zadowoleniu zmęczonego Polską bohatera naszych czasów.

Jak u T.S. Eliota w „Wydrążonych ludziach”:
„Tak właśnie kończy się świat;
nie hukiem, lecz skomleniem”.

Tytuł i śródtytuły tekstu – „Wyborcza”

*Jacek Dobrowolski

• Rocznik 1948. Poeta, tłumacz anglista, eseista, krytyk teatralny.



Dwa krzyże NAD POZNANIEM

45 lat temu, w karnawale „Solidarności”, wybuchł spór o to,
jak ma wyglądać Pomnik Poznańskiego Czerwca '56.

Jan Grzegorzcyk, Jacek Kubiak

28 czerwca 1981 roku, Plac Mickiewicza w centrum Poznania. Sam plac i wszystkie dochodzące doń ulice pełne ludzi. Prawie dwieście tysięcy widzów. Poznaniacy i delegacje zakładów pracy z całej Polski. Święto! Leonard Szymański, lider „Solidarności” z Wiepofamy, fabryki obrabiarek, jest szefem służb porządkowych, prosi zgromadzonych, by pochowali transparenty. Te o Katyniu i o mordercach z UB. Nie chce, żeby powstał jakikolwiek pretekst do ingerencji władz w przebieg zgromadzenia. Transparenty znikają. Nieprzeliczony, ale zdyscyplinowany tłum.

Najpierw długa, solenna msza. Potem przemówienia: Lech Wałęsa, Anna Strzałkowska, matka trzynastoletniego Romka, najmłodszej ofiary, i Stanisław Matyja, przywódca cegielszczaków w 1956 roku. Pomnik, ogromny na ponad 20 metrów, dwa krzyże zasłonięte olbrzymią białą-czerwoną flagą. W momencie jego odsłonięcia ona nie opada, tylko się rozdziela na część białą i czerwoną, i powoli unosi. Ogromne krzyże zostają jakby „uskrzydłone” albo jakby wprawione w ruch żaglem. Frenetyczne oklaski. „Czułam dreszcze”, „Miałem łzy w oczach” – tak jeszcze dzisiaj wspominają ten moment świadkowie wydarzenia. Ta plastyczna aranżacja była pomysłem Wojciecha Müllera z poznańskiej Szkoły Sztuk Pięknych, muzykę skomponowała Lidia Zielińska, a całość reżyserował Lech Raczak, lider Teatru Ósmego Dnia, sceny alternatywnej, jednoznacznie opozycyjnej, zarówno w artystycznym wyrazie spektakli, jak i w postawie życiowej aktorów, współpracujących przed Sierpniem z Komitetem Obrony Robotników.

Sojusz tego teatru z „Solidarnością” był czymś oczywistym. Gdy władze na wiosnę 1981 nie chciały dać artystom paszportów, by mogli pojechać na zagraniczny festiwal, wystarczył telefon z Zarządu Regionu Solidarności. „Jak nie dostaną paszportów, stawiamy w Cegielskim strajk ostrzegawczy”.

Absolutnym hitem teatru był – mimo i wbrew cenzuralnym ograniczeniom – spektakl „Przecena dla wszystkich” grany ponad sto razy, a w nim skandowana scena, swego rodzaju synteza PRL-u:

*Margaryna jest lepsza niż masło
Sztuczne kwiaty nie wędną
Tombak błyszczący bardziej niż złoto.*

Aktorzy, wśród nich Tadeusz Janiszewski, Marcin Kęszycki, Ewa Wójciak, podawali pod odsłoniętym właśnie pomnikiem teksty poetyckie.

*Idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach,
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch
– z „Przesłania pana Cogito” Zbigniewa Herberta.
paliliśmy papierosy i kłamliwe gazety,
papierosy, choć zatruwały nasze ciała,
gazety, bo zatruwały nasze umysły
– fragment „I naprawdę nie wiedzieliśmy” Ryszarda Krynickiego.*

Uroczystość była transmitowana przez lokalne radio i telewizję. W Warszawie publikowano tylko krótkie relacje.

A postawienie i odsłonięcie pomnika było wynikiem kilkumiesięcznego wysiłku wieluset osób wspieranych przez tysiące. Już pierwsze zgromadzenie wielkopolskiej „Solidarności”, w październiku 1980, w którym wzięli udział przedstawiciele 270 zakładów pracy, wysunęło stanowcze żądanie: musi stanąć pomnik ku czci Czerwca 1956 roku. Po 25 latach milczenia o krwa-wo stłumionym buncie robotniczym ludzie chcą o tym głośno wreszcie mówić.

CZERWIEC '56. KONIEC TABU

Protest poznańskich robotników był punktem zwrotnym powojennych dziejów Polski. Był szokiem. Otworzył drogę do październikowej odwilży. Dzięki „Solidarności” Czerwiec 1956 przestał być tematem tabu.

Zofia Trojanowiczowa i Jarosław Maciejewski, uniwersyteccy historycy literatury, piszą i wydają w kilka miesięcy książkę o Czerwcu. „Prawdziwi” historycy nie podjęli tego wyzwania, uważali to za niemożliwe w tak krótkim terminie. W poznańskim ośrodku RTV powstaje film dokumentalny Tadeusza Litowczenki i Mirosława Kwiecińskiego „Poznań 1956”, pierwszy zapis relacji świadków i uczestników. Mówi między innymi przywódca strajku w Zakładach Cegielskiego (wówczas Zakłady im. Józefa Stalina) Stanisław Matyja, torturowany w areszcie. Pisarz Egon Naganowski opowiada o tym, jak został postrzelony ubecką kulą. Aleksandra Banasiak, pielęgniarka, opowiada o pomocy, jaką niosła rannym.

Piotr Frydryszek, wówczas zastępca redaktora naczelnego rozgłośni, relacjonuje, że w archiwum Polskiego Radia w Poznaniu zachowane zostały taśmy magnetofonowe, opisane jako „muzyka ludowa”. Były to kopie nagrań z września i października 1956, zapis przebiegu procesów sądowych wytoczonych uczestnikom protestów z Czerwca '56. Te kopie zrobił wówczas cichcem i opatrzył myłącym tytułem pracownik radia, by uchronić taśmy przed ewentualną konfiskatą i zniszczeniem. Izabela Cywińska w Teatrze Nowym wykorzystuje ten materiał, by zbudować spektakl „Oskarżony: Czerwiec pięćdziesiąt sześć”, rodzaj teatru faktu. Premiera odbyła się w czerwcu 1981 roku.

Budzi się zbiorowa pamięć. Ludzie zaczynają opowiadać. Biuletyny komisji zakładowych „Solidarności” przynoszą szczegóły o przebiegu Czerwca przed 25 laty, w zakładowej wspólnocie.

Robotnicy chcieli monumentalnego pomnika, który dominowałby nad miastem. Szef regionalnej „Solidarności” mówił: pomnik płaski, który mogą zasypać śnieg czy liście, „coś takiego mogłaby wymyśleć Służba Bezpieczeństwa”

Tylko jeden przykład: Krystyna Mikołajewska, wówczas rzeczniczka prasowa „Solidarności” w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego, rozmawia z uczestnikami wydarzeń i rodzinami ofiar z jej zakładu pracy i zapisuje rozmowę w zakładowym biuletynie. Dowiadujemy się, że w nocy 29 czerwca do pani Heleny Helwich, żony Czesława Klosa, przyjeżdża trzech ubeków. Informują, że mąż nie żyje. „Pamiętam tylko straszny ból, żal i płacz dzieci, którym kula zdradziecka zabrała ojca. Mąż mój był dobrym, cichym człowiekiem, umarł, mając 46 lat”. Resztę dopowiada Stanisława Klos, bratowa pani Heleny: „Pojechaliśmy do medycyny sądowej na ul. Święcickiego. Tam czekałyśmy od dziewiętej do dwunastej, cały czas nie wolno nam było opuszczać samochodu. Prosiłiśmy, aby nam pozwolono zobaczyć Czesława... Widziałam miejsce, gdzie weszła kula. Było to na szyi, a strzał padł z góry, więc przeszedł do jamy brzusznej i tam wszystko porozrywał, tak że nie było mowy o uratowaniu go od śmierci”.

AUTORYTET SPOZA UKŁADÓW

W październiku 1980 roku zawiązał się komitet budowy pomnika.

„Tu właśnie, na tej uświęconej cierpieniem i krwią ziemi, w środku tego miasta chcemy wznieść pomnik, bierzmowany symbolami naszej tożsamości narodowej: Krzyżem i Orłem, poświęcony pamięci i chwale tych wszystkich, którzy ofiarowali siebie w walce o ich i naszą godność. Ma to być pomnik prosty, szlachetny w kształcie jak szlachetne były cele tych, których czcimy”.

Odezwa Społecznego Komitetu Budowy Poznańskiego Czerwca, 11 listopada 1980 roku.

Przewodniczącym Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Czerwca 1956 został pisarz, Roman Brandstaetter. Marek Lenartowski, wówczas przewodniczący „Solidarności” w Cegielskim, wspomina, że zaletą Brandstaettera było to, że był „spoza układów”. Autorytet moralny i artystyczny. Siła Brandstaettera płynęła stąd, iż nikt nie miał wątpliwości, że ten religijny pisarz na pewno nie ma żadnego związku z PZPR. Był związany bardzo blisko z poznańskimi dominikanami, a oni mieli z kolei autorytet wśród opozycyjnych środowisk wszelkich odcieni, jak i po prostu w szerokich kręgach społecznych. To u poznańskich dominikanów odbywały się msze w patriotycznych intencjach, jak np. tłumne nabożeństwo ku czci ofiar Katynia w kwietniu 1980 roku. Co więcej: Roman Brandstaetter podpisał w sierpniu 1980 roku poznański list poparcia dla strajkujących stoczniowców. List dotarł do Gdańska 26 sierpnia, został bezzwłocznie opublikowany w strajkowej gazecie.

I jeszcze jedna równie ważna przyczyna: Brandstaetter, choć w warunkach PRL-owskiej cenzury był pisarzem katolickiej niszy, miał naprawdę budzące respekt sukcesy w Europie i na świecie, zwłaszcza jako dramaturg. Jest autorem powieści „Jezus z Nazaretu”. Czerotomowe dzieło wiernie trzyma się przekazu Nowego Testamentu, jednocześnie uzupełniając obraz realiami Palestyny i kultury żydowskiej. Można powiedzieć, że Brandstaetter dał Jezusowi w polskiej kulturze semickie rysy.

Pisarza irytowały wszelkie folklorystyczne polonizacje Jezusa i Maryi. Równie jak Sienkiewiczowska scena, w której św. Piotr spotyka zmartwychwstałego Jezusa i mówi „Quo vadis, Domine?” – po łacinie, zamiast odezwać się po hebrajsku lub aramejsku. Brandstaetter był żarliwym chrześcijańskim Żydem.

I pod jego właśnie kierownictwem pracuje Społeczny Komitet Budowy Pomnika. Czasu jest niewiele, jeśli pomnik ma stanąć 28 czerwca 1981 roku, w 25. rocznicę wydarzeń, a to właśnie jest powszechnym życzeniem.

PŁASKIEGO POMNIKA NIE CHCEMY

W konkursie komisja artystyczna najwyższej oceniła projekt Krystiana i Anny Jarnuszkiewiczów w kształcie wielkiej, pękniętej płyty, „żalnika”, całkowicie horyzontalny, opatrzony kryptonimem „Kierunek”.

Roman Brandstaetter nie był przekonany do werdyktu komisji. Gdy wystawiono wszystkie projekty w Biurze Wystaw Artystycznych (luty 1981), obszedł spokojnie całą wystawę. Tego samego dnia ekspozycję obejrzał też ojciec Honoriusz Kowalczyk OP, popularny w Poznaniu duszpasterz, przyjaciel pisarza. Razem postanowili: najlepszy będzie projekt z kryptonimem „Jedność” autorstwa Adama Graczyka. Wielkie dwa krzyże i sylwetka orła. Brandstaetter przekonał Społeczny Komitet do tego projektu. Tym łatwiej że aktyw robotniczy chciał pomnika, który byłby czytelnym znakiem. Zdzisław Rozwałak z Fabryki Maszyn Żniwnych, szef Zarządu Regionu „Solidarności”, mówił wprost: taki pomnik, płaski, który mogą zasypać śnieg czy liście, „coś takiego mogłaby wymyśleć Służba Bezpieczeństwa”. Choć artysta plastyk Wojciech Wołyński, wtedy pracownik Zarządu Regionu, dziś jeszcze z uznaniem mówi o projekcie Jarnuszkiewiczów: „Gdyby był zrealizowany, trafilby do wydawnictw o sztuce na całym świecie”.

Robotnicy chcieli monumentalnego pomnika, który dominowałby nad miastem. Rozgorzał spór, bo środowiska artystyczne broniły poetyckiej wizji nagrodzonego projektu i żądały respektowania werdyktu jurorów. Około stu osób podpisało oficjalny protest wzywający do respektowania werdyktu komisji konkursowej powołanej z udziałem Związku Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszenia Architektów Polskich. Protest podpisali również artyści Teatru Ósmego Dnia, którzy brali potem udział w uroczystości odsłonięcia.

W mediację włączyło się m.in. Porozumienie Stowarzyszeń Twórczych. Po burzliwym posiedzeniu Społecznego Komitetu tuż przed północą Brandstaetter obwieścił: „Proszę, taki będzie nasz pomnik. Dwa krzyże spięte jednym ramieniem, wieży na nim... Orzeł u boku krzyży... Ja wiedziałem, że gdy dzisiaj nie podejmiemy decyzji, pomnika Czerwca '56 nie będzie”.

MICKIEWICZ BYŁBY DUMNY

Osobnym polem kontrowersji stała się lokalizacja pomnika. Ostatecznie stanął na Placu



⌚ Adama Mickiewicza, który w 1956 roku nosił nazwę Stalina. I w tym miejscu zgromadzili się rano 28 czerwca 1956 roku demonstranci. Po jednej stronie monumentalny Zamek Cesarski, wzniesiony przez Wilhelma II w 1910 roku, a kilkadziesiąt metrów dalej – nowo wzniesiony budynek, siedziba komitetu wojewódzkiego PZPR.

Warto dodać, że do roku 1919 stał w tym miejscu pomnik kanclerza Bismarcka. A w 1932 postawiono tu – jako wotum wdzięczności za niepodległość – Pomnik Najświętszego Serca Pana Jezusa zburzony przez Niemców w roku 1939. A z kolei w 1960 roku stanął tutaj pomnik Adama Mickiewicza. To tutaj wreszcie – w apogeum antykościelnej kampanii wywołanej przez „Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich” ze słynną frazą: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie...” – Władysław Gomułka w 1966 roku gromił wobec tłumu Poznaniaków kardynała Wyszyńskiego: Ten „nieodpowiedzialny pasterz pasterzy (...) stawia swoje urojone pretensje do duchowego zwierzchnictwa nad narodem polskim wyżej niż niepodległość Polski. Jakież to musi być zaślepienie”. I w końcu w marcu 1968 roku to tutaj właśnie gromadzili się studenci, by protestować przeciwko zdjęciu przez cenzurę „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka. Można powiedzieć: plac pełen znaczeń.

Lokalizacja pomnika w tym właśnie miejscu budziła kontrowersje. Zgłaszano obawy, że nowy monument klócić się będzie w przestrzeni z pomnikiem Mickiewicza, że go przytłoczy czy w pewnym sensie unieważni. Można dziś przyjąć, że krytycyzm wobec lokalizacji podsycała Służba Bezpieczeństwa. W każdym razie pojawiła się ulotka grożąca wysadzeniem pomnika w powietrze podpisana „Filomaci”. Ale stanowisko poznańskich robotników było jednoznaczne. „My, byli uczestnicy tych wydarzeń – mówił Czesław Dyrda z Fabryki Maszyn Żniwnych – chcemy, aby pomnik stanął tam, gdzie to się działo, gdzie myśmy wszyscy się zbierali”.

I tu znowu Roman Brandstaetter uciął kontrowersję. Adam Mickiewicz w 1848 roku – mówił autor „Jezusa z Nazaretu” – miał audiencję u Piusa IX. Była to – dodajmy – bardzo burzliwa audiencja, wieszczę chciał papieża pozyskać dla idei europejskiej rewolucji. W kulminacyjnym momencie Mickiewicz wykrzyknął: „Wiedz, że duch boży jest dzisiaj w bluzach paryskiego ludu!”. Brandstaetter dopowiadał: „Mickiewicz byłby dumny z tego, że jego pomnik stoi obok pomnika robotników poznańskich”.

OBALENIE DZIERŻYŃSKIEGO

Koniec końców wybór projektu i lokalizacja zostały postanowione. Do planowanej daty odsłonięcia pomnika zostało czterdzieści kilka dni. Już trwają zbiórki publiczne na pokrycie kosztów budowy. Pomnik ma wielką skalę. Krzyże mają mieć wysokość ponad 20 metrów. Do tego kilkumetrowy orzeł. Wszystko w blasze i odlewach. Praca podzielona między poznańskimi fabrykami. Oczywiście Zakłady Hipolita Cegielskiego, ale także ZNTK, Pomet i fabryka maszyn żniwnych. Robotnicy pracują w często nieodpłatnych nadgodzinach. Wiceprezydent Miasta Andrzej Wituski zapewnia dostawy żywności dla pracujących robotników (to czas powszechnej reglamentacji najprostszych produktów żywnościowych, sprzedaż na kartki). Prace trwały nieustannie, również w wolne soboty i niedziele. W sumie przy budowie pomnika pracowało około sześciuset osób. Jak pisano w odezwie związkowej „Solidarności HCP”, byli to „ludzie młodzi i starsi, ci co brali udział w poznańskim protestie czerwcowym 1956 r. oraz ci, których może nie było jeszcze na świecie. Bez względu na przekonania i przynależność, stanowiska i staż pracy”.

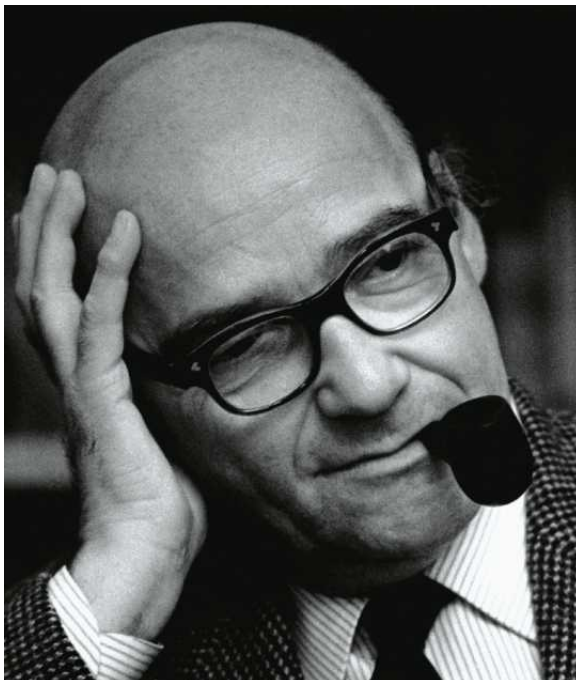
Pomnik jest najważniejszy, ale przygotowywane są też tablice pamiątkowe przed zakładami, które miały udział w strajku i demonstracjach, jak ZNTK i HCP. Przed Cegielskim odbyła się masowa uroczystość, przyszło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Odczytano „Przysięgę”, jej tekst napisał Brandstaetter. Usłyszeć było można takie słowa:

„Przysięgamy, Panie, że zawsze bronić będziemy prawdy i prawa, wolności sumienia i słowa, które są dobrem niepodzielnym i podwalinami naszego narodowego istnienia. Tak nam dopomóż, Chryste Panie Boże!”.

Tekst podawał Zbigniew Grochał, aktor Teatru Nowego Izabelli Cywińskiej. „Kiedy przeczytałem trzy strofy – wspomina – pojawił się Lech Wałęsa witany owacyjnie. Musiałem oczywiście przerwać... Gdy skoń-

• **Transport na Plac Mickiewicza części jednego z dwóch krzyży – głównych elementów pomnika. Monument wykonało kilka poznańskich fabryk, w tym oczywiście Zakłady Hipolita Cegielskiego, gdzie w 1956 rozpoczął się bunt robotników**

FOT. ZBIGNIEW TRYBEK
/ FORUM



• **Roman Brandstaetter (1906-1987), pisarz katolicki, przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Czerwca 1956**

FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

czyłem, Iza Cywińska przytuliła mnie do serca. To była chyba najważniejsza rola w moim życiu”.

Zapowiedzią kulminacji obchodów było kilka dni wcześniej, 19 czerwca, przewiezienie przez miasto na ogromnych platformach elementów konstrukcyjnych pomnika. Ogromne słupy, które były głównym elementem krzyża, okryte biało-czerwonym sztandarem. Platformy pokonywały tę samą trasę, jaką w 1956 roku przeszli robotnicy Cegielskiego – ulicą Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela bolszewickiej Czeki. Bogdan Klepas, jeden z liderów „Solidarności” w Cegielskim, wspomina: ludzie towarzyszyli platformom, modlili się, śpiewali. Ale najważniejszy dla niego moment nastąpił wtedy, gdy pracownik magistracki wszedł na drabinę i na oczach tłumu zrzucił tabliczkę z nazwiskiem „Dzierżyński” i zaczął mocować tabliczkę z napisem „28 czerwca”. Taką nazwę ulica ma do dziś.

Poznaniacy przychodzili na Plac Mickiewicza, przyglądali się przygotowaniom. Agnieszka Grabowska, wówczas szesnastoletnia uczennica szkoły średniej, wspomina, że jej klasa wracała właśnie ze szkolnej wycieczki i podjechała na Plac Mickiewicza, przyjrzeć się montażowi pomnika. A potem na odsłonięcie licealistka przyszła z całą rodziną. Emocje w zenicie. Wspomina dzisiaj: „To była bezkrwawa rewolucja, której nie zatrzymał terror stanu wojennego”.

Sam Brandstaetter był chyba rozgoryczony sporami wokół pomnika. W liście do przyjaciela Włodzimierza Wnuka pisał: „W samym Poznaniu mamy trochę znajomych, z literatami tutejszymi nie mam żadnych kontaktów. Miasto nudne, bardzo, bardzo nieciekawe i bardzo brzydkie jak wiesz”.

KRZYŻE OBOK ADAMA

Po 13 grudnia 1981 roku pod pomnikiem odbywały się regularne demonstracje. Stał się symbolem oporu

wobec systemu komunistycznego. Dlatego właśnie nie pozwolono w 1983 roku Janowi Pawłowi II stanąć na Placu Mickiewicza. Mógł w tym miejscu spotkać się z Poznaniakami dopiero w 1997 roku.

Stanisław Matyja, przywódca z 1956 roku, ma swoją ulicę w Poznaniu. Choć swego czasu część radnych oprotowała tę nazwę, gdyż jego rodzina podpisała podczas wojny volkslistę. Swoją ulicę ma też Roman Brandstaetter. A Czerwiec '56 – swoje Muzeum. Teatr Ósmego Dnia w czasie „Solidarności” zaczął grać w zakładach pracy, a po stanie wojennym w kościołach. Po jakimś czasie – pozbawieni możliwości pracy – wyjechali na emigrację. Wrócili w roku 1990.

W 2012 roku zawiązał się Społeczny Komitet Odbudowy Pomnika Wdzięczności, tego zniszczonego przez Niemców w 1939 roku. Zaczęły się boje, żeby wrócił na swoje miejsce. Nie zgadzały się władze miasta, proponując inną lokalizację, a i arcybiskup Stanisław Gądecki stwierdził, że byłaby to już „graciarńia”. Mamy więc w Poznaniu nadal Krzyże obok Adama.

Pomnik Czerwca wrósł w pejzaż miasta. I nabiera być może nowych znaczeń. Reiner Kunze, wybitny wschodnioniemiecki poeta, przyjechał do Poznania w 40. rocznicę wydarzeń. Dla niego historia Czerwca 1956 zapewne kojarzyła się z czerwcem 1953, gdy robotnicy we wschodnim Berlinie wystąpili przeciwko komunistycznemu reżimowi. I pewnie dlatego poeta tak opisał poznański pomnik:

POMNIK W POZNANIU
1956/68/70/76/80/81
Dwa krzyże
połączone liną,
zaczumowane na niebie:
Poznań i Gdańsk
Ale mnie się zdawało,
że robią ten znak krzyża wspólnie
Polska i Niemcy,
a polski orzeł
skrzydłem
daje osłonę
(1996, tłum. Jakub Ekier)

* Jacek Kubiak, autor kilkudziesięciu filmów i reportaży telewizyjnych, głównie o tematyce historycznej. Prowadzi – w ramach Wydawnictwa Miejskiego Poznania – Poznańskie Archiwum Historii Mówionej. Wykładowca Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

* Jan Grzegorzcyk, pisarz, dziennikarz, w latach 1982-2011 redaktor miesięcznika „W Drodze”. Wydał m.in. pięcioksiąż „Przypadki księdza Grosera”, opowiadania „Niebo dla akrobaty”, powieści „Chaszcze” i „Puszczyk” oraz rozmowę z Janem Górką OP „Święty i błazen”. W tym roku ukaże się jego najnowsza książka „Ukryty. Przypadki Romana Brandstaettera”.

Autorzy we współpracy z Biblioteką Raczyńskich, Oddziałem IPN w Poznaniu oraz Wydawnictwem Miejskim Poznania przygotowują film o Pomniku Czerwca 1956. ●

Antypolityka historyczna

Na równi z Polakami...

Książę Adam Czartoryski pisał: „Jestem przede wszystkim Polakiem, ale także Rusinem i Ukraińcem”.

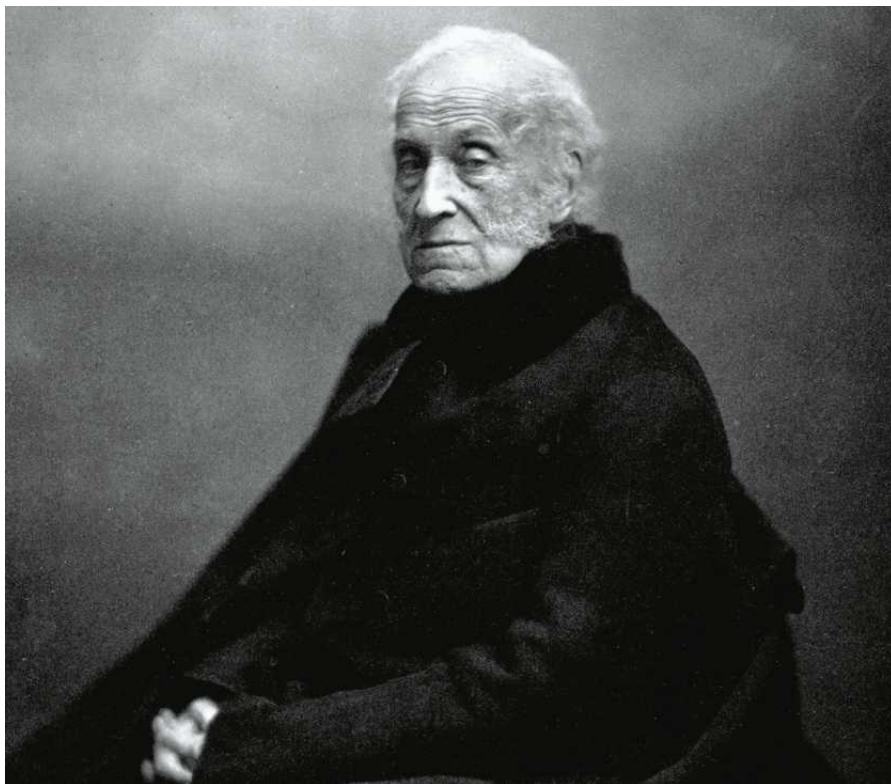
Janowski



3 maja 1855, na posiedzeniu Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, przemawiał, jak co roku w rocznicę Konstytucji, książę Adam Czartoryski. Trwa wojna krymska. Wojska angielskie i francuskie lądują na Krymie; oblegają Sewastopol; wszystko wydaje się możliwe. Czartoryski przedstawia swe nadzieje i rozczarowania; mówi o organizowaniu oddziału kozackiego do walki z Rosją. Wielu ludzi z pogranicza poczuwało się wówczas do więcej niż jednej narodowości, nie zdziwny się więc, że książę mówi: „Jestem przede wszystkim Polakiem [...] ale jestem także Rusinem i Ukraińcem”.

W tymże 1855 roku nakładem drukarni L. Martinet tej samej, która drukowała Mickiewicza, Norwida czy Krasińskiego, ukazuje się ta właśnie mowa Czartoryskiego – po ukraińsku, choć łacińską czcionką. Fakt tej publikacji (wznowionej w tomie „Konstytucja Trzeciego maja w tradycji towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu”, Paryż 1991, a niestety nieobecnej w niedawnej edycji „Mów politycznych” Czartoryskiego, Kraków 2023) jest niezwykle istotny. Polscy patrioci publikowali od czasu do czasu teksty po „rusku” były to jednak wiersze bądź odezwy, jak „Złota Hramota” z powstania styczniowego.

Tutaj – zupełnie coś innego. Mowy Czartoryskiego nie są dla ludu – to teksty skomplikowane, przeznaczone dla odbiorcy obytego w świecie kultury wy-



• Książę Adam Jerzy Czartoryski (1770–1861), lider Hotelu Lambert, obozu konserwatywnego Wielkiej Emigracji FOT. NADAR, W ZBIORACH MUZEUM ZAMOYSKICH

sokiej. Jeżeli taki tekst tłumaczy się na ukraiński, to znaczy, że liczy się na czytelnika spośród ukraińskiej inteligencji. Można, może z przesadą, powiedzieć, że przekład był w jakiś sposób symbolicznym uznaniem równoprawności ukraińskiego – w sytuacji kiedy większość Polaków w Galicji i na rosyjskiej Ukrainie była przekonana, że żadnego języka ukraińskiego nie ma, że jest tylko gwara, która ustąpi miejsca polskiemu, a Rosjanie sądzili, że ustąpi rosyjskiemu. Czartoryski nie raz sprzeciwiał się takiemu stanowisku: kilka lat później wezwał – 3 maja 1861 roku, gdy miał 91 lat – do uznania „ruskiego” za drugi obok polskiego język obrad Sejmu galicyjskiego.

W polskiej wersji mowy z 1855 roku czytamy o wrogach, zaszczepiających „nie-nawieść i nieufność między różnymi klasami narodu”: Czartoryski pamięta niedawne (1846) rozruchy chłopskie, tzw. rzeź galicyjską. Zapewnia lud, że w niepodległej Polsce „żadne nabyte korzyści nie będą [...] odjęte”, że czeka go „prawdziwa równość” i „oswobodzenie od [...] bied i ucisków”. Otóż w wersji ukraińskiej mamy po tych słowach istotny dodatek: „na równi z Polakami”. Sens tekstu ukraińskiego jest więc taki, że nie tylko chłopci zachowają swe zdobycze społeczne, ale Rusini będą mieli te same prawa narodowe co Polacy.

Jeden ze współpracowników Czartoryskiego, Ludwik Zwierkowski, pisał:

Rusini galicyjscy „gdy chcą, niechaj sobie tworzą swoją narodowość, my ich wspierać będziemy, żeby ją przenieśli za Dniepr, do Kozaków; [...] wtedy ich tylko walczyć będziemy, gdyby oni nie dążyli do osobnej swojej narodowości, ale gdyby chcieli złąć się z Moskwą”. Gdyby Ukraińcy nie wytworzyli osobnego w pełni świadomego narodu, lecz zostali zrusyfikowani, powstałoby dla Polski śmiertelne niebezpieczeństwo.

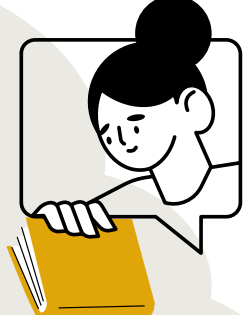
Marceli Handelsman, w zakończeniu swej świetnej książki o ukraińskiej polityce Czartoryskiego, z której wzięłem powyższy cytat, pisał w 1937 roku, że historyk, wczuwając się głęboko w życie swych bohaterów, odnajdzie „pytania odwieczne: Jak owo kapitalne, główne poprzez stulecia zagadnienie polskiego narodowego i politycznego istnienia, problem stosunku polsko-ukraińskiego”. „Myśląc o wczoraj, jakże już odległym i odmiennym od dziś, myśli się o dziś, które mimo to jest wciąż tym samym wczoraj. Ze strachem, niepewnością, i, daj Boże, poczuciem odpowiedzialności idzie się w jutro, które pewno niczym nie będzie różne w swej istocie od tego, co już było”.

Handelsman, zwolennik ruchu prometejskiego, przekonany, że wsparcie dla Ukraińców leży w najżywniejszym interesie Polski, pisał w momencie niebywałego wzrostu radykalnego nacjonalizmu w Polsce, w przededniu drugiej wojny światowej, kiedy „jutro” miało okazać się się straszliwsze od najpesymistyczniejszych przewidywań. Czy mamy powtórzyć te smutne słowa dziś? Czy może jednak ośmielimy się mieć nadzieję, że mimo postawy prezydenta RP i jego zwolenników, wszelkimi siłami dążących do zastąpienia solidarności polsko-ukraińskiej przez wzajemną nienawiść, uda się kiedyś wyrwać z błędnego koła? Nie wiem. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014



KSIĄŻKOWY
KLUB
WYDAWA
KSIAZKI

Szukasz miejsca,
gdzie można swobodnie
porozmawiać o książkach?

ZAPISZ SIĘ NA
wyborcza.pl/klubksiazki

Pierwsze spotkanie już
22 lipca, o godz. 19.00.

Porozmawiamy o książce Petera Pomerantseva,
„Propagandysta, który przechrzcił Hitlera.
Jak wygrać wojnę informacyjną”

SPONSOR


FATALNE ZAUROCZENIE MICHELA FOUCAULTA

To słynny francuski filozof przewidział wejście islamu na scenę globalną. Był zafascynowany rewolucją w Iranie, dostrzegł w niej „polityczną duchowość”.

Radosław Korzycki

Jesienią 1978 roku Michel Foucault, największy anatom nowoczesnej władzy, polecał do Iranu zobaczyć rewolucję, która nie mówiła językiem Marksa, lecz religii. W tłumach maszerujących za ajatollahem Chomeinim dostrzegł coś, co wydawało mu się nową formą politycznej energii: „duchowość” zdolną poruszyć miliony ludzi po zmęczeniu Zachodu ideologiami XX wieku. Filozof, który całe życie analizował mechanizmy nadzoru i dyscypliny, nie zauważył, jak szybko bunt może zamienić się w nowy aparat opresji. Dziś, gdy Iran znów znajduje się w centrum globalnego konfliktu, jego irańska fascynacja wraca nie jako egzotyczny epizod biografii, lecz jako ostrzeżenie przed pokusą romantyzowania historii.

INTELEKTUALISTA ULICZNY

Michel Foucault (1926-84) był jednym z tych intelektualistów XX wieku, którzy nie tyle komentowali rzeczywistość, ile zmieniali sposób, w jaki ludzie uczą się ją widzieć. Francuski filozof, historyk idei, eseista i wykładowca Collège de France należał do najważniejszych postaci formacji intelektualnej, którą później nazwano poststrukturalizmem, choć sam wobec takich etykiet pozostawał nieufny. Uczył się w cieniu wielkich nazwisk francuskiej humanistyki powojennej: Louisa Althussera, Georges’a Canguilhema czy Jeana Hyppolite’a. Czerpał z Nietzschego, Bataille’a i Heideggera, ale równie mocno interesowały go szpitale psychiatryczne, więzienia, opresyjny język administracji, a także archiwa policyjne. Opublikował na przykład dokumentację sprawy Pierre’a Rivière’a, który w 1835 roku zamordował matkę, siostrę i brata, by pokazać konflikt między rodzącą się psychiatrią a prawem w definiowaniu obłądki i odpowiedzialności za zbrodnię. Foucault pomógł rozbić komfortową opowieść Zachodu o własnym postępie. Liberalna nowoczesność przestała u niego wyglądać jak spokojny marsz ku wolności i racjonalności. Pokazywał raczej, że nowoczesne społeczeństwa tworzą coraz subtelniejsze techniki nadzoru, klasyfikowania i dyscyplinowania ludzi. Badał narodziny nowoczesnego więzienia,

sposób, w jaki cywilizacja oddziela „normalność” od obłądki, a także to, jak władza przenika ciało, seksualność i codzienne życie.

Nie interesowała go wyłącznie teoria, angażował się politycznie: protestował przeciw represjom państwa, wspierał ruchy więźniów, uczestniczył w akcjach lewicy pozaparlamentarnej, interesował się losem migrantów i osób wykluczonych. Był intelektualistą ulicznym równie mocno, jak bibliotecznym. Kiedy wielu filozofów pisało o rewolucji zza biurka, Foucault próbował zobaczyć ją z bliska.

Pochodził z zamożnej, mieszczańskiej rodziny lekarskiej z Poitiers. Był homoseksualistą, co w realiach Francji połowy XX wieku miało ogromne znaczenie dla jego doświadczenia społecznego i osobistego. Jednocześnie opierał się pokusie redukcji własnej twórczości do autobiografii czy „tożsamości”. Nie chciał być filozofem „gejowskim” ani rzecznikiem jednej wspólnoty. Interesowało go raczej to, jak społeczeństwa produkują normę i wykluczenie, jak definiują szaleństwo, dewiację, seksualność i posłuszeństwo.

Pod koniec lat 70. był już słowny, cytowany, tłumaczony i obudowany legendą, ale też

zmęczony rolą wielkiego filozofa, którego zaprasza się do telewizji i debat, żeby raz jeszcze objaśniał Zachód samemu sobie. Francja po maju ’68 była krajem pełnym rozczarowań, politycznego kaca, liberalnego giscardyzmu i ideologicznych ruin. Rewolucja nie przyszła. Marksizm się kruszył. Komunistyczne sny pachniały już nie emancypacją, lecz autarchią, biurokracją i przemocą. Zachodnia lewica szukała nowego języka buntu, który nie prowadziłby ani do stalinowskiego terroru, ani do liberalnego samozachwyty.

KIEDY IDEE STAJĄ SIĘ CIAŁEM

W powietrzu wisiało poczucie końca pewnej epoki. Wietnam był już po wojnie, Chiny Mao Zedonga zaczynały się zmieniać, europejska radykalna lewica wpadała albo w pułapkę terroryzmu jak grupa Andreasa Baadera i Ulrike Meinhof, albo w melancholię. W tym czasie Iran zaczynał wrzeć. I właśnie tam wielu intelektualistów dostrzegło coś, co wydawało się niepokojąco nowe: masowy bunt, który nie

Represje w Iranie po ruchu „Kobieta, życie, wolność” pokazały, jak bardzo ciało kobiety pozostało polem walki między społeczeństwem a republiką islamską



▲ Teheran 1 lutego 1979 roku. Ajatollah Ruhollah Musawi Chomeini (1900-1989) pozdrawia tłum tuż po powrocie z emigracji. Dwa miesiące później Rada Rewolucyjna proklamowała Islamską Republikę Iranu

FOT. MICHEL SETBOUN/CORBIS VIA GETTY IMAGES

► Michel Foucault (1926-1984), francuski filozof, historyk i socjolog, dostrzegł w rewolucji islamskiej „polityczną duchowość”

FOT. MICHELE BANCILHON VIA AFP

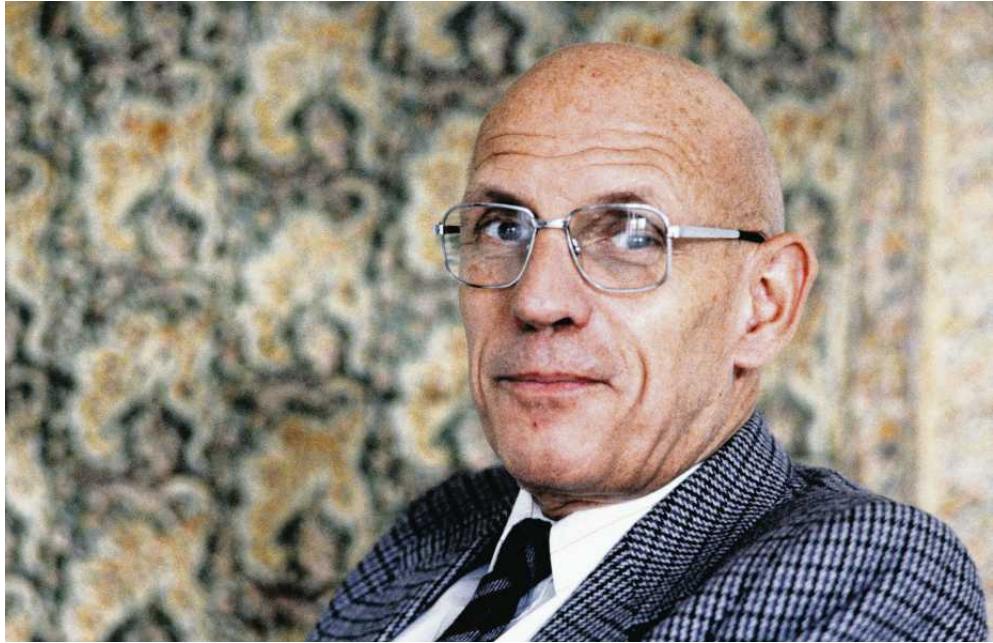
mówił językiem Marksa, ale religii. Nie proletariatu, lecz wierni. Nie partia klasowej awangardy, tylko meczet. Nie czerwony sztandar, ale czarny turban ajatollaha Chomeiniego.

Foucault nie zainteresował się Iranem przypadkiem. W Paryżu utrzymywał kontakty z irańską diasporą, słuchał opowieści studentów, emigrantów politycznych i przeciwników szacha. Książki relacje o represjach policji politycznej SAVAK, torturach, brutalności modernizacji narzucanej przez monarchię wspieraną przez Zachód. W środowiskach lewicowych Iran zaczynał funkcjonować jako laboratorium nowego typu rewolty: antyimperialnej, masowej, a zarazem wyrywkowej się klasycznym kategoriom europejskiej polityki.

Wtedy przyszła propozycja z Włoch. „Corriere della Sera”, jeden z najważniejszych dzienników Europy, chciał wysłać do Iranu nie zwykłego reportera, lecz wielkiego intelektualistę. Kogoś, kto potrafiłby opisać nie tylko wydarzenia, ale klimat historycznego przesilenia. Foucault zgodził się niemal natychmiast, ale pod jednym warunkiem. Nie chciał pisać akademickich komentarzy ani filozoficznych felietonów z bezpiecznej odległości. Chciał pojechać na miejsce, zobaczyć ludzi, rozmawiać, chodzić po ulicach i stać w tłumie.

W pewnym sensie próbował wtedy uciec od własnego statusu. Na chwilę przestać być profesorem Collège de France, autorem wielkich teorii i celebrytą europejskiej humanistyki. Interesował go moment, w którym idee przestają być książką, a stają się ciałem, ryzykiem i tłumem.

Nie jechał do Iranu z gotową tezą polityczną. Raczej z przeczuciem, że dzieje się tam coś, czego Europa jeszcze nie rozumie, coś, co



nie przypomina ani rewolucji francuskiej, ani bolszewickiej, ani maoistowskiej.

NA PRZECIĘCIU IDEI I ZDARZEŃ

Jesienią 1978 roku wsiadł do samolotu lecącego do Teheranu. Towarzyszył mu Thierry Voeltzel, młody francuski dziennikarz i pisarz. Iran przypominał państwo stojące na granicy załamania nerwowego. Punkty kontrolne wyrastały na drogach jak barykady, ulice patrołowali uzbrojeni żołnierze, a napięcie czuć było niemal fizycznie. Foucault wspominał później sytuację, gdy kierowca przypadkowo ominął checkpoint i wojskowi niemal natychmiast otworzyli ogień. Reżim szacha wyglądał jak system, który coraz bardziej opiera się już nie na autorytecie, lecz na strachu i sile.

Jednocześnie pod powierzchnią tego militarnego porządku pulsowało coś, czego zachodni obserwatorzy długo nie umieli nazwać. Foucault uważał, że narodzin idei nie należy obserwować wyłącznie w książkach. Trzeba ich szukać na ulicach, w tłumie, w starciach prowadzonych w ich imię albo przeciw nim. „To

nie idee poruszają świat, lecz świat nieustannie produkuje idee, których później nie da się już całkowicie kontrolować” – pisał w „Corriere della Sera” w tekście pt. „Duch świata bez ducha”.

Właśnie temu miały służyć jego irańskie reportaże. Chodziło o analizę tego, „co się dzieje”, ale równocześnie tego, „co można sobie pomyśleć”. Foucault marzył wręcz o nowym rodzaju pisania politycznego, w którym intelektualści i dziennikarze spotykają się w punkcie przecięcia idei i zdarzeń.

Dzięki kontaktom pośród irańskiej diaspory i lokalnych działaczy spotykał studentów, intelektualistów oraz ludzi związanych z podziemiem politycznym. Jak pisał, przyjaciele umożliwili mu rozmowę z ważnymi przedstawicielami opozycji wobec szacha. Spotkanie odbyło się w „doskonale aseptycznej okolicy” pod Teheranem, co dobrze oddawało klimat tamtych dni: konspirację połączoną z poczuciem nadchodzącego przesilenia.

NIKT TU NIE CHCE SZACHA

To właśnie wtedy usłyszał od opozycjonistów diagnozę, która zrobiła na nim ogromne wra-

żenie: im większe będą protesty i zamieszki, tym bardziej reżim będzie zmuszony opierać się na armii. Problem polegał na tym, że wojsko nie było przygotowane do prowadzenia wojny przeciw własnemu społeczeństwu. Żołnierze mieli w końcu odkryć, że nie stoją naprzeciw „międzynarodowego komunizmu”, jak powtarzała propaganda szacha, lecz przeciw zwykłym ludziom: urzędnikom, bezrobotnym, mieszkańcom ulicy. Przeciw własnym braciom.

Dla Foucaulta nie była to wyłącznie analiza polityczna. Widział w tym moment pęknięcia nowoczesnego państwa. Chwilę, w której aparat przemocy zaczyna rozumieć, że nie walczy z zewnętrznym wrogiem, ale z własnym społeczeństwem. I właśnie tam, pośród narastającego chaosu, zaczął dostrzegać coś, co go zafascynowało: rewolucję, która nie mówiła językiem europejskiej lewicy, ale miała energię zdolną poruszyć miliony ludzi.

Foucault próbował zrozumieć Iran nie jako kolejną odsłonę zimnej wojny, ale jako wydarzenie rozbijające europejskie przyzwyczajenia intelektualne. W jego tekstach dla „Corriere della Sera” powraca jedna intuicja: szach nie upadał wyłącznie dlatego, że popełnił błędy polityczne albo przesadził z represjami, ale dlatego, że przeciwko niemu wystąpiła siła, której nie dało się łatwo opisać językiem zachodnich partii, klas i programów.

Francuski filozof widział w Iranie bunt przeciw państwu modernizacyjnemu, które chciało społeczeństwo przyspieszyć, uporządkować i zdyscyplinować. Szach przedstawiał siebie jako człowieka przyszłości, ale Foucault odwracał tę opowieść. To właśnie monarcha wydawał mu się anachroniczny, jakby próbował narzucić krajowi nowoczesność metodami starego despotyzmu: policją polityczną, armią, przymusem i kontrolą. Modernizacja nie wyglądała tu jak emancypacja, tylko jak kolejna technologia posłuszeństwa.

Dlatego irańska rewolta fascynowała go tak bardzo. Ludzie, których spotykał, nie mówili przede wszystkim o konstytucji, reformach czy zachodnim modelu parlamentarnej polityki, a o odejściu szacha. O godności, islamie i życiu, którego nie da się już dalej prowadzić pod monarchią. Foucault zobaczył w tym nie program, lecz intensywną wolę polityczną. Warto jednak pamiętać, że liberalna opozycja irańska, np. krąg Mehdiego Bazargana, pełniącego krótko na początku rewolucji funkcję premiera, ale Foucault świadomie te głosy marginalizował w swoich tekstach, skupiając się na masach religijnych.

ISLAM, CZYLI BECZKA PROCHU

Właśnie tu pojawia się jego najważniejsze pojęcie z irańskich tekstów: „duchowość polityczna”. Interesował go moment, w którym polityka przestaje być tylko administracją interesów i staje się doświadczeniem egzystencjalnym. Ludzie wychodzili na ulice z gołymi rękami, wiedząc, że mogą zostać pobici albo zastrzeleni. Nie zachowywali się jak wyborcy kalkulujący korzyści, ale jak uczestnicy zbiorowego przejścia.

W tym sensie Iran wydawał mu się zaprzeczeniem Europy po wygaśnięciu wielkich rewolucyjnych nadziei. Francuska lewica знаła język partii, związków zawodowych i marksistowskich analiz. Iran mówił inaczej. Foucault podkreślał, że ani w Teheranie, ani w Komie nie słyszał pragnienia klasycznej „rewolucji”, ale pragnienie „rządu islamskiego”, rozumianego przez jego rozmówców jako obietnica innego życia.

Z tego wynikała jego szczególna uwaga wobec islamu. Foucault nie traktował go wyłącznie jako religii prywatnej ani jako zasłony dla „prawdziwych” interesów społecznych. Widział w nim język politycznego działania, pamięci historycznej i zbiorowej mobilizacji. Szyizm z jego opowieścią o męczeństwie i niesprawiedliwości wydawał mu się potężnym zasobem oporu wobec państwa.

Był przy tym przekonany, że obserwuje coś, co może mieć znaczenie nie tylko dla Iranu. W jednym z późniejszych tekstów pisał o islamie jako o „beczce prochu” zdolnej poruszyć setki milionów ludzi i zmienić układ sił w całym regionie. To była jedna z jego najbardziej przenikliwych intuicji. Foucault rozumiał, że irański wybuch nie jest lokalnym epizodem, ale zapowiedzią wejścia islamu politycznego na scenę globalną.

I dlatego jego irańskie reportaże są tak osobliwe. Bo to ani zwykła korespondencja zagraniczna, ani spokojna analiza filozoficzna. Te teksty są próbą uchwycenia chwili, w której rozpada się europejska pewność, że nowoczesność ma tylko jeden kierunek: świeckość, rozwój, racjonalizację i liberalne państwo.

Na tym polegała istota jego fascynacji. Iran nie wydawał mu się cofnięciem historii, lecz jej pęknięciem. Dowodem na to, że ludzie mogą jeszcze pragnąć polityki jako przemiany życia, a nie tylko zmiany rządu.

CZEGO PROROK NIE PRZEWIDZIAŁ?

Foucault zobaczył w Iranie coś, czego wielu zachodnich komentatorów początkowo nie rozumiało albo nie chciało rozumieć. Trafnie rozpoznał, że nie jest to kolejna wersja rewolucji francuskiej, rosyjskiej czy chińskiej, tylko narodziny nowego typu politycznej mobilizacji. Wcześniej niż większość europejskiej lewicy dostrzegł, że islam polityczny może stać się jedną z najpotężniejszych sił końca XX wieku. Kiedy pisał o islamie jako „beczce prochu”, miał w sobie coś z proroka.

Problem polegał jednak na tym, że jego przenikliwość zaczęła mieszać się z fascynacją. To, co nazywał „duchowością polityczną”, wydawało mu się odzyskaniem przez politykę wymiaru ofiary, ryzyka i zbiorowego uniesienia. W tłumach maszerujących za Chomeinim widział energię autentyczną i niemożliwą do zredukowania do partyjnych kalkulacji. I właśnie wtedy zaczął zbliżać się do granicy, za którą zachwyt nad samą siłą buntu utrudnia dostrzeżenie tego, czym bunt może stać się później jako władza.

Źródłem tej fascynacji był również bardzo głęboki antymodernistyczny odruch w myśleniu Foucaulta. Trafnie rozpoznawał brutalność państwa szacha: obsesję kontroli, policję polityczną SAVAK i przemoc wpisaną w projekt modernizacji narzucanej społeczeństwu z góry. W tekście „Szach jest sto lat za czasami” opisywał monarchię Pahlawich niemal językiem „nadzorować i karać”: jako system dyscypliny i nadzoru ukryty pod maską postępu.

Kłopot polegał na tym, że z tej trafnej krytyki nowoczesnego autorytaryzmu Foucault przeszedł do zbyt życzliwego spojrzenia na jego przeciwników. Nie przewidział, że islamizm może nie tylko buntować się przeciw nowoczesnym technikom kontroli, ale sam stworzyć ich nową, niezwykle skuteczną wersję. Religijna rewolucja mogła połączyć dawną moralną władzę z nowoczesnym państwem, propagandą i aparatem przemocy.

Foucault znakomicie widział przemoc nowoczesności. Znacznie gorzej rozumiał, że antynowoczesność także może stać się systemem opresji.

Najpoważniejszy problem dotyczył jednak kobiet. I właśnie tutaj krytycy Foucaulta uważają jego irański epizod za intelektualną porażkę, a nie tylko polityczną pomyłkę. Filozof, który całe życie analizował mechanizmy wykluczenia i kontroli, okazał się zaskakująco obojętny wobec ostrzeżeń irańskich feministek.

Francuz powtarzał uspokajające deklaracje ludzi związanych z islamistami, że przyszła republika islamska nie przyniesie kobietom „nierówności”, lecz jedynie „różnicę” wynikającą z naturalnego porządku płci. Nie potraktował tego jako sygnału alarmowego. Nie zapytał, co w praktyce oznacza społeczeństwo oparte na takim rozróżnieniu.

Najmocniejszym przykładem pozostaje list irańskiej emigrantki



podpisującej się jako Atoussa H., opublikowany w „Nouvel Observateur”. Pisała z rozpaczą, że zachodnia lewica daje się uwieść wizji „muzułmańskiej duchowości”, nie rozumiejąc, iż Irańczycy mogą zostać zmuszeni do wyboru między SAVAK-iem a religijnym fanatyzmem. Ostrzegła przed przymusem zasłaniania kobiet, prawem religijnym i losem mniejszości.

Foucault odpowiedział chłodno i dość wyniośle. Zarzucił jej utożsamianie islamu z fanatyzmem i napisał, że rozmowy o islamie nie należy zaczynać od nienawiści. Z dzisiejszej perspektywy wygląda to jak jeden z najbardziej problematycznych momentów całej tej historii.

DUCHOWOŚĆ, KTÓRA BIJE KOBIETY

Nie wszyscy dali się porwać tej fascynacji. Najważniejszym kontrapunktem dla Foucaulta stał się Maxime Rodinson, wybitny marksistowski historyk islamu. Już pod koniec 1978 roku ostrzegał na łamach „Le Monde”, że fundamentalizm religijny w praktyce oznacza prawo kar cielesnych, ograniczenie praw kobiet i łatwe oskarżanie przeciwników o bycie „wrogami Boga”. Możliwy rezultat nazwał wręcz „półarchaicznym faszyzmem”.

Jeszcze bardziej uderzające było jednak coś innego. Foucault, który przez całe życie analizował rozproszone relacje władzy i społeczne pęknięcia, nagle zaczął mówić o Iranie językiem niemal mistycznej jedności. W rozmowie opublikowanej później w książce „Iran: rewolucja w imię Boga” twierdził, że nie widzi tam walki różnych grup społecznych, lecz jedną wielką konfrontację: całego ludu przeciw państwu.

Rzeczywistość bardzo szybko zaczęła ten obraz rozsadzać. Już w marcu 1979 roku tysiące kobiet wyszły na ulice Teheranu protestować przeciw przymusowi ponownego zasłaniania się. Demonstracje trwały kilka dni. Padaly hasła przeciw czadorowi i dyktaturze, a bojówki Hezbollahu odpowiadały kamieniami, nożami i pobiciami. W tym samym czasie pojawiały się informacje o represjach wobec homoseksualistów, bahaitów i Kurdów. Simone de Beauvoir publicznie stanęła po stronie irańskich kobiet.

Wtedy zaczęła się również brutalna polemika z samym Foucaultem. Claudie i Jacques Broyelle opublikowali tekst zatytułowany „O czym śnią filozofowie?”, świadomie parodiując jego wcześniejszy esej „O czym śnią Irańczycy?”. Zarzucali mu, że zachwycał się „duchowością polityczną”, która właśnie zaczyna „dyscyplinować i karać”: zasłaniać dziewczynki, bić kobiety i organizować społeczeństwo według religijnego nadzoru.

Foucault praktycznie nie odpowiedział. Oświadczył jedynie, że nie uczestniczy w polemikach. Ta historia ciągnęła się za nim do końca życia, a zmarł na AIDS w 1984 roku. Wielu późniejszych obrońców próbowało traktować teksty o Iranie jak niewygodny margines jego twórczości, intelektualny wypadek przy pracy. Problem polega na tym, że sam Foucault uważałby taki zabieg za intelektualnie nieuczciwy. W słynnym esej „Kim jest autor?” pisał przecież, że tworzymy sztuczną jednostkę myśliciela wtedy, gdy jedne teksty uznajemy za „prawdziwe”, a inne wyrzucamy poza nawias jako błędne czy niepasujące do legendy autora.

Dlatego epizod irański jest tak ważny. Nie jako plotka o kompromitacji wielkiego filozofa, lecz jako ostrzeżenie. Foucault stał się jednym z najbardziej wyrafinowanych przykładów pokusy, która wraca regularnie od dekad: pragnienia, by każdy ruch antyimperialny albo antyzachodni automatycznie uznać za emancypacyjny. Historia Iranu pokazała, że bunt przeciw opresji nie zawsze prowadzi do wolności. Czasem prowadzi do nowej formy dyscypli-

ny wyposażonej nie tylko w państwo, lecz także w religijny absolut.

POMYŁKA CZŁOWIEKA INTELIGENTNEGO

W 2026 roku ta historia wraca nie jako akademicka ciekawostka, ale jako ostrzeżenie na czas wojny. Iran znów znajduje się w centrum światowego konfliktu. Stany Zjednoczone weszły z nim w fazę otwartej konfrontacji militarnej, przerwanej właśnie kruchym porozumieniem, które nie rozwiązuje ani sporu o program nuklearny, ani kwestii bezpieczeństwa w Zatoce Perskiej.

I właśnie dlatego Foucault jest dziś tak niepokojąco aktualny. Nie dlatego, że miał rację. Raczej dlatego, że jego pomyłka była pomyłką człowieka wybitnie inteligentnego. Zobaczył energię buntu, ale za słabo widział przyszłą przemoc. Zrozumiał, że islam polityczny stanie się siłą zdolną przesuwać historię, ale nie chciał dostrzec, jak szybko taka siła może zacząć dyscyplinować kobiety, mniejszości, język i codzienność.

Dzisiejszy Iran jest odpowiedzią historii na tamtą fascynację: państwem, w którym rewolucyjna „duchowość” dawno zamieniła się w aparat kontroli, więzienia i brutalne tłumienie protestów. Represje po ruchu „Kobieta, życie, wolność” pokazały, jak bardzo ciało kobiety pozostało polem walki między społeczeństwem a republiką islamską.

Ale z tej historii nie wynika prosty komfort dla Zachodu. Amerykański konflikt z Iranem także nie jest czystą opowieścią o wolności przeciw tyranii. W tym sensie Foucault nadal czegoś nas uczy: każe pytać, jakimi językami władza tłumaczy własną przemoc, zanim nazwie ją koniecznością.

Nie wolno romantyzować ani rewolucji, ani imperium. Nie każdy bunt przeciw Zachodowi jest emancypacją. Nie każda interwencja Zachodu jest obroną wolności. Iran po 1979 roku pokazuje, jak łatwo antyimperialna nadzieja może stać się religijnym państwem dyscypliny. Dzisiejsza polityka mocarstw pokazuje z kolei, jak łatwo język bezpieczeństwa może zasłonić logikę siły.

Może dlatego irański epizod Foucaulta jest dziś bardziej przestrogą niż kompromitacją. Najgroźniejsze błędy intelektualistów rzadko biorą się z głupoty. Częściej z pragnienia, żeby w historii wreszcie wydarzyło się coś czystego: bunt bez przemocy przyszłego państwa, religia bez opresji, Zachód bez imperializmu, wojna bez ceny płaconej przez zwykłych ludzi.

Iran odbiera nam ten luksus. Pokazuje, że historia nie daje czystych figur. Daje raczej splątane siły, które trzeba rozumieć bez zachwyty i bez cynizmu.

I może właśnie tu, prawie pół wieku po podróży Foucaulta do Teheranu, leży najważniejsza lekcja. Trzeba umieć patrzeć jednocześnie na opresję republiki islamskiej i na przemoc polityki siły. Na odwagę irańskich kobiet i na interesy mocarstw. Na bunt, zanim stanie się państwem, i na państwo, zanim nazwie własną przemoc obroną porządku. Dopiero wtedy można uniknąć błędu, który popełnił Foucault: zachwyty nad energią historii, zanim zapyta się, co ta historia za chwilę zmusi do milczenia. ●

Korzystałem z: Afary J., Anderson K.B., „Foucault and the Iranian Revolution: Gender and the Seductions of Islamism”, University of Chicago Press”, Chicago 2005, Erison D., „Michel Foucault. Biografia”, Wydawnictwo KR, Warszawa 2005; teksty Michela Foucaulta tłumaczone na angielski z „Corriere della Sera” i „Le Nouvel Observateur”, wykład „Qu'est-ce qu'un auteur? (Kim jest autor?)”, wygłoszony w Société française de philosophie, 1969, a także: Atoussa H., „Une lettre ouverte à Michel Foucault”, „Le Nouvel Observateur”, listopad 1978, Rodinson M., „L'Égypte de Nasser et l'Iran de Khomeiny”, „Le Monde”, grudzień 1978, Broyelle C., Broyelle J., „De quoi rêvent les philosophes?”, „Le Matin”, marzec 1979.

Jasne strony dziejów

Gombrowicz nie dał dyla!

Jeśli kogoś obwiniać za wyjazd autora „Ferdydurke” z Polski tuż przed wybuchem wojny, to Jerzego Giedroycia.



W interesującym wywiadzie Doroty Wodeckiej z Radosławem Sikorskim, pełnym anegdot i inspirujących myśli, znalazło się zdanie, które troszkę zgrzytnęło. W wątku dotyczącym powinności obrony ojczyzny Sikorski mianowicie stwierdził, że „nie każdy jest Gombrowiczem, który też dał dyla, ale się przynajmniej tego wstydził”. Sprawdzmy, czy rzeczywiście „dał dyla” i czy się wstydził. Transatlantyk „Chrobry” wypłynął z Gdyni 29 lipca 1939 roku – ponad miesiąc przed atakiem Niemiec. Gombrowicz znalazł się na pokładzie trochę przypadkiem, bo w ostatniej chwili dostał propozycję udziału w tym rejsie. Wyszła od Jerzego Giedroycia, wówczas pracującego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Gombrowicz wraz z drugim literatem – Czesławem Straszewiczem byli oficjalnie gośćmi ministra. Jeśli więc ktoś formalnie odpowiada za nieobecność Gombrowicza latem 1939 roku w Polsce, to minister rządu tejże Polski.

Ba, pisarz, wchodził na pokład – tak jak inni pasażerowie – w przekonaniu, że wróci nad Wisłę i gdyby w drugiej połowie sierpnia wypadki nie nabrały dramatycznego obrotu spraw – najpewniej tak by było. I jeśli Gombrowicz porównywany był, czy stawiany w jednym z szeregu z Witkacym i Bruno Schulzem, to wiemy, że żaden z nich wojny nie przeżył.

W chwili podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow pisarz był wciąż na statku, ale dwa dni później, gdy „Chrobry” popłynął najpierw do Brazylii a po kilku tygodniach w kierunku Wielkiej Brytanii (ale już, co oczywiste, nie do Polski), Gombrowicz pozostał w Argentynie. Na ponad dwadzieścia lat. Decyzja o pozostaniu w Ameryce Południowej została więc podjęta jeszcze przed wybuchem wojny.

Jak tłumaczył – „nie była to żadna dezercja, gdyż Polska, tak czy owak, była już niedostępna”. 35-letni Gombrowicz jednak zgłosił się do poselstwa polskiego w Buenos Aires po zejściu na ląd, więc zrobił to, co jako obywatel winien zrobić. Zaś gdy na obczyźnie formowało się wojsko polskie, stanął przed komisją poborową, która go odrzuciła. Czy można nazwać to „daniem dyla”? Można też mieć pewne wątpliwości co do tego, czy Gombrowicz wstydził się sytuacji, w ja-

kiej się znalazł. „Byłem wstrząśnięty, zdruzgotany, ale i szczęśliwy, że jakimś cudem znajduję się za oceanem” – wspominał. Jak sam potem dodawał, w „Transatlantyku” przedstawił się jako dezter, bo jak uważał, w sensie duchowym nim był, choć przecież pod względem formalnym nic mu zarzucić nie można było. Gdy wojna skazała go na emigrację – poczuł coś w rodzaju ulgi. Oczywiście trzeba pamiętać, że stale prowokował i drażnił się, dlatego przyprowadził sobie gębę deztertera.

Kto zna twórczość Gombrowicza, wie też, że wstyd nie był jej cechą najważniejszą. Od lat uczymy się o tym w szkołach – chyba tylko z przerwą na okres, gdy, zaprzyjaźniony z Sikorskim, minister edukacji narodowej Roman Giertych czytał starania o usunięcie książek tegoż pisarza z listy lektur.

Bez wątplenia jednak trzeba by się zgodzić (gdyby Radosław Sikorski wygłosił takie zdanie), że gdyby autor „Ferdydurke” bardzo chciał – na front by trafił. Nie chciał. Ale przecież trudno mieć wątpliwości, że więcej pożytku Polska miała z Gombrowicza w Argentynie, a potem w Europie, niż gdyby został on w Polsce albo potem trafił do Armii Andersa.

Nie mam też wątpliwości, że więcej pożytku Radosław Sikorski przysporzył swojej ojczyźnie, prosząc – zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce – o azyl w Wielkiej Brytanii. Gdyby został nad Wisłą, może rozrzucalby w Bydgoszczy ulotki, może zostałby aresztowany, pewnie byłby jednym z tysięcy dzielnych i oddanych sprawie działaczy solidarnościowego podziemia. Ale czy zyskałby wiedzę, doświadczenie, znajomość języka i międzynarodowe znajomości, które zdyskontował z korzyścią dla Polski w III RP? Tego nie wiem.

Pewnie nie zgodziłby się ze mną Adam Michnik, który w 1984 roku odmówił nawet wyjścia z celi, gdy miał propozycję wyjazdu za granicę. Uważał, że jego miejsce jest w Polsce, bo tu toczy się walka o przyszłość kraju i narodu. No ale nie każdy urodził się Adamem Michnikiem. Za to jak sądzę, każdy przypadek należy rozpatrywać osobno.

Radosław Sikorski komentarz wygłosił, mówiąc pewnym niemądrym Ukraińcu, który zamiast strzelać sobie idiotyczne fotki nad Morskim Okiem, winien, zdaniem polskiego ministra, walczyć za ojczyznę. To osobny spór – ja tylko upominam się o pamięć o pisarzu, jednej z najwspanialszych postaci naszej emigracji. Tej emigracji, na której komuniści tak chętnie wieszali psy i do której przez kilka lat należał sam Sikorski. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

Brzeziecki

PO PIERWSZE, AMERYKA!



W sprzedaży

KUP TERAZ



140
stron

Do kupienia w punktach sprzedaży prasy
oraz na sklep.polityka.pl,
gdzie dostępne jest także **wydanie audio**.
Podkast POLITYKA o historii
– polityka.pl/podkasty
Newsletter historyczny
– polityka.pl/newslettery

Na sklep.polityka.pl
znajdziesz ponad
60 tytułów z serii
Pomocnik Historyczny
m.in.:



weekendówka

MUMINKÓWKA

Podobnież wszystko zaczęło się od niej – Einara Hammarstena, szwedzkiego lekarza, profesora farmacji i chemii cenionego Instytutu Karolinska w Sölne. Oprócz niewątpliwych zasług, jakie położył w dziedzinie medycyny czy chemii (był nawet nominowany do Nagrody Nobla) zawdzięczamy mu... Muminki. Otóż aby odpędzić lakomą siostrzenicę od spiżarni, opowiedział jej, że zamieszkuje ją tajemnicza istota, Muminek (Moomintroll), i jeśli dziewczynka będzie dalej zakradać się tam po smakołyki, będzie miała z tym stworem przepawę.

Dziewczynka, jak łatwo odgadnąć, nazywała się Tove Jansson, i jakiś czas później zasłynęła jako autorka jednych z najsławniejszych książek dla dzieci. Co ja mówię, nie tylko dla dzieci są one!

Inna formatywna opowieść o sławnych bohaterach dotyczy pierwszego ich wizerunku. Tove Jansson narysowała go na drzwiach drewnianej toalety w rodzinnym domku letniskowym. Ponoć chwilę wcześniej posprzeczowała się z bratem w kwestiach filozoficznych, nie umiała zbić argumentu dotyczącego Immanuela Kanta, więc narysowała najbrzydszego stworzaka, jakiego mogła sobie wyobrazić i podpisała go „Kant”.

To oczywiście nie był jeszcze Muminek. Ten ze ściany był chudy i paskudny, za to miał wydatny nos.

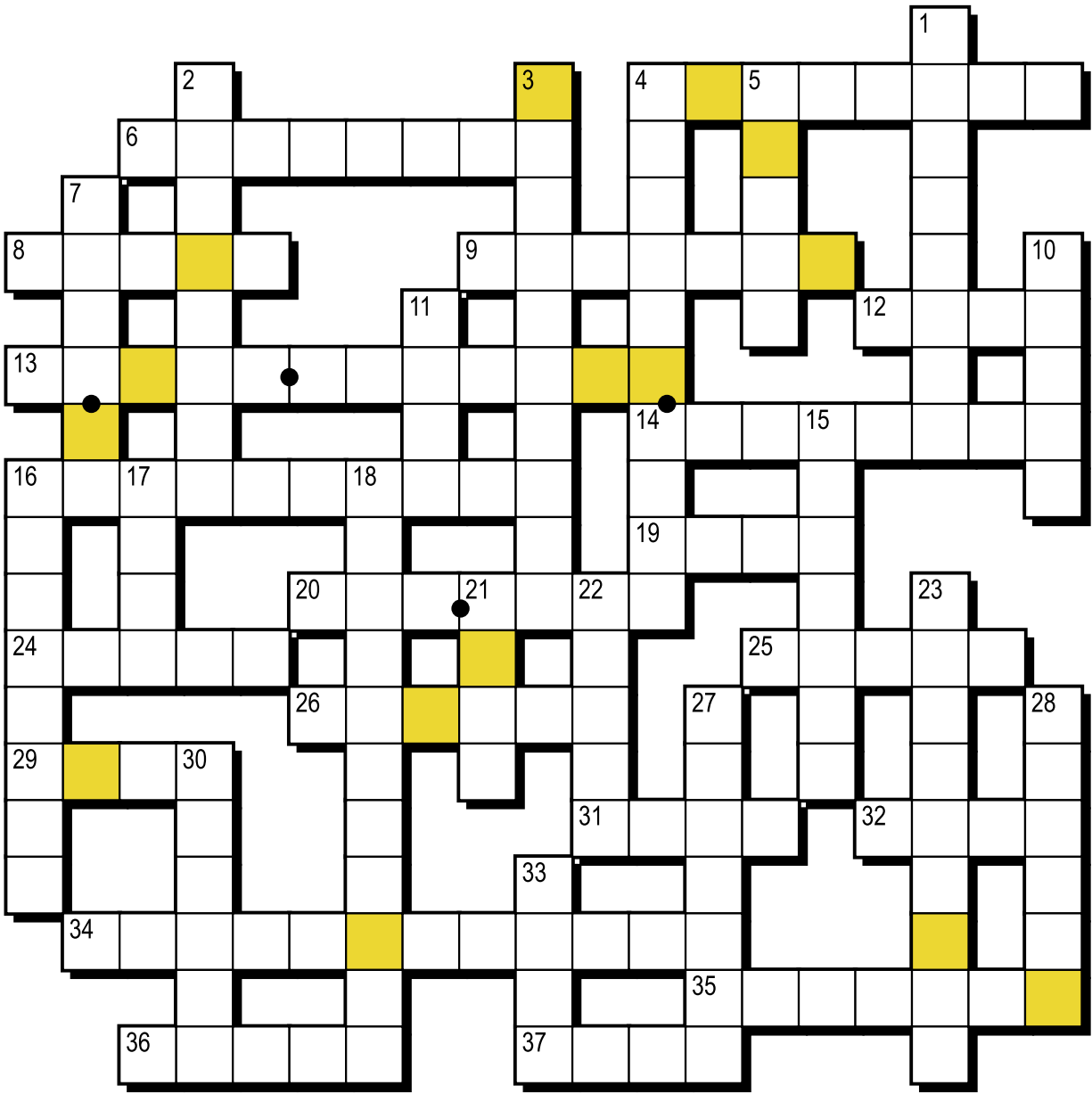
Muminki na kartach powieści, już takie prawilne, zadebiutowały w 1945 roku, w powieści „Małe trolle i duża powódź”, w której Mama Muminka wraz z Muminkiem poszukiwali Tatusia. Ten zagubił się podczas wędrówki z Hatifnatami, ale wyprawa kończy się sukcesem, a do rodziny dołącza zabawne stworzonko, które później, już w książkach z serii o Muminkach, stanie się Ryjkiem.

Wiemy już o roli wujka Tove Jansson, ale inne postaci z życia pisarki też odcisnęły na Muminkach swe piętno.

Pierwowzorem Too-tiki była Tuulikki Pietilä, wieloletnia partnerka Jansson. Topik i Topcia są odbiciem sekretne go romansu pisarki z Vivicą Bandler, reżyserką teatralną (jej ojciec był burmistrzem Helsinek) – nazywają się w oryginale Tofslan i Vifslan, co nawiązuje do imion kobiet. Jeszcze więcej w sadze „namieszał” były narzeczony Jansson, Atos Wirtanen. Lewicowy dziennikarz i polityk był przede wszystkim inspiracją dla postaci Włóczyki. Niektórzy dopatrują się też podobieństw z Piżmowcem – zrędlwym filozofem i przyjacielem Paszczaka, krąży też opowieść, że charakterystyczny sweter w paski, który nosiła Mała Mi, swego czasu Jansson zrobiła dla swego partnera.

Chodzimy sobie tymi tropami bowiem dziś przypada 25. rocznica śmierci Tove Jansson, która zmarła 27 czerwca 2001 roku w Helsinkach. I zapraszamy do „Weekendówki” o Muminkach. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



MUMINKI
Liter w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) pani Jansson koledzy po fachu
6) często pijana w domu Muminków (zdrobniale)
8) sąsiadka Filifionki rozmiłowana w dobrych manierach
9) rodacy autorki przygód Muminków
12) stworzenie przynoszące ze sobą chłód
13) ma jasną grzywkę i uwielbia biżuterię
14) zwykle zapracowany albo oddany swojemu hobby, ma zapędy kolekcjonerskie

- 16) mają obsesję na punkcie czystości
19) niewidzialne dziecko, które w domu Muminków odzyskało swój wygląd
20) nosi pasiastą koszulkę i kapelusik z pomponem
24) Muminek lub Tatus Muminka
25) ... domu Muminków – walcowata
26) wielodzietna mama m.in. 7 pionowo i 23 pionowo
29) „... Muminków”, książeczka, w której Muminek poznaje śnieg
31) imię woźnej z teatru
32) element garderoby 23 pionowo
34) kształtem przypominają skarpetki, wędrują w stadach
35) Mama Muminka, Tatus Muminka i Muminek
36) imię Szuch-Wyszomirskiej,

- tłumaczki przygód Muminków na język polski
37) imię twórczyni świata Muminków
- Pionowo:
1) element garderoby 23 pionowo
2) miasto, w którym urodziła się i zmarła autorka Muminków
3) pisane przez Tatusia Muminka
4) przyniosła mroźną aurę do Doliny Muminków
5) Topcia i ..., ukradły Buce Królewski Rubin
7) bywa złośliwa, zwykle mówi to, co myśli
10) filmy animowane lub opowieści o baśniowych istotach
11) długi i cieniutki u Ryjka
15) książeczka z opowiadaniem albo wierszami (zdrobniale)

- 16) wyobraźnia
17) zima wasza, wiosna nasza, a ... Muminków
18) krótkie formy literackie („... z Doliny Muminków”)
21) instrument, na którym grywał Paszczak z „Zimy Muminków”
22) dalekie ..., odwiedzone w młodości przez Tatusia Muminka
23) grywał na harmonijce, jesienią zwykł opuszczać Dolinę Muminków
27) fińskie miasto z Muzeum Muminków
28) „Kometa nad ... Muminków” (w mianowniku)
30) Ryjek to wielki ... błyskotek
33) Homek ..., nieśmiały i spokojny

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 210 z 20.06:

- Poziomo: 6) wodoloty 8) kanadyjka 11) Rojek 12) tratwa 14) skutery 16) góry 17) Śniardwy 18) dziób 20) akrobacje 22) fale 23) nur 25) regatowcy 27) Bob 31) luz 32) Kalifornijczycy 33) rock 35) surfer 37) asy 38) sieci 39) dziecko 40) żagle 41) kitesurfing
Pionowo: 1) motorówka 2) rowery wodne 3) Rafa 4) kajak 5) narty 7) Titanic 9) James Bond 10) Hawaje 13) wodniacy 14) Sydney 15) ubiór 19) bermudy 21) aquapark 24) poliestr 25) rozbrzygi 26) chojrak 27) boja 28) brzegi 29) plaża 30) śnieg 34) cadet 36) oceany 38) stery 40) Opty
Hasło: MOKRE REKREACJE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34426992

Słowno

Wybierz słowo,
sprawdź litery
i kombinuj, aż
skończą Ci się próby

Literówka

Kilka liter i jedno
zadanie: ułożyć
jak najwięcej
słów

Jeszcze więcej
rozrywki w Aplikacji
Wyborczej

Szukaj w aplikacji



Zakreślanka

Skojarzenia

wysokie**obcasy**

wyborcza

10 / Katarzyna Kochmańska

O opiece
nad starymi
rodzicami

24 / Podróże

Zobaczyć
zaćmienie
słońca

MARTA
GALEWSKA-KUSTRA

Nie tylko o Puciu

– rozmowa Agnieszki Urazińskiej

To nie jest kraj dla starych ludzi

PAULINA
REITER



Tekst, który napisała dla „Wysokich Obcasów” Katarzyna Kochmańska, pisarka, o opiece nad swoimi rodzicami, która w nagły i przerażający sposób spadła na nią, i o próbie naklonienia polskiego systemu ochrony zdrowia, by objął opieką tych starych, nieradzących sobie z życiem ludzi, był znacznie dłuższy. Musiałam nakłonić autorkę do skrótu i zrobiłam to z bólem serca, bo każde zdanie tej opowieści wydawało mi się niesłychanie ważne, ale wszystkie były nie do pomieszczenia na łamach tygodnika. Liczę na to, że Kochmańska napisze o tym doświadczeniu książkę, która stanie się zarzewiem rewolucji w sprawie opieki w wieku starym, bo wielu z nas już opiekuje się rodzicami lub ich to czeka, a kiedyś – jedni wcześniej, drudzy później – sami będziemy starzy.

To, co wypadło z tekstu, to między innymi wpisy Katarzyny Kochmańskiej, które umieszczała na Facebooku dla grona swoich znajomych. Czytałam je i w moim ciele narastało straszne napięcie, jakbym oglądała horror. Odsłaniały dramat kobiety, która nagle znajduje się w sytuacji, w której ma ratować życie swoich rodziców, kompletnie odkładając swoje życie na półkę – bo opieka nad rodzicami jest zajęciem całkowicie pochłaniającym, czasochłonnym i w dodatku drenującym emocjonalnie. Kobieta ta podejmuje więc walkę o to, co powinno się rodzicom od państwa należeć.

Kochmańska pisze, jak jest: polskie państwo nie opiekuje/ nie interesuje się starymi ludźmi. Poprosiłam ją o tekst dla „Wysokich Obcasów”, bo czuję, że ta sprawa wymaga omówienia publicznego. Czy oczekiwanie, że państwo zajmie się swoimi starymi obywatelami, jest roszczeniowe? Jest fanaberią? Nie – umówiliśmy się na wspólnotę. Gdzie ona jest, gdy jej potrzebujemy najbardziej? W tym kraju można dostać demencji i żaden lekarz palcem nie kiwnie?

To, co Kochmańska bezbłędnie punktuje, to założenie, że państwo nie musi nic robić, bo kobiety oblecą tę pracę i tak. Zajmą się swoimi rodzicami, zdejmą z państwa to obciążenie. Kochmańska ujawnia głęboki patriarchy, jaki stoi za tym założeniem – ciągle mamy być służącymi, opiekunkami, wykonać tę czarną robotę i zrobić to z miłością i oddaniem. Te z nas, które stać, by ktoś je zastąpił, wynajmą inne kobiety, najczęściej z Ukrainy.

Strach pomyśleć, co stałoby się, gdyby te wszystkie kobiety się zbuntowały. Odmówiły tej pracy. Gdyby powiedziały: mamy prawo oczekiwać, że państwo zadba o obywateli, którzy je budowali i już nie mają siły i zdrowia.

Zacznijmy od przerywania milczenia. Zacznijmy tę dyskusję. ▲

Jeśli ta sprawa cię dotyka, napisz do nas: listy@wysokieobcasy.pl

Paulina Reiter – redaktorka prowadząca



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

- **NA OKŁADCE:** Charlize Theron: Szczęśliwa w pojedynkę ■ **TEMAT NUMERU:** Zdrowie to nowy luksus
- **TWARZE:** • Nicholas Galitzine: Symbol nowej męskości • Joanna Żółkowska: Nigdy nie wyszłam za mąż • Zendaya: Cztery premiery i życie • Paulina Gałązka: Angażuje się w całości ■ **HERSTORIE.** Niewidzialne służące z Zamku Książ • Aneta Szczepańska: Życie według zasad judo ■ **PSYCHOLOGIA:** • Seks: Waniliowa czułość • Urlop bez planu • Śluby: Dlaczego odnawiamy przysięgę ■ **ZDROWIE:** Menopauza i jej 101 objawów

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



wysokieobcasy.pl



listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Paulina Reiter

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFIKI:
Katarzyna Trzeczczkowska,
Agata Luszczyk, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloń
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CIA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stozek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronie 28 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 26 (1397)
NA OKŁADCE:
MARTA GALEWSKA-KUSTRA
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL





e-mail: listy@wysokieobcasy.pl
 adres: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
 telefon: 22 555 43 26

LISTY / 3

LIST TYGODNIA

Gdzie się podział seks

Jesteśmy trzy lata po ślubie i mamy dwoje dzieci. Usłyszałam ostatnio od męża, że przestaliśmy być parą kochanków, a staliśmy się jedynie rodzicami. Nie powiedział tego w złości, bardziej z tęsknotą w głosie, za czasami, kiedy byliśmy tylko dla siebie. Sama wspominam ten czas z ogromnym sentymentem. Było nam ze sobą świetnie.

Zastanawiałam się nad tym, co powiedział, i muszę przyznać, że ma rację. Nasza córeczka ma niecałe dwa lata, a synek pół roku. Są bardzo absorbujący, a ja poświęcam im każdą wolną chwilę. Ostatnio udało mi się doprowadzić do sytuacji, że oboje mają drzemkę w zbliżonych porach i to jest jedyna chwila na ogarnięcie siebie, domu, wrzucenie prania i zresetowanie umysłu, słuchając jakiegoś audiobooka. Wszystkie opowieści o cudownym macierzyństwie nijak mają się do mojej rzeczywistości.

Jestem do opieki nad dziećmi sama, mąż pomaga, kiedy wraca z pracy. Moi rodzice mieszkają daleko, więc wpadają bardzo rzadko, a do tego nadal są aktywni zawodowo, więc nie mają czasu, by nam pomagać. Rodzice męża już nie żyją. Próbowałam opiekunek, ale albo miałam pecha, albo jestem zbyt czepialska i nie potrafię zostawić dziecka z obcą osobą.

Nasze dzieci nie były wypadką. Mój mąż jest znacznie ode mnie starszy. Wiedział, że chce mieć dzieci, więc zgodził się na jedno

po drugim. Wiem, że mnie kocha i robi dla mnie wiele. Dzieci też już nie chciał mieć, bo te z pierwszego związku są już na swoim. Wracanie do pieluch i nocnego wstawania po tylu latach było dla niego poświęceniem.

Po tym, jak powiedział, że przestaliśmy być kochankami, przygotowałam kolację, ubrałam seksowną bieliznę, ale mieliśmy dla siebie niecałą godzinę. Synek obudził się na karmienie, później rozbudziła się córeczka i wszystko skończyło się na obietnicach. W końcu zasnęliśmy w czwórce w naszym łóżku.

Kocham męża i on o tym wie, ale teraz przede wszystkim jestem mamą. Spełniam się w tym i nie zamierzam tego zmieniać. Pocięłam siebie, ale także męża, że jeszcze rok, półtora i już będzie lepiej. Boję się jednak, że po tym czasie zostaniemy już wyłącznie rodzicami, a bycie kochankami pozostanie wspomnieniem. Co zrobić, żeby tak się nie stało? **▲ Czytelniczka**

Odpowiedź ekspertki na WYSOKIEOBCASY.PL

NAGRODY

Autorka listu otrzyma zestaw kosmetyków BANDI GOLD PHILOSOPHY oraz książkę „Połów. Czyli jak wyhaczyć przyjaciółkę” Asako Yuzuki, Wydawnictwo Literackie



OGŁOSZENIE

Teatr 6. piętro

Bess Wohl

WSPANIAŁE HORYZONTY

reżyseria Rafał Szumski

Mecenas: superpolisa Partner Technologiczny: Partner Prawny: Partner Marketingowy: Partnerzy: Partnerzy Medialni:

eprasa.pl be6e41681f

MARTA GALEWSKA-KUSTRA

Pucio i miliony *złotych*

Kiedy się zabierałam za „Pucia”, kompletnie nie myślałam o pieniądzach. Przecież w Polsce nie zarabia się na książkach – tak uważałam

A portrait of Dr. N. Hum. Marta Galewska-Kustra, a woman with wavy brown hair and glasses, wearing a dark blue button-down shirt and white pants. She is standing outdoors with trees in the background. The text is positioned in the upper right corner of the image.**DR N. HUM. MARTA
GALEWSKA-KUSTRA**

mama, logopedka i pedagożka
dziecięca, pedagożka twórczości,
pisarka. Wieloletnia pracowniczka
naukowa Akademii Pedagogiki
Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej
w Warszawie. Autorka bestsellerowych
książek o Puciu.

Z MARTĄ GALEWSKĄ-KUSTRĄ
ROZMAWIA AGNIESZKA URAZIŃSKA
ZDJĘCIE MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL

n

Nie masz dość „Pucia”?

Nie. Co to za pytanie?

Jest wszędzie – w milionach dziecięcych pokoi, w księgarniach i drogeriach spada z półek.

Wciąż nie mam go dość. Nie tylko ja, na szczęście.

Pucio jest starszy od twojego syna.

Ale jemu „Pucio” też się przydał, gdy miał problemy z mową. Ustalmy, że mama nie jest od tego, żeby była logopedką własnego syna, mama służy do zupełnie innych celów. Ale ćwiczyliśmy, nawet na wakacjach. On do tej pory pamięta, że nauczyłam go mówić „r”. Ale jeśli nie syn jest pierwowzorem Pucia, to pewnie chciałabyś wiedzieć, kto.

Oczywiście.

Był w moim gabinecie dwuletni chłopiec, który nie mówił. Pochodził z dwujęzycznej rodziny. Był niesamowicie ujmującym dzieckiem, otwartym na wszystko, co mu proponowałam, i miał w sobie ogromną ciekawość świata. Pamiętam, jak postawiłam przed nim pudełko. To był element ćwiczeń, dzieci lubią takie niespodzianki. On je otworzył, a chociaż brakowało mu słów, jego „oooo” tak wiele mówiło. Tak, trochę jego miałam na myśli, pisząc o Puciu. Ale także wiele dzieci, która spotykałam w swojej pracy, a które potrzebowały pomocy.

Tamten chłopiec nie miał czerwonego nosa?

Pomidorowe noski bohaterów to już był pomysł Asi Klos, ilustratorki. Ja sobie wymyśliłam, że Pucio będzie rudym piegusem, takim zawadiackim chłopcem.

A krytycy – bo i takich masz – wyrzucają ci, że jest „idealnym dzieckiem klasy średniej”. Ugrzecznonym.

Ja spotykam się z przedstawicielami klasy średniej i nie wydaje mi się, żeby ona oczekiwała dzieci grzecznych. Widzę natomiast ogromny zwrot w stronę dzieci – ich problemów, potrzeb, oczekiwań. To coś zupełnie innego niż pamiętam z lat 80., kiedy sama byłam dzieckiem. Myśmy się wychowywali trochę obok rodziców.

Jakby mniej ważni?

Na pewno żaden dorosły nie był na dziecku tak skupiony jak teraz. Nie zajmowano się tak naszymi emocjami. Nie szafowano wyrazami miłości w stronę dziecka, co nie znaczy, że jej nie było. Myślę, że te braki moje pokolenie odrabia w roli rodzica. Ale kiedy zaczynam mówić o dzieciństwie, przypo-

minam sobie też, jak dużo miałam wtedy swobody, dziś nie-spotykanej, a dla mnie wtedy tak oczywistej. Nie był to jakiś przemysłany styl wychowawczy – taki był wtedy świat. Moim najwspanialszym doświadczeniem z dzieciństwa i wczesnej adolescencji były wakacje z babcią, na wsi nad Pilicą, takiej, wiesz, prawdziwej.

Z myciem w misce i toaletą na podwórku?

Tak! W tym wychodku były pająki, których trochę się bałam. Wakacje z tamtych lat to był najwspanialszy czas. Co roku pod koniec czerwca na wieś zjeżdżały te same dzieciaki, z Łodzi, Tomaszowa. Biegaliśmy całą bandą po lasach, kąpaliśmy się w rzece, nikt nas nie pilnował. Wracalam na obiad i biegłam dalej. To było nasze Bullerbyn. Mam wrażenie, że w latach 80. to było dzieciństwo z wyzwaniem.

Bo mniej nas pilnowali?

Samodzielności było więcej. Nie pamiętam, żeby rodzice nadmiernie przejmowali się lekcjami dzieci. Ale nie pamiętam też, żeby mnie chwalili. Jako dorosła zapytałam ukochaną babcię: „Czemu ty mnie nigdy nie pochwaliłaś?”. Bo słyszałam tylko, jak porównywała mnie do koleżanek, stawiała mi kogoś za wzór. Ona bardzo to pytanie przeżywała. Przecież nie chciała zaszkodzić. Tak się wtedy traktowało dzieci.

Chwalisz swego syna?

Gdy mi pokazuje efekty swojej pracy, nie mówię tylko: „Wow, super”, ale także: „Musiałeś się przy tym napracować”, „Opowiedz, jak to zrobiłeś”. Dbam, żeby miał jak najlepsze zdanie o sobie. Chwalę i mówię, że jestem z niego dumna. Staram się też pilnować tego, jak przy nim mówię o sobie. Różnice w traktowaniu dzieci kiedyś i dziś dostrzegam szczególnie jako matka. Syna urodziłam późno, gdy skończyłam 40 lat. To było macierzyństwo wyczekane. Ja przeżywam jego dzieciństwo, trochę jakbym pod lupą obserwowała obok własne. Czasami słyszę, co mówią do syna dorośli z pokolenia moich rodziców. Oni nie chcą źle. Ale gdy wspominałam, że świetnie radzi sobie z pływaniem, usłyszałam: „To jeszcze daleka droga”. Nie jestem zwolenniczką przekonywania dziecka, że może osiągnąć absolutnie wszystko, co zechce. Świat jest bardziej złożony. Ale wiem, jak trudno było się wyzwolić z tego mentalu lat 80., który sprowadzał się do „nie podskakuj”, „nie wychylaj się”. Do uczenia, że skromność to cnota nad cnotami. Ile mi czasu zajęło, żeby sobie z tym poradzić. Do tej pory miewam problem, żeby wyjść z kąta. Nauczyłam się siebie do tego zmuszać.

Ty? Dziewczyna, która sprzedała ponad sześć milionów książeczek i produktów z Puciem? Która pod względem zarobków stoi na pudle obok Remigiusza Mroza?

Ja, Łodzianka, dziewczyna z bałuckich bloków, która wciąż ma problem z głośnym powiedzeniem, że osiągnęła sukces i się z tego cieszy. I, żebyś mnie dobrze zrozumiała, to nie jest kwestia tego, że mnie rodzice wychowali jakoś wyjątkowo, bo to nie kwestia rodzinna, tylko raczej społeczna. Dorastałam w czasach dogorywającego socjalizmu, chodziliśmy w podobnych butach, a do szkoły w fartuszkach. Mówienie o sobie dobrze to było przechwalanie się. Wybijanie się z grupy nie było dobrze widziane. A pod względem pieniędzy to już w ogóle – bo to albo cwaniak, albo badylarz.

Czyli jak ci ktoś teraz gratuluje i się zachwycza, to...?

To trochę, jakby mi się nie należało. Pamiętam moją obronę doktoratu z pedagogiki twórczości na Uniwersytecie Łódzkim. Robiłam badania w szkołach alternatywnych dotyczące wspierania rozwoju twórczości uczniów. Moja recenzentka, wspaniała profesor Beata Przyborowska, mówiła mi wprost, że to świetna praca. Ja na to, że bez przesady, nic takiego. A ona: „Pani Marto, proszę przestać tak mówić. Gdyby była pani mężczyzną, pewnie by pani odpowiedziała: »To prawda, dziękuję«, a pani cały czas zaprzecza”. Skromność może iść pod rękę z docenianiem siebie. Ale tak, jak mnie jej nauczone, nie idzie. Dopiero sama musiałam to wypracować, jeszcze nie skończyłam.

Byłaś prymuską?

Gdyby część moich nauczycieli ze szkoły podstawowej dowiedziała się, że zrobiłam doktorat, to pewnie byłiby zdumieni. Szkoła nie dawała mi odczuć, że jest we mnie duży potencjał, więc ja też go w sobie nie widziałam. Zresztą wartość ucznia w ówczesnej szkole mierzona była tylko stopniami. A ja byłam wtedy przeciętną uczennicą. Pamiętam, że prawdziwy oddech łapałam na zajęciach z języka polskiego, rosyjskiego, chóru szkolnego, w świetlicy, harcerstwie, gdzie czułam się po prostu wolna. Uwielbiałam też chodzić do biblioteki szkolnej. Ja załapałam się jeszcze na szkołę, w której były kary cielesne. Gdy teraz o tym z kimś rozmawiam, to się wydaje po prostu nieopięte.

Kiepskie masz chyba zdanie o szkole.

No właśnie przeciwnie. Szczególnie że w czasie robienia badań do doktoratu widziałam, jak wspaniałym miejscem może być szkoła. Patrzę na swoje życie z lotu ptaka i dochodzę do wniosku, że wszystko, co w życiu osiągnęłam, zawdzięczam edukacji. Bo to jedyna szansa dla osób, które nie wychodzą z domu z wielkimi zasobami społecznymi czy finansowymi – jak ja. Większość ludzi z mojego pokolenia to osoby bez tych zasobów. Nie miałam szerokich horyzontów, nie pochodzę z zamożnej rodziny, a szkoła podstawowa nie dała mi wiary, że jestem zdolna do czegoś szczególnego. W liceum jeszcze trochę wagarowałam, miałam włosy ufarbowane na czarno, później na czerwono. Miałam czytać Sienkiewicza, a ja zamiast tego czytałam Gombrowicza. Buntowałam się. Ale spotkałam człowieka, który dmuchał mi w skrzydła. Prof. Katarzyna Galecka uczyła biologii i to był pierwszy nauczyciel, którego sobie wyobrażałam na wakacjach z rodziną, a nie jako młotek z teledysku Pink Floyd. Pokazała, że potrafię, tylko się muszę przyłożyć. To miało dla mnie wielkie znaczenie. Zakochałam się w nauce. Wybrałam pedagogikę. I tam już byłam nerdem skupionym na nauce. Koleżanka mi kiedyś powiedziała: „Myślałam, że ty jesteś kujonką, a teraz się zorientowałam, ciebie to chyba interesuje”.

Interesowało?

I to jak! Tym bardziej że znów mi dmuchali w żagle. Miałam na studiach wspaniałych wykładowców. Później, już

OGŁOSZENIE



PRENUMERATA
Z PŁATNOŚCIĄ
CYKLICZNĄ
CO WYDANIE
KAŻDY EGZEMPLARZ
ZA JEDYNE 18,90 ZŁ



ZAMAWIASZ RAZ, A MY DOSTARCZAMY KOLEJNE WYDANIA
ZESKANUJ I SPRAWDŹ

podczas pracy na uczelni, prof. Krzysztof Szmidt, mój pierwszy szef i promotor mojego doktoratu, wspaniały nauczyciel, który wierzył w ludzi, wysyłał nas, doktorantki, na konferencje, na głęboką wodę. Wszystko, co mam, zdarzyło się dzięki edukacji i mentorom.

Sobie też chyba trochę zawdzięczasz?

Chyba po babci ze strony mamy odziedziczyłam energię życiową. Ona miała bardzo trudne życie, jako bardzo młoda dziewczyna została wysłana ze wsi za chlebem do Łodzi, mieszkała u obcych ludzi, ciężko pracowała, uczyła się, pierwsza w rodzinie zrobiła maturę. Wydaje się, że trochę tego zapалу po mniej mam. No i to, co robię, to także dzięki temu napędowi wewnętrznemu, który czułam, który sprawił, że chciało mi się działać.

Czyli usiąść i napisać bestseller wart miliony?

Nawet ktoś do mnie napisał z pytaniem o radę, jak napisać książkę, na której można zarobić. A ja odpisałam, że nie wiem.

Nie wiesz?

Serio. Kiedy się zabierałam za „Pucia”, kompletnie nie myślałam o pieniądzach. Przecież w Polsce nie zarabia się na książkach – tak uważałam. W ogóle nie mogę sobie wyobrazić, że piszę książkę dla dzieci po to, żeby dobrze się sprzedała. Cieszę się, że mi to wyszło przy okazji.

Czyli jak konkretnie?

Pracowałam na uczelni, w Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie, dokąd dojeżdżałam kilka razy w tygodniu, a w Łodzi prowadziłam gabinet logopedyczny. Chciałam stworzyć materiały, które będą cieszyły dzieci i rodziców – książki metodycznie przygotowane, które będą materiałem do pracy z mową, ale także przyniosą ciekawą historię. Tak, żeby ćwiczenia stały się zabawą. Chciałam, żeby mobilizowały do interakcji z rodzicem, który czyta z dzieckiem. Cechą „Pucia” jest, że to nie tylko czytanie książki, ale rozmowa z dzieckiem.

Trochę jak instrukcja dla dorosłego, jak wspierać dziecko i się przy okazji bawić.

Książki mają trzon logopedyczny dostosowany do kolejnych etapów rozwoju dziecka – pierwsze samogłoski, sylaby, wyrazy dźwiękonaśladowcze, słowa, proste zdania, artykulacja, a w końcu narracja – „Pucio umie opowiadać”. Są też części skoncentrowane na konkretnym wyzwaniu rozwojowym nie dotyczącym mowy, jak „Pucio u lekarza”, „Pucio chce siusiu, czyli pożegnanie pieluszki”. W sumie kilkanaście książek, a do tego puzzle, zabawki, maskotki, a teraz także film i audiobooki. Kiedy szłam do wydawcy, miałam pomysł na serię. Bardzo ważne są tu ilustracje.



„PUCIA” stworzyły Marta Galewska-Kustra i ilustratorka Joanna Klos. Wyd. Nasza Księgarnia

Opowiesz o Joannie Klos?

W akademickiej księgarni w Warszawie kupowałam materiały do pracy w gabinecie logopedycznym. Zeszyty ćwiczeń nie miały nigdy ciekawych artystycznie ilustracji. Nagle, w zeszytach do głosek szumiących i syczących, znalazłam swoją ilustratorkę. Te rysunki były piękne. Wcale niełatwo było dotrzeć do Joasi, która pracowała w korporacji jako grafik. „Pucio” to nasze wspólne dzieło. Bez rysunków Joanny Klos nie byłoby sukcesu „Pucia”.

Trudno ci było przekonać „Naszą Księgarnię” do wydania książki debutantki?

Później się dowiedziałam, że rzadko wydają debutantów. Mój pomysł się spodobał.

Musisz być świetna w swoim fachu.

Byli lepsi. Widzisz, tu wcale nie chodzi o bycie najlepszym. Chodzi o pomysł i wiarę w niego. O dostrzeżenie jakiejś potrzeby. A potem upór w realizacji pomysłu. Zrobiłam też jedną rzecz zupełnie inaczej. Celowo zwróciłam się z pomysłem do wydawnictw literackich, a nie niszowych, terapeutycznych. Miałam też po prostu sporo szczęścia i umiałam je wykorzystać. Zobacz, ile teraz jest książek dla dzieci pisanych przez ekspertów. Trafiłam w czas pajdocentryzmu – gdy dorośli zauważyli, że potrzeby edukacyjne dzieci, ich rozwój są bardzo ważne. My po prostu bardziej niż kiedykolwiek szanujemy dzieci i ich emocje. Oczywiście mam świadomość, że żyję w pewnej bańce, ale takich świadomych rodziców jest coraz więcej. Dobrze im z tym, że czytając, robią z dzieckiem coś pożytecznego. Słowem – trafiłam w rynek.

No to kim jest dzisiaj Marta?

Marta to 47-letnia kobieta, mama, pedagożka, która nigdy nie spodziewała się, że uda jej się zająć tak daleko. Że poznam na tej drodze tak świetnych ludzi. Nie myślałam, że uda mi się stworzyć coś, co dotrze do tak wielu osób i im się spodoba. Że uda mi się zaproponować coś, co będzie ludziom służyło. A się udało.

Udało?

Tak, wiem. Raz napisał do mnie tata dziecka, z którym czytał „Pucia”, z prośbą, bym zwróciła uwagę na słowa. Bo Pucio mówi: „Tak, udało się”. „Czy mogłaby pani zamiast tego pisać: »Dalem radę«?” Byłam zachwycona, bo to znaczy, że rodzice zwracają uwagę na język, przecież to on buduje pewność siebie dzieci. Moje pokolenie się tej pewności uczy w dorosłości. Wyobraź sobie sytuację z kwietnia tego roku: jest premiera filmu „Pucio” w Kinotece. Proszą mnie, żebym stanęła na ścianie z Małgosią Sochą, która użyczyła głosu Mamie Pucia, i z Arturem Barcisiem, który wcielił się w Dziadka Kazia. Już sama ścianka to dla mnie wyzwanie – bo przecież co ja tam robię? A na dodatek Barciś. On jest wspaniały, to wielki artysta, którego bardzo szanuję. No i stoję przed nim, ja, bardzo dorosła kobieta, i mam

problem, żeby powstrzymać się przed dygnięciem. Onieśmielona, ze łzami wzruszenia w oczach.

Co było dalej?

Artur Barciś poprosił, żebym mu podpisała książki. Dla wnucząt.

Porozmawiajmy o pieniądzach.

Zaskakuje mnie, jak pieniądze przyciągają uwagę. Te wszystkie rankingi najlepiej zarabiających pisarzy. Ktoś w komentarzach pod takim rankingiem słusznie zauważył: „To policzcie sobie, ile pisarz zarabia na jednej książce. To jest skandal po prostu”. Ale tak, mój sukces ma też wymiar finansowy. Jestem pierwszym pokoleniem w rodzinie, które dobrze zarabia. Długą drogę przeszłam, żeby pozwolić sobie na finansowy luz. Na początku naszego bycia razem robiliśmy z mężem dokładne spisy skromnych zakupów. To były jeszcze czasy studiów. Ze stypendium naukowego finansowałam naukę języka angielskiego. Później zarobki na uczelni też nie były wysokie. Trzeba było się pilnować, ale dawaliśmy radę.

Teraz szalejesz?

Skąd. Wciąż boję się szastania pieniędzmi, bo czuję, że trzeba zabezpieczać tyły. Zbieram na artystyczną emeryturę i edukację syna. Ale doceniam, bardzo doceniam wolność wyboru, jaką dają pieniądze. I uczę syna, żeby zwracał uwagę na drobne radości. Pamiętam rozmowę przy śniadaniu,

gdy mówiłam: „Zobacz, jaka piękna jajecznicza. Ile mamy tu na stole kolorów, jakie warzywa, jaki wybór. I jemy całą rodziną. Jak to się nazywa?”. A on na to: „Tak, wiem, mama, to jest szczęście”.

Zdradź, co się zadzieje u Pucia.

Będą kolejne książki i będziemy rozwijać sprawę filmu – powstaną kolejne części, mamy 52 scenariusze. Każdy set kinowy to siedem odcinków po sześć minut. To propozycja dla dzieci od trzeciego roku życia. Na prośbę producentki, Eweliny Gordziejuk, musiałam stworzyć dokument, w którym opisuję bohaterów i ich świat, to, co się w nim pojawia. Mogę ci więc także powiedzieć, czego nigdy nie będzie.

Czego?

Nie będzie rzeczy, które wywołują w dzieciach lęk. Za dużo jest takich filmów i książek, jakby twórcy nie potrafili pokazać prostego świata dla mniejszego dziecka bez straszenia. Nie będzie też poważnych problemów i przeszkód, które Pucio musiałby pokonywać, bo to jest bohater dla najmłodszych dzieci. Być może piszę o wyidealizowanym świecie, w którym w pełnej rodzinie wychowuje się Pucio, jego siostra i małe Bobo. Tak, wiem, że dużo jest rozstań i rozwodów. Trójka dzieci w rodzinie to teraz wyjątkowa sprawa, ale ja takie rodziny znam i myślę, że warto je pokazywać. Nie będzie też aplikacji z Puciem, bo nie o to chodzi, żeby dziecko zostało samo z tabletem. To rodzic jest najlepszą aplikacją. ▲

OGŁOSZENIE



MUZEUM MIASTA GDYNI

Kachu Totalny

sztuka
Kazimierza
Ostrowskiego



05.07.2026 –
28.02.2027

→ Muzeum
Miasta
Gdyni



PARTNER STRATEGICZNY

PATRONAT HONOROWY

PATRONI MEDIALNI

**INVEST
KOMFORT**



Radio Gdańsk



KULTURA

wyborcza

Pismo.

Wieranda

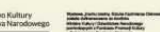
trojmiasto.pl

prestiz



PARTNERZY TECHNOLOGICZNI

PARTNERZY



Jak zostałam złą córką

Prawdopodobnie jestem złą kobietą, a na pewno nie jestem kobietą, która chce poświęcić się bezpłatnej pracy opiekuńczej w przemocowym domu

TEKST **KATARZYNA KOCHMAŃSKA**
ILUSTRACJA **DOROTA PIECHOCIŃSKA**

1.

Do domu moich rodziców przychodzą teraz ludzie z zewnątrz. Na tym między innymi polega starość, że do twojego domu wchodzi coraz częściej obcy ludzie: lekarze, pielęgniarki, pracownice opieki społecznej. Ojciec powoli się orientuje, że coś się dzieje. Staje się jeszcze bardziej nieufny, wietrzy spisek... Kiedy zabieram mamę taksówką do geriatry, woła za mną: „Tylko żeby ci nie przyszło do głowy przelewać moich pieniędzy na inne konto!”. Macham na to ręką, nie mam siły wdawać się z moim 93-letnim ojcem w absurdalną dyskusję. Przyjechałam tu opiekować się mamą, a prawdę mówiąc, ratować jej życie. Sama ledwo żyję, uharowałam się już po pachy. Ojciec za to nabral nagle siły, podniósł się z kanapy, na której zazwyczaj leży i cierpi z powodu starości, żeby oskarżyć mnie o kradzież. Rodzice w ogóle nie zauważyli, że się nimi opiekuję. Myślą, że wpadłam na święta, zostałam kilka dni dłużej, a potem zapomniałam wyjechać.

Minęły dwa miesiące opieki nad starymi rodzicami. Do mamy przyszedł wreszcie psychiatra. Zdiagnozował alzheimera. W domu rodziców zmienił mnie brat. Wróciłam do Warszawy. Jesteśmy w stałym kontakcie, jest mnóstwo spraw do załatwienia. Nie mogę spać, a rano miota mną wściekłość i przerażenie: co dalej? Nadal nie mamy opieki dla naszych rodziców. Namawiamy się z bratem na tę wizytę psychiatry, jakby to była wielka strategia wojenna. Każdy drobny błąd w taktyce może przynieść niepowetowane straty. Znowu zostaniemy z niczym, znowu wszystko zrzuca na nas. „Daj mi go do telefonu, jak tylko wejdzie do mieszkania”, mówię do brata. Przedstawiam się, że jestem córką swojej matki, i pokrótce wyjaśniam, jak sprawy się mają: jest to dom pełen agresji, mówiłam już o tym szczegółowo pielęgniarce, lekarzom, opiece społecznej, nikt nie reaguje, trudno tu wdrożyć jakąkolwiek opiekę, przede wszystkim dlatego, że ojciec, czyli mąż mojej mamy (bardzo to podkreślam), nie przyjmuje do wiadomości, że jego żona jest chora, nie daje dostępu do emerytury. Proszę, żeby pan z nim porozmawiał, bo my nie damy rady. Psychiatra oburza się, że chcę zrzucić opiekę nad matką na ojca. Można tak to nazwać, upieram się,

moja mama ma ciągle męża, który co prawda jest bardzo stary, jednak jest w pełni świadomy, a nie przyjmuje do wiadomości, że jego 86-letnia żona jest chora. Psychiatra jeszcze bardziej się irytuje. – Słyszałem, jak to było – mówi – rodzice zostali pozostawieni samopas, matka się przewróciła i trafiła do szpitala. – Co to znaczy „samopas”? – pytam. – Moi rodzice nie są ubezwłasnowolnieni, proszę, żeby pan porozmawiał z moim ojcem. Psychiatra z ojcem nie porozmawiał, nawet zgodził się po moich naciskach, ale ojciec, kiedy tylko przyszedł lekarz, natychmiast położył się spać i nikt nie śmiał go obudzić. Wszyscy nadal boimy się ojca, chociaż jest już bardzo stary. Kilka razy próbowaliśmy mu tłumaczyć, że mama ma alzheimera i potrzebuje opieki, ale krzyczał tylko, że niech sobie robi co chce. Mama rzeczywiście robi co chce: zimą przestała jeść i przyjmować leki, wycieńczona prawie umarła. Ojciec tego nie zauważył.

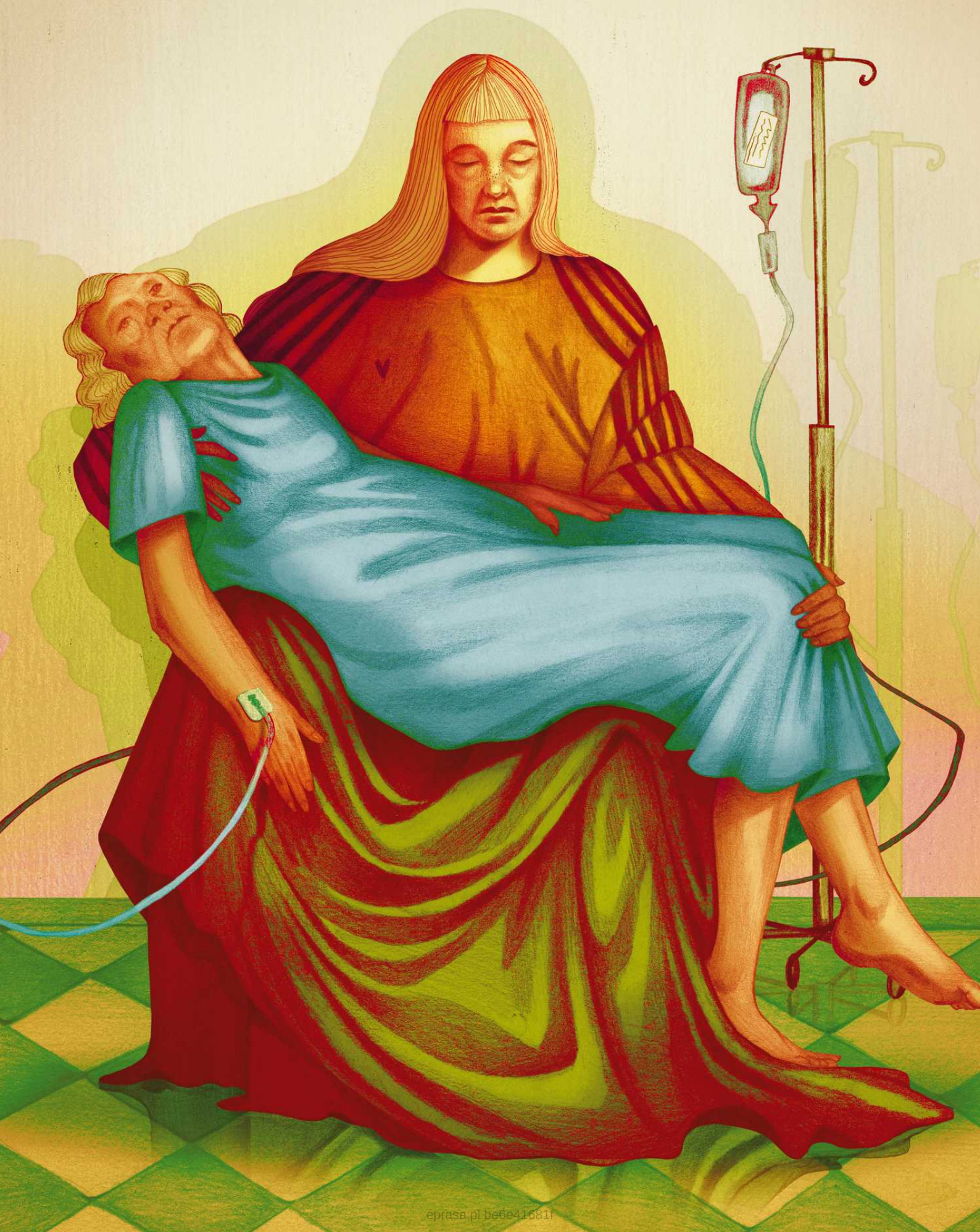
Jest jeszcze kwestia pieniędzy. Moja mama nigdy nie pracowała zawodowo, zajmowała się domem i dziećmi, a za to nie ma żadnego wynagrodzenia. Kiedy skończyła 75 lat, państwo polskie przyznało jej około 300 złotych zasiłku pielęgnacyjnego miesięcznie. Mama żyje z emerytury swojego męża; jak to podzielić na pół, wychodzi najniższa krajowa.

Żaden lekarz, nawet psychiatra, nie jest zainteresowany, aby zrobić wywiad rodzinny, poznać sytuację domową swojej pacjentki, która ma przecież zasadniczy wpływ na jej zdrowie i możliwość wprowadzenia opieki.

Dokument poświadczający alzheimera jest dla nas jedyną podstawą do ubiegania się o jakąkolwiek opiekę i świadczenia. To niebывале, że starość nie jest w Polsce żadną podstawą do ubiegania się o opiekę państwa. Trzeba jeszcze udowadniać niepełnosprawność, jakby starość nie była już sama w sobie niepełnosprawnością. Jakby to, że ludzie nie potrafią o siebie zadbać w sposób podstawowy, nie było już niepełnosprawnością.

2.

Chciałabym uchwycić te pierwsze chwile, kiedy zaczęło do mnie docierać, że to już – od teraz moi rodzice są starzy i będą wymagać stałej opieki. To się dzieje nagle, w jednej chwili. Wszystkie fantazje o starości rodziców legną w gruzach. Sprawy, które uważałaś za załatwione, znowu się otworzą. Będziesz musiała





Najpierw moja mama urodziła bezpłatnie dwójkę dzieci i się nimi
bezpłatnie opiekowała, prowadziła bezpłatnie gospodarstwo domowe męża,
a teraz ja, jej córka, haruję bezpłatnie, aby utrzymać ich przy życiu,

bo jak nie, to państwo polskie się ze mną policzy

zając się wszystkim naraz natychmiast, bo jeśli cokolwiek odłożysz na później, to ktoś umrze. Opór i pokonywanie oporu, napierające oskarżenia...

U mnie to było tak, że pewnego wieczoru odebrałam telefon, że z mamą jest źle i powinnam przyjechać. Dopiero kilka dni potem, kiedy już byłam na miejscu, udało mi się zrekonstruować przebieg zdarzeń. Sąsiadka zaniepokoiła się, że od kilku tygodni nie widziała mamy w sklepie; przyszła sprawdzić, mama była wycieńczona, nie mogła podnieść się z łóżka, ojciec się tym nie interesował. Sąsiadka wezwała pielęgniarkę środowiskową z pobliskiej przychodni, która przyszła, zobaczyła, że owszem, jest źle, ale ponieważ mama twierdzi, że czuje się dobrze i nie chce podać numeru telefonu do swojej córki (czyli do mnie), to można ją tak zostawić. Pielęgniarka sobie poszła, nie wezwała ani lekarza, ani karetki. Sąsiadka jednak nie odpuszczała i zadzwoniła do mojego brata, który akurat był na innym kontynencie na wyjeździe służbowym. Brat zadzwonił do mojej kuzynki, która przyszła, wezwała karetkę i zadzwoniła do mnie. W szpitalu zostawiła do mnie kontakt, lekarze mieli mnie informować.

Rano byłam już w pociągu z Warszawy do mojego rodzinnego miasta (5 godzin ekspressem). Myślałam, że mama jest bezpieczna w szpitalu, w południe będę już u niej i wszystkiego się dowiem. Tak się jednak nie stało, bo moja mama: niedożywiona i z objawami demencji, została wyrzucona ze szpitala.

Byłam w szoku, kiedy weszłam z walizką do domu i zobaczyłam wycieńczoną twarz mojej matki. W szoku jestem do tej pory. Jeszcze nie wyszłam z szoku. Najpewniej w szoku pozostanę przez wiele lat.

W domu panował chaos – krew na podłodze, odchody na ścianie, zapleśniała, pusta lodówka. Mama ledwo trzymała się na nogach, nie pamiętała, że w ogóle była w szpitalu. Zagłodzona i odwodniona, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Ojciec w ogóle nie zwracał na nią uwagi, zajmował się swoimi podstawowymi

mi problemami fizjologicznymi. Najpierw zabezpieczyłam mamę (nakarmiłam, nawodniłam, położyłam do łóżka), kątem oka sprawdzałam, czy ojciec jakoś sobie radzi, potem próbowałam się dowiedzieć: co tu się właściwie wydarzyło. W śmieciach znalazłam wypis ze szpitala. Skomplikowany dokument, z którego wynikało, że pacjentka wycieńczona, z objawami demencji, problemami kardiologicznymi, została rano wypisana ze szpitala, bo nie było wskazań, żeby ją tam trzymać. W dokumencie bardzo podkreślali, że „była nieorientowana co do swojego stanu zdrowia”... no to ją wyrzucili. Na szczęście nie na bruk, tylko do domu, ale za to bez żadnej troski o to, co się z nią potem stanie. Zadzwoniłam do szpitala, przełączali mnie w nieskończoność, aż połączenie się urwało, grochem o ścianę. Miałam do wyboru: jechać awanturować się do szpitala albo ratować życie mamy. Oczywiście wybrałam to drugie. Skontaktowałam się z pielęgniarką środowiskową, tą samą, która już u mamy była i nie udzieliła jej pomocy.

3.

– To pani nie wiedziała? – oburzała się pielęgniarka, kiedy przyszłam do przychodni. – Nie, nie wiedziałam, a skąd miałam wiedzieć? – powiedziałam. Pielęgniarka też nie wiedziała, bo nie interesowała się swoimi pacjentami. Od lekarza rodzinnego dowiedziałam się, że moja mama w związku ze złymi wynikami badań krwi i zaburzeniami pamięci dostała zlecenia na szereg badań specjalistycznych, których najwyraźniej nie zrobiła; recepty na leki, których najwyraźniej nie wykupiła (więc ich nie zażywała), a w przychodni nie pojawiała się od kilku miesięcy. W rezultacie doprowadziła się do skrajnego wycieńczenia. Zebrałam dokumentację i chciałam już do niej wracać, jednak jeszcze chwi-

lę została, bo mnie zatkało... Nagle pielęgniarka z lekarzem zaczęli mnie oskarżać, że zły stan mojej matki to wyłącznie moja wina i są na to paragrafy. Wstrząsnęło mną to. Powiedziałam, że sobie w ogóle nie życzę takich oskarżeń, najpierw może niech się dowiedzą, jaka jest moja sytuacja rodzinna. Nie byli zainteresowani, nadal mnie oskarżali. Zapytałam, czy lekarza nie zaniepokoiło, że jego 86-letnia pacjentka z objawami demencji nie robi zleconych badań i w ogóle nie ma z nią kontaktu? Nie mieli sobie nic do zarzucenia, twierdzili, że się uchylam od opieki nad matką. Od niczego się nie uchylałam, właśnie się nią zajmowałam. Domagałam się dla niej opieki medycznej; co więcej, prosiłam, aby wdrożono pilnie instytucjonalną codzienną opiekę, bo moja mama jest stara i sobie nie radzi. Nie wierzyli własnym uszom, najwyraźniej po raz pierwszy spotkali się z córką, która się czegoś domaga i nie chce natychmiast poświęcić się całodobowej opiece nad matką. Kiedy pielęgniarka zorientowała się, że szantaż moralny na mnie nie działa, wcisnęła mi kontakt do prywatnego opiekuna. 7-8 tysięcy miesięcznie i sprawa jest załatwiona. W zaufaniu szepnęła mi, żebym sobie nie zawracała głowy szukaniem jakiejś opieki społecznej dla moich rodziców, bo takiej nie dostanę, trzeba zapłacić prywatnie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że pielęgniarka miała rację, państwo polskie nie zamierzało przyznać mojej mamie opieki.

4.

Do takich rozmów powoli zaczęłam się przyzwyczajać. Strasznie mnie, że jeśli natychmiast nie poświęcę się opiece nad rodzicami, to będą sankcje. Odbiorą mi wszystkie moje pieniądze i się ze mną policzą. Pielęgniarka powiedziała, że będzie sprawdzać; jeśli zauważy, że moja mama nie przyjmuje leków, to mnie zgłosi (nie wiem gdzie).

Sprawdziłam, nie ma takich przepisów. Nie ma prawa, które by mi nakazywało osobistą opiekę nad rodzicami. Są przepisy alimentacyjne, ale to inna sprawa, moi rodzice nie żyją w niedostatku finansowym. Wszyscy jednak mnie zastrasza. – Muszę panią poinformować, że pani prawnym obowiązkiem jest opieka nad rodzicami i lożenie na ich utrzymanie – powiedziała pracownica opieki społecznej, kiedy zadzwoniłam z prośbą, aby ktoś wreszcie przyszedł, sprawdził sytuację w domu i wdrożył opiekę. Potem próbowała mnie zniechęcić, informując, że to jest płatne (dopiero po 95. roku życia jest bezpłatna, ale niewiele osób dożywa), 50-70 złotych za godzinę, w zaufaniu może mi powiedzieć, że prywatnie będzie taniej. Wyjaśniałam, że nie stać mnie na prywatną opiekę, moich rodziców też nie stać. Kluczowe jest, żeby ktoś kompetentny przekonał mojego ojca, aby ten dał dostęp do emerytury. Trzeba to wszystko wyliczyć i sprawdzić, ile mogą zapłacić za opiekę, żeby jeszcze mieli na rachunki i jedzenie. Nie było żadnej reakcji.

Po jeszcze wielu telefonach, zastraszaniu i zniechęcaniu mnie przed kolejne osoby, wreszcie przyszli. Rzucili okiem i powiedzieli, że żadnej pomocy nie będzie. Rodzice są „chodzący” i mają dzieci, więc powinnam się zabrać do roboty. Pożałowałam, że w ogóle przez te ostatnie tygodnie pracowałam, aby wyprowadzić rodziców z zapaści. Było to błędne koło. Nie opiekujesz się – źle, opiekujesz się – nic się nie należy, haruj dalej. Stało się jasne, że wszystkie instytucje państwowe chcą szantażem

moralnym i groźbą w postaci urojonych sankcji prawnych wymusić na mnie całkowite poświęcenie się opiece nad rodzicami.

Czyli wracamy do podstaw – bez bezpłatnej opiekuńczej pracy kobiet państwo polskie nie funkcjonuje. Ludzie umierają na ulicach albo w domach, w ukryciu. Czytałam o tym w pismach feministycznych, a teraz sama tego doświadczam. I się nie zgadzam. Buntuję się. Najpierw moja mama urodziła bezpłatnie dwójkę dzieci i się nimi bezpłatnie opiekowała, prowadziła bezpłatnie gospodarstwo domowe męża, a teraz ja, jej córka, haruję bezpłatnie, aby utrzymać ich przy życiu, bo jak nie, to państwo polskie się ze mną policzy.

Po całym dniu ciężkiej opiekuńczej pracy doszorowuję jeszcze kuchnię, kiedy wchodzi ojciec i uśmiecha się z zadowoleniem. „Miło popatrzeć – mówi – krzątasz się po tej kuchni zupełnie jak kiedyś twoja matka”. Szlag mnie trafił. Natychmiast przestałam.

Następnego dnia przekazałam bratu dokumentację medyczną, zeszyty z adresami, telefonami, nazwiskami, zalecenia, zlecenia, instrukcje, wytyczne, torby leków, mopy, ściérki, ceraty... i spakowałam walizkę. Uratowałam już życie mamie, teraz wracam do siebie, do swojego życia.

Niestety czytanie książki Mony Chollet „Nie dać się poczuciu winy. O tym, co nam przeszkadza w życiu” w niczym mi nie pomogło. Zresztą nie ma tam rozdziału o wymuszaniu na kobietach poczucia winy, aby te przejęły całą opiekę nad starymi rodzicami. Jest rozdział o obciążaniu kobiet poczuciem winy w okresie macierzyństwa, ale tego się nie da porównać. Wróciłam po dwóch tygodniach, aby dalej harować i drażnić temat ubiegania się o opiekę państwa. Brat już się zorientował, jaka to ciężka praca (opiekuńcza), i naciskał, żebym przyjeżdżała tu co drugi tydzień. Powiedziałam, że nie ma takiej możliwości. Uniósł się, że co ja sobie myślę, on nie przejmie całej opieki, i zdziwił się, kiedy usłyszał, że wcale tego od niego nie oczekuję – trzeba znaleźć opiekę dla rodziców z zewnątrz; jeszcze nie wiem jak, ale się dowiem. Do tej pory się nie dowiedziałam.

Wtedy zauważyłam, że ja się zachowuję nietypowo. Nie wyklócam się z bratem, kto ma się opiekować rodzicami, w ogóle tego od niego nie oczekuję. Domagam się, żeby państwo polskie się nimi zajęło, bo mama sobie na to zapracowała i jej się należy godna opieka wyspecjalizowanych osób. Nie działają na mnie wymuszenia wynikające z boskiego lub naturalnego prawa, które nakazuje poświęcić się osobistej opiece nad rodzicami, żeby im podziękować za sprowadzenie na ten świat. Służby państwowe zmieniły wobec mnie taktykę, nagle wszyscy przyjęli ton protekcyjny: „Tak, rozumiemy, to trudne, ale jeszcze chwila i się pani wszystkiego nauczy i przystosuje”.

Nie chciałam się przystosować. Przeszukiwałam Internet, ale trafiałam tylko na chaotyczne, sprzeczne informacje. Rząd polski udzielał mi porad psychologicznych i motywacyjnych: trzeba odpoczywać i ładować baterie. Dopiero potem dotarło do mnie, że rządowej strony z konkretnymi informacjami nie ma, bo starość nie jest w Polsce żadną podstawą do tego, aby uzyskać opiekę; trzeba jeszcze udowodnić dodatkową niepełnosprawność.

Wtedy właśnie przyszedł psychiatra i zdiagnozował u mamy alzheimera – szczęście w nieszczęściu. Przerazenie i laska. Może teraz państwo polskie przyzna mamie opiekę.

Psychiatra wysłał pismo do opieki społecznej, że konieczne jest wdrożenie codziennej opieki nad pacjentką. Nikt się nie pojawił, nikt nie reagował.

Postanowiłam, że czas na radykalne kroki. 2 maja, w święto flagi państwowej, zadzwoniłam na całodobowy interwencyjny telefon kryzysowy, przedstawiłam się i opowiedziałam, jaka jest sytuacja: kobieta z alzheimerem, bez pieniędzy, potrzebuje pilnie codziennej opieki od państwa polskiego. Nie dało się już mnie zbyć, uruchomiono procedury i przekazano sprawę opiece społecznej (tej samej, która już wszystko wiedziała i odmówiła pomocy). Poprosiłam brata, żeby go w ogóle nie było w domu. Niech służby wejdą i sami spróbują się z nimi dogadać, bez naszej asysty. Kiedy przyszli, ojciec po raz pierwszy zainteresował się sytuacją i stanął na wysokości zadania: powiedział, że nic się tu złego nie dzieje, świetnie sobie radzą. Opieka społeczna podsunęła moim starym rodzicom dokument o zrzeczeniu się roszczeń do przyznania opieki, a rodzice chętnie go podpisali.

Zaczęliśmy z bratem trudną procedurę ubiegania się o świadczenia pieniężne „na alzheimera” dla naszej mamy, nie mamy już siły.

5.

Złą córką jestem od dawna i prawdę mówiąc, uratowało mi to życie; wolałabym oczywiście być dobrą córką, ale to nie w mojej rodzinie. Prawdopodobnie jestem też złą kobietą, a na pewno nie jestem kobietą, która chce poświęcić się bezpłatnej pracy opiekuńczej w przemocowym domu.

Szukam tekstów, które chociaż w niewielkim stopniu opisywałyby moje obecne doświadczenie. Znajduję eseje Renaty Bożek („Dzienniki opiekunki”), które ukazały się w literackim magazynie internetowym „Pole”. Bożek znakomicie i szczerze opisuje ambiwalentne uczucia, które się wtedy wytwarzają. Czułość do starej matki miesza się z niechęcią do niej, a nawet życzeniem jej śmierci.

Pamiętam, jaki opór wzbudziła trzy lata temu w polskim literackim „komentariacie”, książka Didiera Eribona „Życie, starość i śmierć kobiety z ludu”, gdzie autor opisuje doświadczenie opieki nad starą matką w domu pełnym agresji. Przemocy, jakiej Eribon doświadczył od swojej rodziny, nikt nie zauważył, większość komentujących oskarżała go o brak empatii dla matki.

tym pozbierać i przede wszystkim nie powielać przemocy. Kiedy po latach walki o swoje miejsce w rodzinie – bez przemocy, zorientowałam się, że sytuacja w domu się nie zmieni, uszano- wałam wolę rodziców i ograniczyłam kontakty z nimi. Dzwoni- lam, aby po głosie matki orientować się, czy jakoś sobie radzi, czy może już nie i trzeba ją ratować; co dwa miesiące przyjeź- dzałam na kilka dni, aby sprawdzić, czy jeszcze się nie pozabija- li. Poddawałam się nawet iluzji, że jest to wspaniała, kochająca rodzina. Wszystko i tak kończyło się piekielną awanturą i sug- estią, abym się tu więcej nie pokazywała, skoro nie akceptuję ich agresywnego sposobu życia (oczywiście sami tego tak nie nazy- wali). Wracałam uparcie, chociaż wielu przyjaciół mi odradzało, ale mówiłam sobie: to moi rodzice, innych nie mam, nawet ro- dzice nie odbiorą mi prawa do tego, aby mieć rodziców. W koń- cu zauważyłam, że ojciec jest już stary, chociaż nadal agresyw- ny (starość w tym nie przeszkadza), a mama traci już siły, aby się nim w tych warunkach opiekować. Trochę pomagałam jej przy tej opiece, ale przede wszystkim wypytywałam, czy sama chodzi do lekarzy, robi badania, przyjmuje leki. Oburzała się, że przecież nie jest głupia, dba o siebie. Okazało się, że tak nie było, od dawna już o siebie nie dbała, zajmowała się wyłącznie agre- sywnym mężem. Zimą w końcu położyła się do łóżka i przesta- ła jeść... Przeoczyłam ten moment.

Instytucje państwowe i społeczne, poza tym, że w ogóle nie do- strzegają starych ludzi, nie widzą też przemocy w rodzinie, któ- rej podlega stara kobieta i jej dzieci usiłujące jej pomóc.

Zaczęłam się znowu zastanawiać, dlaczego przemoc w ro- dzinie jakoś dziwnie znika, kamufluje się, nikt jej nie zauważa.

Kiedy stykałam się z oporem instytucji państwa, aby udzielić ro- dzinie pomocy, z początku naiwnie myślałam, że chodzi tu o niepo- radność, brak kwalifikacji, ale nagle dotarło do mnie, że tak nie jest.

Chodzi o to, o co zawsze chodziło. Nieodpłatna domowa praca opiekuńcza (głównie kobiet) jest podstawą gospodarki. To, co się wydarza w domu, czyli w przestrzeni prywatnej, musi pozostać w ukryciu, aby nie ujawniło się w sferze publicznej. Krótko mó- wiąc: niech bije, aby tylko chodził do taniej pracy... To, co się dzieje w domu, to tylko środki dyscyplinowania kobiet, aby system działał.

Domagając się opieki dla mamy od instytucji państwowych, domagam się tak naprawę, aby państwo polskie zapłaciło wresz-

Nadszedł moment mojej opieki nad starymi rodzicami.

Wygląda jeszcze bardziej przerażająco, niż to sobie wcześniej wyobrażałam,
a to dopiero początek tej strasznej podróży.

Nie wiem, jak im pomóc; nie wiem, jak pomóc sobie

Powrót do agresywnego domu, aby zająć się starymi rodzi- cami, jest niewyobrażalnie trudnym doświadczeniem. Szczegól- nie jeśli wszelkie instytucje państwa, zamiast pomagać, utrud- niają i oskarżają.

Moje dzieciństwo, chociaż dostatnie, było przepełnione co- dziennym napięciem i strachem. Były też oczywiście wspaniałe chwile, było ich całe mnóstwo, ale teraz trudno mi je sobie przy- pomnieć, na pewno jeszcze wrócą i przyniosą więcej cierpienia. Moje dorosłe życie to wieloletnia praca terapeutyczna, aby się po

cie mamie za pracę opiekuńczą, którą wykonywała przez lata bezpłatnie, podtrzymując w ten sposób gospodarkę. Domagam się więc rzeczy niemożliwej, chcę podważyć sam system. Praca opiekuńcza ma pozostać w sferze domowej i być nadal nieod- płatna, inaczej gospodarka się zawali. Przemoc, która się roz- grywa w domu, jest po prostu częścią systemu, dlatego właśnie jest niewidzialna, nie może się wydostać na widok publiczny, bo wtedy nie będzie już pieniędzy na zbrojenia napędzane strachem przed wojną. Żona jest własnością swojego męża, pracuje dla nie-

go bezpłatnie, aby mężczyzna mógł pracować na zewnątrz już odpłatnie (ale w jego pensji nie uwzględnia się pieniędzy dla żony na emeryturę). Kobieta pracuje za wikt i opierunek bez żadnego prestiżu, a jak się buntuje, to trzeba przywrócić ją do porządku; cierpią też dzieci, które widzą, jak ich matka jest poniżana, ale w ten sposób uczą się zasad, na których opiera się system gospodarczy. Przemoc domowa jest składową systemu państwowego, a pomnażanie zysków oparte jest na bezpłatnej pracy kobiet w domu. Mężczyzna jest w tym domu mniej lub bardziej łagodnym strażnikiem. Zobaczyłam to bardzo wyraźnie.

Pewnie są kobiety, które w domu chcą pozostać i wykonywać pracę opiekuńczą, może nawet nie doświadczają przemocy ze strony męża, ale i tak powinno się im za tę pracę płacić – co jest oczywiście niemożliwe, bo system gospodarczy by się zawalił.

Institucje państwowe z niepokojem zauważyły, że sprawiam problemy, nie chcę się podporządkować. Nie chcę siedzieć cicho i opiekować się bezpłatnie rodzicami. Znajdują wreszcie sposób, aby przywrócić mnie do porządku.

Dzwonią do mnie z opieki społecznej, że w związku z tym moim zgłoszeniem muszą jednak przyjść do mojego ojca i powiadomić go, że córka twierdzi, że on się znęca nad żoną; tyle mogą dla mnie zrobić. Zmroziło mnie, nie tego się domagałam. Domagałam się profesjonalnej, wyspecjalizowanej opieki dla mamy. Powiedziałam, że się na to nie zgadzam, bo wtedy na pewno już nie będę mogła pomóc matce, ojciec mnie nie wpuści do domu. W ogóle rezygnuję z ich usług.

I o to właśnie chodziło, żeby wreszcie do mnie dotarło. Od początku mi mówili, że nie uzyskam żadnej opieki dla mamy, i właśnie ostatecznie mi to udowodnili. Przemoc pozostała w ukryciu, czyli w rodzinie.

Szukam jakiejś siły i godności w tej dramatycznej sytuacji. Nagle dociera do mnie, że przecież na swoją mamę mogę spojrzeć jeszcze inaczej. Moja mama z tym swoim alzheimerem jest rewolucjonistką! To ona odmówiła w końcu bezpłatnej pracy opiekuńczej, przez co system dostał zadyszki. Zaczął robić wszystko, żeby się samo-naprawić. Nawet ojciec zauważył, że coś przestało działać. Powiedział do mnie zaniepokojony: – Nie wiem co się dzieje, ale twoja mama przestała być dla mnie partnerką, wszystko się sypie, bo ona nic nie robi.

Ojciec po raz pierwszy w życiu zauważył pracę wykonywaną przez swoją żonę – zauważył jej brak.

Patrzę teraz na swoją mamę z podziwem, ale też ze smutkiem i przerażeniem. Tego aktu rewolucyjnego dokonała niemal kosztem swojego życia. Po prostu się położyła i przestała jeść. Był to strajk głodowy. Typowy sposób protestu grup uciskanych.

Ojciec, kiedy zawiesiła się opieka nad nim, zaraz uruchomił „tryb awaryjny”: podreptał (z trudem) do sklepu kupić sobie cebulową, chipsy i Mirindę, znalazł ostatnie czyste ubranie, pozamiatał wokół siebie. Zajął się sobą, bo przecież nie przejął za mamę tej całej trudnej pracy opiekuńczej, za to nikt nie płaci. Nie odwodził się mamie za opiekę. Być może nie miał nawet pojęcia, jak to zrobić.

...Wtedy ja przyjechałam, aby ją uratować i podtrzymać system swoją darmową pracą opiekuńczą.

Doszliśmy więc z bratem do takiej sytuacji, że rzeczywiście jedynym sposobem, aby pomóc mamie, jest zapłacić prywatnie, bo opiekuńcza praca nas przerasta. Wtedy dowiedziałam się, że system opieki radzi sobie jeszcze inaczej: opiera się na niskopłatnej pracy opiekuńczej „Ukrainek Aniołów”. Gdyby nie kobie-

ty z Ukrainy, które zjechały tu z powodu wojny, to starzy ludzie w Polsce by na pewno umierali po domach.

W książce Eribona znalazłam jeszcze jeden temat, który trzy lata temu wydał mi się ważną wskazówką na przyszłość. Dbало o wolę i podmiotowość matki, żeby jej do niczego nie zmuszać, szczególnie w sytuacji, kiedy jest słaba i bezbronna.

Niestety wewnętrzny przymus respektowania woli matki wbił się zardzewiałym klinem w moje ciało i zablokował moje działania, aby jej pomóc.

Matce głos się łamie i zaczyna się irytować, kiedy mówię, że trzeba wprowadzić opiekę z zewnątrz. Absolutnie się na to nie zgadza, nie życzy sobie, aby ktoś się „płatał po jej domu”. Jest panią swojego domu, stanowi o sobie, jest samodzielną. Próbuję argumentować, przekonywać, ale nagle serce mi łomocze, ciało zaczyna mnie boleć – na coś reaguję, jeszcze zanim dociera to do mojej świadomości. Większość mojego życia widziałam, jak ojciec łamał jej wolę, nie chcę do tego ręki przykładąć.

Mama jest gotowa doprowadzić się do skrajnego wycieńczenia, byle tylko nie przyznać, że potrzebuje pomocy – to by ją złamało. To jakiś paradoks psychologiczny, który się wytwarza u osoby poddawanej systematycznej, wieloletniej przemocy: matka musi podtrzymywać iluzję, że stanowi sama o sobie, a ty jako jej dziecko nie jesteś w stanie jej tej iluzji złamać. Bo to cię zabija.

Moja mama zdysocjowała. Napięcie w jej domu było tak silne, że przestała czuć. Kiedy ktoś jej próbuje tę iluzję zburzyć, broni się, jakby jej życie od tego zależało. Bo zależy.

Paradoks polega na tym, że respektowanie woli matki staje się nowym wymiarem przemocy rodziny wobec mnie. Doszłam już do ściany. Co mam niby zrobić w takiej sytuacji? Zostawić ją, niech umrze? – nie zniosłabym tego, poczucie winy by mnie zabiło. Sama się nią codziennie opiekować w tym chaosie i agresji, zrezygnować ze swojego życia? – to też by mnie zabiło.

Nadszedł moment mojej opieki nad starymi rodzicami. Wygląda jeszcze bardziej przerażająco, niż to sobie wcześniej wyobrażałam, a to dopiero początek tej strasznej podróży. Nie wiem, jak im pomóc; nie wiem, jak pomóc sobie. Państwo polskie w ogóle nie zauważa starych ludzi, nie bierze pod uwagę, że starość to bezradność i cierpienie, zmusza kobiety do bezpłatnej pracy opiekuńczej w poniżających warunkach oraz chroni systemowo przemoc w rodzinie. To już jest pewne. ▲



KATARZYNA KOCHMAŃSKA

- pisarka, feministka, scenarzystka. Autorka powieści „Nieuprzejmość” (wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2018). Absolwentka teatrologii na UJ, scenariopisarstwa w PWSFTviT w Łodzi, Gender Studies w PAN. Prowadzi blog wokół filmów i literatury na Substacku oraz autorski Klub Książki w „Uśpionej Księgarni” na Pradze-Północ w Warszawie


 Connie Converse
w 1955 roku

Cztery ucieczki Connie Converse

Wyszła z domu, bo chciała zniknąć. I udało się: do dziś nikt nie wie, co się z nią stało

TEKST PRZEMYSŁAW GULDA

Jest sierpień 1974 roku, Concord, stolica stanu New Hampshire. Choć stolica, to tak naprawdę małe, senne miasteczko, równie uroczne, co nieznaczące zbyt wiele dla nikogo, poza jego mieszkankami i mieszkańcami. Przed jednym z domów stoi zaparkowany garbus. Drzwi są otwarte, wokół pojazdu kręci się pięćdziesięcioletnia kobieta. Nerwowo układa na tylnym siedzeniu kolejne walizki, paczki i pudełka. Zaraz zamknie furtkę, wsiądzie do auta i wyruszy w drogę. Nikt nigdy więcej już jej nie zobaczy. Albo inaczej: ci, wśród których być może toczyło się czy

toczy jej dalsze życie, nie opowiedzą nikomu, że ją poznali.

Tak kończy się oficjalna wersja tej historii, opowieści o kobiecie, której nie zawsze udawało się realizowanie najważniejszych życiowych planów, a jednak zawsze miała odwagę rzucić wszystko i zacząć od nowa, w zupełnie innym miejscu, w zupełnie inny sposób. Nie wiedziała nawet, że kiedyś, po wielu latach, stanie się wzorem dla wielu osób, dowodem na to, że warto robić dobre rzeczy, nawet jeśli świat зда się ich w ogóle nie potrzebować. Bo nigdy nie wiadomo, kiedy potrzebować ich zaczniesz i kiedy się nimi zachwyci.

Dopiero dziś, pół wieku później, świat odkrył, że ta kobieta w depresji, która gar-

busem po raz kolejny uciekała od swojego dotychczasowego życia, nagrała jedne z najbardziej poruszających piosenek swojej epoki. Epoki, w której nikt jeszcze w zasadzie nie nagrywał takich piosenek. Dopiero kilka, kilkanaście lat później faceci, którzy poszli wskazaną przez nią drogą, staną się legendami. To oni trafią na pierwsze strony muzycznych i nie tylko muzycznych gazet, to ich okłaskiwać będą tłumy na największych koncertowych arenach świata, to oni odbierać będą nagrody prestiżowych nagród, to o nich będą niezliczone książki i filmy.

A o niej słuch zaginie na wiele lat. Zostanie tylko kilkanaście zagubionych piosenek, listy, które napisała tuż przed swoją

ostateczną ucieczką, i legenda zapomnianej, nieznanej pionierki singer/songwritingu. Legenda, którą ostatnio podsycił Jack White, ceniony artysta, jedna z najważniejszych postaci sceny muzycznej pierwszej ćwierci XXI wieku. Niedawno nakładem swojej wytwórni, Third Man Records, opublikował pełne, bogate wydanie zbiorcze wszystkich znanych piosenek, które po niej zostały. „Wszystkich” oznacza w tym przypadku, że do dotychczas znanych 18 utworów doszły jeszcze dwa, odkryte niedawno, umieszczone na dodatkowym winylowym siedmialowym singlu. To znakomita okazja, żeby przypomnieć sobie, kim była Connie Converse, i zastanowić się, czemu świat usłyszał o niej dopiero bardzo długo po tym, kiedy usłyszeć powinien.

UCIECZKA PIERWSZA: SAMODZIELNOŚĆ WAŻNIEJSZA NIŻ SPOKÓJ

Connie urodziła się jako Elizabeth Eaton Converse w 1924 roku w bardzo religijnej rodzinie baptystów. Bardzo wcześnie uznawana była za wyjątkowo utalentowane dziecko: w szkole dostawała nagrody, bez trudu można było zauważyć jej muzyczne inklinacje. To pierwsze cieszyło rodziców, drugie – dużo mniej. Co gorsza, szybko okazało się, że to dziewczyna bardzo samodzielna i zbuntowana. Owszem, dostała stypendium do poważanego college'u, ale wytrzymała tam tylko dwa lata. To była jej pierwsza wielka ucieczka: spakowała całe swoje dotychczasowe życie i wyjechała do Nowego Jorku, by zacząć wszystko od nowa, na dodatek zupełnie inaczej niż do tej pory.

I udało jej się to znakomicie: prowadziła samodzielne życie, zanim zaczęła na to pozwalać kobietom, mieszkała w Greenwich Village, zanim ta dzielnica stała się mekką beatników, pracowała w dzień, żeby korzystać z wolności w nocy, zanim taki model stał się modny w Nowym Jorku, a potem w licznych metropoliach na całym świecie. Porzuciła oficjalne imię i zaczęła mówić na siebie Connie. I najważniejsze: zaczęła pisać piosenki, bo to zawsze ekscytowało ją dużo bardziej niż nauka w szkole i cokolwiek innego. Grała je dla znajomych, z gitarą w rękę, wzbudzając entuzjazm. I jeszcze jedno: zaczęła palić papierosy i pić alkohol. Ani jedno, ani drugie zdecydowanie nie licowało w tamtych czasach z reputacją porządnego kobiety. I było też kropłą, która przelała czarę w jej, i tak już napiętych, re-

Connie w 1958 roku w Nowym Jorku.
Obok w telewizji CBS, 1954 rok

lacjach z rodziną. Religijny ojciec nie mógł tego znieść i zerwał z nią kontakt.

DZIEWCZYNA Z GITARĄ

Converse chciała poświęcić się karierze muzycznej. Ale to jeszcze nie były czasy, że w każdej piwnicy Greenwich Village była sala koncertowa, a tłumy publiczności i dziennikarzy chętnie je odwiedzały, szukając nowych gwiazd, objawień, proroków. Converse sama musiała wykuwać ścieżkę, która dopiero za kilka lat będzie przetartym szlakiem.

Za wszelką cenę próbowała grać swoje piosenki na żywo, żeby ludzie mogli je poznać. Pomógł jej w tym Gene Deitch, znany artysta grafik, który zachwycił się jej twórczością. Najpierw zaprosił ją do prowadzonego przez siebie salonu artystycznego, gdzie zagrała bardzo ważny koncert – nie tylko dlatego, że takie występy należały wtedy do rzadkości, ale także z innego znaczącego powodu: Deitch nagrał koncert, co kilka dekad później okazało się kluczowe do ponownego odkrycia jej talentu.

Kilka miesięcy później po raz kolejny zrobił coś, co mogło rozpędzić jej karierę: załatwił jej występ telewizyjny w programie „The Morning Show”, prowadzonym przez bardzo popularnego Waltera Cronkite'a. Gospodarz zadał jej kilka pytań, zaśpiewała i zagrała na gitarze. Przynajmniej tak głosi legenda, bo występ – jak wszystkie ówczesne telewizyjne programy emitowane na żywo – nie został nagrany. Zostały po nim tylko... trzy fotografie, które ktoś zrobił po prostu z te-

lewizyjnego ekranu. Widać na nim młodą, pewną siebie dziewczynę w mało efektownej, ciemnej sukience, z elegancką fryzurą i gitarą w dłoniach. Tylko tyle. To był wielki moment dla kobiecego singer/songwritingu, który jednak nigdy nie przyniósł efektu, który przynieść powinien. Świat najwyraźniej nie był jeszcze na to gotowy.



UCIECZKA DRUGA: STANY PRZECIWKO CZARNEJ MNIEJSZOŚCI

Converse nie mogła znieść tego, że nie może się przebić ze swoją sztuką. Próbowala jeszcze wiele razy – w 1956 roku weszła do studia i nagrała kilka piosenek dedykowanych jednemu ze swych braci. To też nie chwyciło. Przyszedł czas na jej drugą wielką ucieczkę. W 1961 roku spakowała swój dobytek i wyjechała z Nowego Jorku, całkowicie porzucając mrzonki o karierze muzycznej.

Wielką ironią i niesprawiedliwością historii jest to, że niemal dokładnie w tym samym momencie do miasta wprowadził się dwudziestolatek z bujną czupryną, genialnymi pomysłami muzycznymi i głosem, którego barwa dla wielu osób do dziś jest co najmniej kontrowersyjna. Bob Dylan. To właśnie wtedy odbyło się jego legendarne spotkanie z muzycznym guru tamtych czasów, Woodym Guthrie'em, na którym schorowany mistrz symbolicznie przekazał mu pałeczkę w sztafecie wielkich postaci amerykańskiej muzyki. To właśnie wtedy młody artysta zaczął występować w nowojorskich piwnicach i zdobywać gigantyczne uznanie i popularność. To właśnie wtedy zaczynał być legendą.

Converse nigdy nie było dane nic z tej listy. Wyjechała do Ann Arbor w stanie Michigan, akademickiego miasta, gdzie działał prestiżowy uniwersytet. Jej brat był tam cenionym wykładowcą nauk politycznych, a ona zaczęła od stanowiska sekretarki, ale bardzo szybko związała się ze środowiskiem redakcji ważnego politycznego periodyku „Journal of Conflict Resolution”.

Szybko zauważono tam jej niewykorzystane dotąd talenty i kompetencje: najpierw zaproponowano jej pisanie tekstów, a potem została redaktorką pisma. W kolejnej odsłonie swego życia stała się więc aktywistką wypowiadającą się w sprawach narastającego w Stanach konfliktu rasowego – jednoznacznie stawiała po stronie czarnoskórych obywateli i obywateli, domagających się swoich obywatelskich praw. W czasie, kiedy ten problem stał się jedną z najważniejszych spraw w kraju – w latach 1968-69 – opublikowała manifest, który dla wielu osób stał się przewodnikiem w trudnym momencie. Converse równolegle atakowała w nim rasizm białej części społeczeństwa i fakt, że państwowy aparat przemocy zaprzęgnięty jest w systemowe działania przeciwko czarnej mniejszości. Władza nie wybacza takich ataków na siebie. Uderzyła w redakcję pisma, która mu-



W Hurron River Park
w Ann Arbor w stanie
Michigan, 1960 rok

siała spuścić z tonu i w 1972 roku wyprowadzić się z bezpiecznego kampusu progresywnego uniwersytetu.

UCIECZKA TRZECIA: BUNT I ZAGUBIENIE

Converse znów musiała zaczynać życie na nowo. To była jej trzecia ucieczka, na którą wyraźnie nie miała już siły. Przyjaciele i rodzina próbowali jej pomóc, ale nie chciała przyjąć wyciągniętej ręki. Jeszcze raz chciała być samodzielną i wolną. Wróciła w rodzinne strony i próbowała znaleźć dla siebie miejsce. Nie wychodziło. Z pewnością nie pomagał jej stan ciągłego przygnębienia, a może nawet depresji – to był efekt przebywania przez wiele miesięcy w samym środku potężnego konfliktu społecznego. Skoro budowanie nowego życia się nie udawało, Converse zaczęła planować kolejną ucieczkę. Tym razem dużo bardziej radykalną niż wcześniejsze, po których się przecież odnajdywała. W sensie dosłownym i przenośnym.

W sierpniu 1974 roku wsiadła do swojego garbusa i wyruszyła przed siebie. Bliskim napisała w listach, że chce spróbować jeszcze raz życia w Nowym Jorku. Nic jednak nie wskazuje na to, żeby tam dotarła. A może po prostu bardzo skutecznie zacierала ślady. Bo nic nie wiadomo o tym, co się z nią działo potem.

UCIECZKA CZWARTA: NIGDY TU NIE POWRÓCĘ

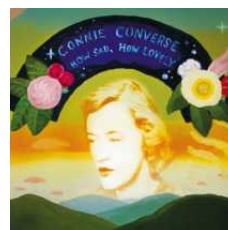
Najpierw poszukiwała jej rodzina. Ale kiedy dowiedziała się, że Converse jako dorosła osoba ma prawo pojechać gdzie chce, żyć jak chce i nie utrzymywać kontaktu z nikim, z kim nie chce, bliscy zaprzestali poszukiwań. Uszanowali jej decyzję o zniknię-

ciu. Potem ślady zaginionej artystki tropili dziennikarze i miłośnicy dawnej muzyki.

Jednym z nich był nowojorski pasjonat i dziennikarz, a zarazem śpiewający artysta, David Garland. W 2004 roku wpadł na pomysł, żeby do audycji, którą prowadził w jednej z nowojorskich rozgłośni radiowych, zaprosić Deitcha, jedyną osobę, która chciała, żeby Converse przebiła się ze swoimi piosenkami do szerszej publiczności i robiła w tym celu konkretne kroki. Garland wiedział, że to może być ostatni moment na rozmowę – Deitch miał wówczas ponad 80 lat.

Emisja kilku piosenek z koncertu w salonie grafika wywołała prawdziwą sensację w środowisku miłośniczek i miłośników brzmień z dawnych lat. Ruszyli na poszukiwania istniejących nagrań Converse. A w 2009 roku doprowadzili do wydania płyty, która zawierała wszystkie, czasem poczynione niemal cudem, odkrycia: zaledwie kilkanaście piosenek w wykonaniu artystki.

Album ukazał się pod znamienym tytułem: „How Sad, How Lovely”, czyli „Jak smutno i jakże pięknie”. Bo jego zawartość to rzeczywiście piosenki smutne i piękne, tak jak historia życia ich autorki i historia jej zniknięcia. I tego, że za jego sprawą, a przede wszystkim za sprawą swej twórczości, zamkniętej w zaledwie 20 utworach, Connie Converse w zasadzie nigdy nie umarła. ▲



CONNIE CONVERSE

„How Sad, How Lovely”,
Third Man
Records
wyd. Third Man
Records

A close-up portrait of Chimamanda Ngozi Adichie. She is looking slightly to the right with a thoughtful expression, her hands clasped together near her chin. She is wearing a dark top and a yellow flower-shaped earring.

**CHIMAMANDA NGOZI
ADICHIE**

urodziła się w Nigerii, mieszka w Stanach Zjednoczonych. Jest jedną z najbardziej znanych amerykańskich pisarek, autorką powieści „Amerykaana” (w lipcu ukaże się w nowym tłumaczeniu Kai Gucio, wyd. Filia) i słynnego eseju „We Should All Be Feminists”. Po dekadzie milczenia ukazała się jej nowa powieść „Bilans snów”

Ofiara bez skazy

Czy nawiązując do historii Nafissatou Diallo, pokojówki, która oskarżyła Dominique Strauss-Kahna o gwałt, Chimamanda Ngozi Adichie przywraca jej godność?

TEKST KAROLINA DOMAGALSKA

C himamanda Ngozi Adichie to jedna z tych pisarek, która stała się międzynarodową gwiazdą, wręcz celebrytką. Charyzma oraz bezkompromisowość zaprowadziły ją na scenę Tedexu, gdzie wygłosiła wykład pod tytułem „Wszyscy powinniśmy być feministk/ami”, fragmenty którego zostały zmiksowane w utworze Beyonce. Powstała również książka pod tym samym tytułem, a trzy lata później Dior wykorzystał hasło Adichie w swojej kolekcji. Tym samym stała się sztandarową feministką w świecie literatury.

Zarówno w tym esej, jak i w całej twórczości Adichie czerpie ze swojego doświadczenia życia pomiędzy rodzinną Nigerią a Stanami Zjednoczonymi. I trzeba przyznać, że zderzanie współistniejących, a jednak oddzielonych i odległych światów zadufanego i zamkniętego w swoich pewnikach białego imperium kulturowej dominacji z niezależnym, osobnym i całkowicie pominiętym w kulturowych hierarchiach światem czarnej kultury Afryki wychodzi Adichie doskonale. Upředzenia, paradoksy, schematy zazwyczaj wychodzą bardzo na niekorzyść tego pierwszego i właśnie ta śmiała krytyka wyniosła Adichie na piedestał.

Nie byłaby Adichie prawdziwą celebrytką, gdyby nie zaliczyła wpadki, która wywołała klasyczną awanturę w internecie i z której gęsto się tłumaczyła, choć, gdy się przyrzyć, swoje zdanie podtrzymała. Rzecz dotyczyła opinii na temat osób trans i tego, że transkobiety nie są jej zdaniem prawdziwymi kobietami, ponieważ wychowują się jako mężczyźni, a to zupełnie inne doświadczenie. Całkowicie niepotrzebna i krzywdząca wypowiedź, którą najprościej można by skwitować stwierdzeniem prawdziwym dla wielu celebrytek i celebrytów: nie trzeba mieć zdania na każdy temat.

I wreszcie, po 12 latach od doskonałego „Amerykaany” Adichie wydała kolejną epopeję na temat ograniczeń przekonanego o własnej słuszności Zachodu oraz miejsc i osób, które żyją w świecie idei bardziej skonfliktowanych i niejednoznacznych.

Zacznę od końca, bo to właśnie tutaj wykrystalizowały się moje problemy z najnowszą powieścią Adichie – „Bilans snów”. W dosyć niespodziewanym akcie autor-skiego objaśnienia Adichie na końcu książki wyklada czytelniczkom i czytelnikom, o czym opowiada powieść, którą właśnie przeczytali.

No więc, książka tylko pozornie jest o pragnieniach czterech kobiet, przede wszystkim opowiada o relacji z matką, którą autorka sama niedawno straciła.

Zerknijmy najpierw na te pragnienia. Chiamaka, Zikora, Omelgor i Kadiatou prowadzą życie rozrzucone pomiędzy Nigerię, Gwineę i Stany Zjednoczone, a łączy je Chiamaka. Nigeryjka pochodząca z bardzo bogatej rodziny, której wymarzona kariera to pisanie tekstów podróżniczych. Pomimo lekkiego pióra okazuje się jednak, że redaktorzy nie są gotowi na zabawne teksty kolejnej uprzywilejowanej, znudzonej luksem i przereklamowanymi rajami turystycznymi osoby, gdyż pochodzi z Nigerii. Zdaniem jednej z redaktorek wydawnictwa z Nowego Jorku „Nieprzygodowe przygody jednej Afrykanki” byłyby doskonałym tytułem i pomysłem na książkę, gdyby tylko za-

Kariera zawodowa jest pragnieniem wszystkich bohatererek. Omelgor marzy o bogactwie i dochodzi na sam szczyt drabiny skorumpowanego banku, który do spółki z klasą polityczną okrada własny kraj. W odróżnieniu od swoich męskich kolegów postanawia zabawić się w Robin Hoodkę i kradnie duże sumy złodziejom, aby rozdawać je w formie grantów kobietom, które, jest tego pewna, skorzystają z tych pieniędzy tak, że skorzysta cała rodzina. W życiu Zikory praca jest ostoją i fundamentem, to w pracę ucieka przed niespełnionymi marzeniami o szczęśliwej rodzinie, aż w końcu zachodzi niespodziewanie w ciążę i okazuje się, że jedyna osoba, na którą może liczyć, to despotyczna matka. Ta relacja opisana jest z wyczu- ciem i przejrzy się w niej każda z nas, która wychowała się w cieniu matki zarządza-

jącej, która komplek- sy chowa pod warstwą niezłomnej dyscypliny i ostrej krytyki, której razy mają wychować potomkinię na kobie- tę sukcesu.

Owszem, wą- tek matki i córk jest w książce obecny, jed- nak całkowicie przy-

tłoczony tematem związków z mężczy- znami. Powieść zaczyna się od drobiazgo- wej wyliczanki kolejnych związków pierw- szej bohaterki. Każdy rozdział to historia romansu i niestety ta osobliwa chronolo- gia to zabieg, którego autorka trzyma się, opisując wszystkie cztery bohaterki. Męż- czyźni jako drogowskazy, cele, lustra, idole, oparcie i jednocześnie rozczarowanie, źródło smutku bólu i żalu. Mężczyźni ja- ko element niezbędny w życiu spełnionej kobiety. Lub, jak zdaje się wyjaśniać Adi- chie, podstawowe pragnienie kobiet. Roz- czarowanie numer jeden.

Rozczarowanie numer dwa jest du- żo poważniejsze – ponieważ autorka po- stanowiła również nawiązać do historii Nafissatou Diallo, pokojówki, która oskar- żyła Dominique Strauss-Kahna o gwałt. Akt przywrócenia godności – tak dokład- nie opisuje Adichie posłuszenie się histo- rią Diallo. Zgadza się z tym, że nadal lo- sy kobiet, które doświadczyły przemocy, nie są wystarczająco obecne w dyskursie, historii, kulturze. Trzeba się o nie upomi- nać, słuchać tych skarg, przetwarzać ból, który jest wspólnym bólem kobiet na ca- łym świecie. Bo wszystkie, niezależnie od

Czy Kadiatou musiała zostać opisana jako osoba bez skazy?

*To jeden ze szkodliwych stereotypów
dotyczący przemocy wobec kobiet*

miast o rejsie po oceanie wokół karaibskie- go archipelagu wysepek San Blas napisała reportaż o Kongu i o tym, jak cierpią tam lo- kalne kobiety. Wyprawa Omelgor na stu- dia z kulturoznawstwa z Nigerii do USA to wręcz uczta dla każdego, kto czuje, że w lewicowych narracjach potrzeba więcej powietrza i zrozumienia dla ludzi i ich do- świadczeń. Nigeryjka jest notorycznie dys- cyplinowana za poglądy niesłuszne (Żydów nie można porównywać z żadną inną gru- pą, nawet tą, która doświadczyła czystki et- nicznej. Po co opowiadasz o mordzie, któ- rego dokonali muzułmanie na twoim wuj- ku, czyż mało jest islamofobii na świecie?). Co podsumowuje na swoim blogu, które- go swoją drogą pisze dla mężczyzn, kieru- jąc się empatią i zrozumieniem dla ich po- gubienia w świecie – kolejna czerwona fla- ga w feministycznym bio – w ten sposób: „Wy, Amerykanie, musicie wreszcie wy- grzebać się ze swoich kołyszek. Myślicie, że świat jest amerykański, i nie zdajecie sobie sprawy, że tylko Ameryka jest amerykań- ska. Jesteście tacy prowincjonalni i nawet o tym nie wiecie”. Niestety, pomimo swa- dy i nieustępliwości płaci za wszystko głę- boką depresję.

tego, czy przemocy doświadczyliśmy, czy byliśmy jej świadkiniami, jesteśmy prze-
mocą ze względu na płeć naznaczone.
A nie ma chyba lepszego, mocniejszego
i bardziej skutecznego sposobu na prze-
pracowanie traumy niż sztuka. Problem
w tym, że aby miało to sens, potrzebny
jest szacunek oraz jakakolwiek transgre-
sja. Ale po kolei.

Aby przywrócić Diallo godność, Adichie opisała całkowicie fikcyjną postać o imieniu Kadiatou, skromną i raczej bo-
jaźliwą osobę pochodzącą, podobnie jak
Diallo, z Gwinei. Adichie, która przyzna-
je, że nie kontaktowała się z Diallo i nie
ma pojęcia, jaką jest osobą, wymyśliła
Kadiatou jako wpatrzoną w przebojo-
wą siostrę Bintę, która niestety umiera
w młodym wieku i zostawia Kadiatou
na pastwę powinności rodzinno-kultu-
rowych, z których najważniejsze to oczy-
wiście mąż dobrany w obrębie własnego
plemienia i rodziny, a następnie dziecko.
Gdy za kochankiem dociera wraz z córką
do Stanów, zaczyna stopniowo budować
swoją niezależność, do czego jest zresz-
tą zmuszona, bo wybraniek serca z mło-
doci natychmiast trafia za kratki za po-
siadanie marihuany.

Kadiatou jest przedstawiona jako osoba
o szczerzym sercu, która ciężką pra-
cą i poświęceniem walczy o lepsze jutro
dla córki. Jest tak obowiązkowa i odpo-
wiedzialna, że gdy sprząta ekskluzywne
apartamenty, nie przysiadła ani na chwilę
na okazałych fotelach w obawie o utratę
pracy. Cieszy się ze wszystkiego, co osią-

gnęła, jest wdzięczna za każdy dzień, ni-
gdy nie narzeka. Gdy dochodzi do gwał-
tu, zostaje wciągnięta w machinę zgła-
szania przestępstwa, a następnie niekoń-
czących się przesłuchań, insynuacji i wąt-
pliwości, kolejnych oszczerstw publiko-
wanych w mediach. Czuje się zaszczu-
ta, bezradna i upodlona. Książka kończy
się wycofaniem oskarżenia prokuratury
ze względu na brak wiarygodności Kadi-
atou, co wywołuje jej radość oraz wiel-
ką ulgę. Adichie w zakończeniu przyzna-
je, że w relacjach medialnych Diallo mó-
wiła, że czuje się pokrzywdzona, ale ar-
tystyczna wyobraźnia podpowiedziała
jej ulgę jako ucieczkę od systemu, który
ją skrzywdził. Ciekawa koncepcja. Szczególnie biorąc pod uwagę, że w rzeczywistości Diallo podjęła ryzyko pozwu cywilnego i zawarła ugodę z gwałcicielem na 1,5 miliona dolarów. Jakiś czas później otworzyła restaurację, która serwuje dania amerykańskie oraz zachodnioafrykańskie, która jest bardzo popularna wśród emigrantów. Dlaczego Adichie nie zdecydowała się na dodanie tego, dodającego sprawczość i podmiotowość, faktu? Szczególnie że – i tu kolejny raz po-
wołam się na jej słowa – napisała to, aby
zrównoważyć narrację mediów – niegodną,
niekompletną i spłyconą.

Kolejne pytanie brzmi: czy mając do
wyboru wszelkie możliwe opcje, Kadiatou
musiała zostać opisana jako osoba bez
skazy? To jeden z podstawowych i bar-
dzo szkodliwych stereotypów dotyczą-
cych przemocy wobec kobiet, który aż bije

w oczy – ofiara musi być idealna, skrom-
na, nieskazitelna. Jeśli taka nie jest, spo-
łeczeństwo szuka w niej winy, nieszcze-
rości i podstępów.

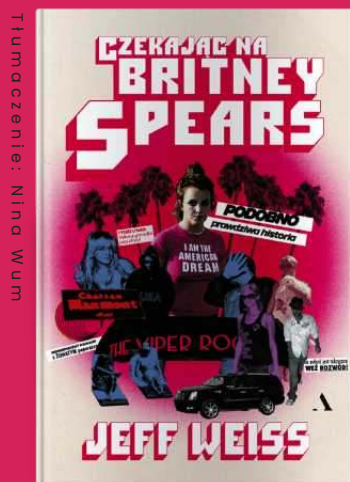
Adichie zawodzi we wszystkich swo-
ich celach. Zamiast pogłębienia oferu-
je narrację schematyczną i zachowaw-
czą, która utrwała obraz bezwolnej ofia-
ry. Jest to wizja konserwatywna i daleka
od szacunku wobec tej, o którą się rzeko-
mo upomina. Jest przywłaszczeniem hi-
storii, w którym oddanie godności staje
się pustym gestem.

A może ja również stoję po stronie jedy-
nie słusznych lewicowych ideologii? – za-
dałam sobie na koniec pytanie. Kluczowe
wydaje mi się tutaj doświadczenie i serce,
na które tak często powołuje się jej boha-
terka Omelogor. Tak długo jak Adichie pi-
sze w swoim imieniu, jej przekonanie i hi-
storie pokazują nowe, uderzająco przeni-
kliwe horyzonty myślowe. Problem zaczy-
na się, gdy mówi w imieniu innych, np.
transkobiet lub przetrwanek, wtedy bo-
wiem jej gest jest paternalistyczny i wyż-
szościowy, a przecież to dokładnie punk-
tuje w białej kulturze Zachodu. ▲



CHIMAMANDA NGOZI ADICHIE, „Bilans snów”,
przekład Kaja Gucio,
wyd. Filia

OGŁOSZENIE



Fascynujący reportaż o sławie, mediach i pokoleniu,
które dorastało razem z księżniczką popu.

**TO NIE JEST TYLKO
HISTORIA**

BRITNEY SPEARS

**TO HISTORIA NAS WSZYSTKICH,
KTÓRZY NA NIĄ PATRZYLI.**



„LA PETITE MORT” miał premierę na festiwalu Młodzi i Film w Koszalinie i otwierał cykl Kino Kobiet na festiwalu Malta w Poznaniu

FILM

Wszystkie małe śmierci *Ofelii*

Francuskie „la petite mort” („mała śmierć”) oznacza doświadczenie przypominające śmierć: omdlenie, chwilowy zanik świadomości, wyczerpanie. W sztuce i literaturze symbolizuje transformację, zatracenie się w miłości lub pożądaniu albo zanurzenie się w czymś tak intensywnym, że na chwilę zanika poczucie własnej odrębności. Bywa też określeniem stanu tuż po orgazmie. Aktorkom i przyjaciółkom: Martynie Byczkowskiej („1670”, „Absolutni debiutanci”) i Kai Zalewskiej („Skrzyżowanie”) posłużył za tytuł debiutanckiego filmu.

Ich bohaterka, Ofelia, odbiera sobie życie. Trafia potem – rozdwojona – przed sąd i zostaje oskarżona o spowodowanie własnej śmierci. Musi się wybronić, a my towarzyszymy jej w podróży sennej przez życie, zastanawiając się, co mogło doprowadzić ją do tego miejsca. Jej historia układa się w serię „małych śmierci” – doświadczeń odrzucenia, rozczarowania, rozpadu tożsamości czy utraty sprawczości. Sąd staje się tu nie tyle trybunałem, co przestrzenią konfrontacji z tymi doświadczeniami. Ciekawy zabieg rozdwojenia (w Ofelię wcielają się obie reżyserki) oddaje ten wewnętrzny dialog i przeciwstawne stany emocjonalne: część pogrążoną w beznadziei, wycofaniu i autodestrukcji oraz tę pełną energii, pragnień i nadziei.

Film nie ma klasycznej formy. Jest hybrydą teatru, teledysku i prywatnego archiwum. Wątki autobiograficzne płynnie przenikają się tu z literacką fikcją. W tradycyjnych odczytaniach szekspirowska Ofelia, z której korzystają autorki, to postać dotknięta obłędem, o której dużo się mówi, ale która rzadko mówi sama o sobie. Nawet jej śmierć znamy przede wszystkim z relacji innych bohaterów, a nie z jej perspektywy. Film odwraca ten porządek, przekształca milczącą bohaterkę tragedii w aktywną uczestniczkę procesu interpretacji

własnego życia. Jej postać staje się też pretekstem do refleksji o tym, co znaczy być kobietą dziś, w świecie niemożliwych do spełnienia oczekiwań. To opowieść o zagubieniu, psychicznej chwiejności, dorastaniu w małym mieście i próbach rozpoznania własnych potrzeb.

Silą filmu jest jego język wizualny. Ascetyczna, laboratoryjna przestrzeń, która aż „pachnie” basenową sterylnością, staje się tłem dla starannie skomponowanych kadrów. Biel kafelków i zalane światłem wnętrza kontrastują z intensywną czerwienią kostiumów i rekwizytów, która niczym ślad krwi nieustannie przyciąga wzrok. Równie interesująco wypada montaż, którego kolażowy charakter współgra z fragmentaryczną naturą pamięci. Zamiast porządkować rzeczywistość, pozwala jej się rozszczepiać – wspomnienia, fantazje, archiwalne nagrania swobodnie przepływają między sobą.

Podczas seansu niektórym może przyjdzie do głowy „Chronologia wody” Kristen Stewart, która w nieplanowany sposób zdaje się wchodzić w dialog z filmem Byczkowskiej i Zalewskiej. Stylistyka retro, materiały z dzieciństwa oraz powracający motyw wody i doświadczeń wokół wyczynowego pływania budują podobną atmosferę zanurzenia w pamięci i cielesnym doświadczeniu.

Gdzieś pod powierzchnią „La Petite Mort” to też opowieść o wyjątkowej przyjaźni. Dwie dziewczynki, które mieszkają na tej samej ulicy w Kartuzach i razem bawiły się w kino, dziś jako absolwentki szkoły teatralnej (i świetne aktorki!) realizują je na własnych zasadach. Jeśli ktoś za tak niewielkie pieniądze tworzy tak wyrazistą i precyzyjną autorską wypowiedź, trudno nie kibicować kolejnym pomysłom i większemu budżetowi. ▲ (Justyna Grochal)

KSIĄŻKA

Jane B.



Jesienią 2020 r., przy okazji wydania płyty „Oh! Pardon tu dors-mais...”, miałam okazję rozmawiać z Jane Birkin. Opowiada-

ła mi wtedy o swoich związkach, Serge'u Gainsbourg'u, o piosence „Je t'aime... moi non plus”, okrzykniętej najbardziej erotyczną piosenką świata, i o torebce, która rozsławiła jej nazwisko. Zagadnęła też o sytuację w Polsce. Z tej rozmowy zapamiętałam Jane Birkin jako osobę empatyczną, z sercem po właściwej stronie. Taką, która choć sama nie mało wycierpiała, albo może właśnie dlatego, znajduje zrozumienie dla krzywdy innych. Taki portret – człowieka za ikoną – próbuje nakreślić Marisa Meltzer w książce „It girl. Historia Jane Birkin”. To zadanie trudne, bo nie udało jej się namówić na rozmowę ani córek Birkin, ani jej krewnych i przyjaciół, opiera się więc na opublikowanych dziennikach, wywiadach, filmach i książkach, w których inni wspominali Jane.

Życie Birkin u boku Serge'a Gainsbourg'a było jednak tak barwne, a historia z nią w roli głównej jest tak

dużo, że trudno wyłuskać te prawdziwe. Zresztą sama Birkin potrafiła opowiedzieć tę samą anegdotę na wiele sposobów, zmieniając okoliczności. Jak choćby tę o tym, że po publicznej kłótni z Gainsbourg'em rzuciła się do Sekwany, żeby zwrócić jego uwagę.

Mimo wszystko Meltzer z dużą starannością stara się odmalować portret tej Angielki, która jako jedna z nielicznych nie tylko zjednała sobie serca chłodnych zazwyczaj w stosunku do Brytyjczyków Francuzów, ale też stała się pod każdym względem wyznacznikiem francuskiego stylu. Pokazuje, że myślenie o Birkin jedynie w kategorii „it girl”, muzy mężczyzn, którzy ją kochali i których ona kochała, czy ikony, symbolu Francji lat 60., 70. i 80., to tylko część tego, kim była. Osadza ją też w kontekście miejsca, czasów i ludzi jej współczesnych, tłumacząc w ten sposób pewne kontrowersje, od których Birkin nie była wolna. Meltzer nie była w stanie stworzyć biografii totalnej, Birkin wciąż skrywa wiele tajemnic, ale udało jej się napisać książkę wciągającą, która pozwala Jane Birkin wyjść z cienia legendy, jaka wokół niej narosła. ▲ (Joanna Wróżyńska)

MARISA MELTZER „It girl. Historia Jane Birkin”, tłum. Kaja Gucio, wyd. Marginesy

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WERSZ

Przy butelkomacie

*Przy butelkomacie stoi cała Polska.
Przyszła wiosna i wszyscy już wiemy,
jak obchodzić się z tą nowością.
Ruszymy więc pod Lidle, Biedronki i Stokrotki.
Jak grzyby po deszczu wyrosły nowe miejsca spotkań.*

*Torby z Ikei.
W jednej czterdzieści butelek Muszynianki
bo od niedoborów magnezu
drżą nam łydki i powieki.*

*W drugiej czterdzieści pustych Żywców, Lechów i Perel.
Oddamy je razem, rodzinie, sprawnie i bez słów,
w rytmie wypracowanym przez pokolenia.*

*Uczymy się pamiętać o butelkach i paragonach
żeby opłacało się stać w tej kolejce
do maszyny rozgrzeszeń
po swoje pięćdziesiąt groszy od łepka.*

*A gdzieś trochę dalej
plastik i tak zalewa oceany.
Maszyny zabijają ludzi bez końca,
dzieci giną w Palestynie i Ukrainie
szybciej niż nasze ręce
oddają butelki po soczkach z logo Minecrafta.*

*Ale ty może jeszcze zbierasz
na proteinowy pudding
i dubajską czekoladę
w promocyjnej cenie.*

*Pod butelkomatem
stoimy z tym wszystkim,
co trzeba jeszcze dowieźć na jutro,
dowieźć do końca,
choć dawno zrobiło się
za ciężkie.*

*Kolejki są coraz dłuższe.
Z pustych opakowań
patrzy na mnie
pusty, zmęczony wzrok.*

*Czekamy razem
na kolejne małe rozgrzeszenie.
Dowód,
że jeszcze da się coś odnieść,
posprzątać, odzyskać.*

*Czuła segregacja zbiorowej bezradności.
Dziś każdy może dorzucić
swoje pięć groszy
albo odzyskać pięćdziesiąt,*

*i uwierzyć,
że przestaną płonąć lasy,
znikną druty na granicach.*

*I że w domu ktoś na nas czeka.
Nawet jeśli niesiemy już
głównie pustkę.
Wracamy lżejsi i bogatsi o 7,50 zł.*

AGATA STASIŃSKA – socjolożka, badaczka. Pisze od zawsze i od nigdy. O tym, co można przynieść z lasu, usłyszeć w poczekalni i co wydarza się między ludźmi

KAMILA SZCZEŚNIAK RYSUJE



W pogoni za *cieniem*

12 sierpnia 2026 r. czeka nas krótka chwila, kiedy Księżyc całkowicie zasłoni Słońce, a Ziemię ogarną ciemności. Gdzie najlepiej obserwować zaćmienie?

Ponad 30 krajów na pięciu kontynentach, tytuł pierwszej niejapońskiej kobiety, która weszła na górę Fudzi, eksperymentalne loty balonem, ucieczka z ogarniętej I wojną światową Rosji, dziesiątki artykułów i książek podróżniczych – oto dorobek Mabel Loomis Todd, znanej światu głównie jako redaktorka poezji Emily Dickinson. Na zaćmienia Słońca położyła z mężem astronomem w czasach, kiedy podróżami zajmowało się przecież niewiele osób.

Inna historia: w 1973 r. dla prototypu odrzutowca Concorde zamknięto częściowo przestrzeń powietrzną. Przemieszczał się w pasie zaćmienia przez 74 minuty, co do dzisiaj jest rekordem jego obserwacji. Jedna z firm doradczych podliczyła, że tzw. wielkie amerykańskie zaćmienie z 2017 w. kosztowało 694 mln dolarów, bo przerwę w pracy na jego oglądanie zrobiło 87 mln Amerykanów.

Ale przejdźmy do rzeczy. Za rejs z obserwacją tegorocznego zaćmienia wśród bazaltowych klifów i gór lodowych u wybrzeży Grenlandii trzeba zapłacić nawet 80 tys. dolarów. Tańsza jest Hiszpania, ale i tak jakaś połowa pakietów za trzy do pięciu tysięcy euro została dawno wyprzedana (w programie np. wizyta w obserwatorium, rozmowa z łowcami zaćmień, obserwacje zjawiska z winnicy).

O niedrogie noclegi w pasie zaćmienia ciężko było już dwa lata temu. Ale nie tracimy nadziei. Zawsze coś można wykombinować, jeśli czegoś bardzo chcemy. Zaczniemy od tego, co takiego jest w krótkiej chwili, kiedy Księżyc zasłania Słońce, a Ziemię ogarniają ciemności, że niektórzy ludzie gnają za nią po całym świecie?

– Wszystkie zaćmienia, także częściowe, są spektakularne, ale całkowite – niezapomniane – mówi dr Milena Ratajczak z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego. – Dla wielu osób te kilka minut jest wspomnieniem do końca życia: temperatura nagle spada, robi się ciemno, ptaki zrywają się do lotu, widać, jak wielki wpływ ma Słońce na nasze życie. A my jesteśmy szczęściarzami w skali kosmosu, że możemy tego doświadczyć: Księżyc ma ok. 400 razy mniejszą średnicę od Słońca, a jednocześnie znajduje się ok. 400 razy bliżej Ziemi. Dzięki temu na naszym niebie wydają się niemal tej samej wielkości i w czasie całkowitego zaćmienia Księżyc idealnie zasłania tarczę Słońca – dodaje dr Ratajczak. Ona sama swoje trzecie całkowite zaćmienie będzie oglądać w Parku Przyrody Montesinho na północno-wschodnim koniuszku Portugalii. 12 sierpnia na Półwyspie Iberyjskim zapowiada się w tym roku wyjątkowo.

DOBRE CZASY DLA ŁOWCÓW ZAĆMIEŃ

Początek tegorocznego zaćmienia nie będzie mieć widzów. Cień najpierw spadnie na syberyjski Półwysep Tajmyrski. Choć ten najbardziej wysunięty na północ półwysep Azji jest dużo większy od Polski, na stałe zamieszkują go tylko niedźwiedzie, rosomaki i lisy. Następnie pas całkowitego zaćmienia powędruje nad Oceanem Arktycznym w kierunku Grenlandii, ale zahaczy tylko o fragment jej wschodniego wybrzeża, poza kilkoma bazami wojskowymi i badawczymi właściwie niezamieszkały. Można się tu dostać jedynie małym samolotem odlatującym dwa razy w tygodniu z Islandii, co kosztuje minimum 1 tys. euro. Nie tylko te najtańsze, ale jakiegokolwiek bilety roznoszą się szybko, bo lotnisko Nerlerit Inaat jest bramą wjazdową do Parku Narodowego Grenlandii.

Dopiero stamtąd pas zaćmienia przesunie się na bardziej dostępne tereny. Chociaż bez przesady z tą dostępnością, bo nad



Po lewej: częściowe zaćmienie Słońca w New Delhi, 19.03.2007 r. Powyżej: rodzina obserwuje zaćmienie Słońca 11.08.1999 r. na pokładzie promu „Normandie”, który zorganizował specjalny rejs

Islandią zacznie od bezludnego – uważanego za najbardziej odosobniony i najdzikszy w Europie – półwyspu Hornstrandir. Następnie powędruje przez Atlantyk nad Hiszpanię, by objąć zasięgiem największy fragment lądu: od właściwie całego północnego wybrzeża po Walencję i Tarragonę na południowym i dalej Baleary.

Wbrew wyobrażeniom całkowite zaćmienia nie są bardzo rzadkie, ale często to tylko krótka chwila nad oceanami czy innymi odludnymi terenami. – Z punktu widzenia europejskiego czeka nas więc bardzo szczególny czas. Możemy obserwować zaćmienie w tym roku, a za rok, również w sierpniu, kolejne – mówi dr Ratajczak.

Dla porównania: ostatnie całkowite zaćmienie widoczne z Europy odbyło się w 1999 r., pół Polski pojechało wtedy w Tatry, w których było widać zaćmienie bardzo głębokie, ponad 90-procentowe. Samą Polskę w ubiegłym wieku objęło tylko jedno (1954 r.), było widoczne z niewielkiego skrawka wokół Suwałk i Sejna. Na następne musimy poczekać do 2135 r.

Czy jest więc jeszcze szansa wybrać się gdzieś na tegoroczne? Przecież Hiszpania w sierpniu jest oblegana i bez zaćmienia, dla popularnej Islandii to środek bardzo krótkiego sezonu. Nie podaje konkretnych – możliwości lotów, kosztów noclegów – bo do dnia publikacji tego tekstu wszystko może się zmienić, ale do Hiszpanii można dojechać nawet łodem, bazę noclegową zaplanować poza pasem zaćmienia i na nie dojechać, np. właściwie na jego zachodniej granicy jest Madryt, tuż za wschodnią – Barcelona. Z Islandią będzie nieco trudniej, ale wciąż można to zorganizować, np. kosztem czasu i komfortu. A dla tych, którzy zostają w Polsce: my też będziemy mieć głębokie zaćmienie, zasłonięte zostanie co najmniej 80 proc. Słońca, a im dalej na północny zachód, tym więcej.



Powyżej: zaćmienie Słońca w Paryżu, 17 kwietnia 1912 r.

Po prawej: Nicea, południe Francji, 11 sierpnia 1999 r. - częściowe zaćmienie Słońca na plaży przed hotelem Negresco.

Na następnej stronie: Gdańsk, 20 maja 1966 r., pracownik stoczni obserwuje częściowe zaćmienie Słońca przez maskę spawalniczą; niżej: Poznań, 10 czerwca 2021 r.; Kair, 29 marca 2006 r. - turyści obserwują częściowe zaćmienie Słońca w pobliżu piramid

Zjawisko odbędzie się wieczorem, kiedy Słońce jest nisko nad horyzontem, do obserwacji trzeba więc wybrać odsłonięte miejsce. I oczywiście mieć okulary z folią ochronną, a na lornetce czy teleskopie filtry słoneczne. Historia zna zbyt wiele przypadków wzroku uszkodzonego patrzeniem w Słońce, młody Izaak Newton stracił go z tego powodu na trzy dni.

Okulary można zdjąć jedynie na czas całkowitego zaćmienia. – A wtedy widać najpiękniejsze. Najpierw tzw. diamentowy pierścień, przez który prześwitują doliny na Księżycu, chwilę potem koronę słoneczną – mówi Milena Ratajczak. W tym wypadku ktoś jednak powinien pilnować czasu i tego, żeby na kilka sekund przed końcem całkowitego zaćmienia założyć z powrotem okulary.

JAK WYBRAĆ MIEJSCE NA OBSERWACJE

Dyskusje na temat tego, skąd obserwować zaćmienie, toczą się od dobrych kilku lat. Najlepiej je bowiem widać, jeśli odbywa się w środku dnia, a – jak już wspomniałam – tym razem będzie to wieczór. W najwyższym punkcie w Hiszpanii (Galicja) Słońce znajdzie się ok. 14 stopni nad horyzontem, na zachód od wybrzeży Islandii – maksymalnie 26 stopni. Wyspa, która nie narzeka przecież na brak turystów, zachęca: „U nas zaćmienie będzie najdłuższe i świetnie widoczne, bo mamy małe zanieczyszczenie światłem. A pod względem pogody sierpień jest najbardziej stabilnym miesiącem z 40 proc. szans na czyste niebo”.

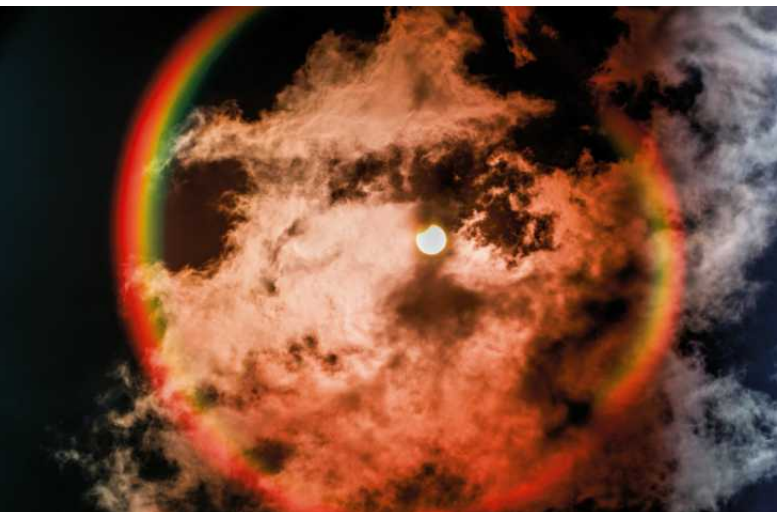


Hiszpańskie lato kojarzy nam się z błękitem, ale niestety nad Zatoką Biskajską, czyli na północnym wybrzeżu, chmurzy się stosunkowo często. Co robić? – Warto sprawdzić roczniki meteorologiczne, wybrać miejsce i potwierdzić pogodę w nim dzień wcześniej. Jeśli zapowiada się całkowite zachmurzenie, można pomyśleć o miejscu zapasowym, ale ostateczny wybór zawsze jest trudny, bo tam też może się w ostatniej chwili zachmurzyć. I nie ma co liczyć na sprawne przemieszczenie się, zapewne na ten pomysł wpadnie wielu i na drogach będą korki – mówi dr Ratajczak. Jej wspomnienie z obserwacji zaćmienia w USA: bardzo precyzyjnie wybrane miejsce, świetna pogoda, a dzień przed zaćmieniem nadeszło nagle załamanie z burzą i wyłączeniem prądu; w miejscu zapasowym też się zachmurzyło; grupa naukowców mających zrobić transmisję online do Polski decyduje się jednak zostać, rozstawia sprzęt i dosłownie chwilę przed zaćmieniem robi się piękna pogoda.

OD PÓŁ LAWY PO ŚRÓDZIEMNOMORSKIE PALMY

Oto jak będzie przebiegać całkowite zaćmienie w dostępnych dla nas miejscach. Ok. godz. 17 czasu lokalnego przetrnie islandzkie Fiordy Zachodnie. Ten piękny, surowy, rzadko odwiedzany region kraju na mapie wygląda jak rozcapierzony kwiat rosnący na północnym zachodzie wyspy. Na najbardziej północny kraniec półwyspu Hornstrandir można się dostać tylko promem. Na pozostałej części jedyna droga prowadzi głównie wzdłuż wybrzeża, a ponieważ jest ono naszpikowane fiordami, przemieszczanie się jest dość powolne. Na jej końcu znajduje się gigantyczny klif Látrabjarg, zaćmienie będzie stąd widoczne przez rekordowe dla lądu dwie minuty i 13 sekund, czyli tylko o pięć sekund mniej niż w punkcie maksimum. Ten znajduje się nad oceanem – są tam wycieczki statkami. Potem pas przesuwa się nad łatwiej dostępny islandzki półwysep Snæfellsnes z czarnymi plażami, polami lawy i przykrytym lodowcem wulkanem, przez który kapitan Nemo miał dostać się do wnętrza Ziemi. Zaćmienie potrwa tu co najmniej dwie minuty. W samym Reykiawiku będzie to 59 sekund, podobnie na całym półwyspie Reykjanes.

Na Półwysep Iberyjski zaćmienie dotrze tuż przed zachodem Słońca. W Portugalii obejmie jedynie niewielki fragment w okolicach Bragançy i drugi – trudny do precyzyjnego wyznaczenia, położony właściwie na granicy zaćmienia całkowitego. W roli głównej wystąpi Hiszpania. Tu ciemności zapadną wzdłuż ca-



łego północnego wybrzeża od Bilbao (29 s) na wschodzie przez Santander, Gijón i Oviedo po A Coruñę (1 min 16 s) na zachodzie. Można je obserwować na przykład z Camino del Norte, czyli poprowadzonego wybrzeżem fragmentu szlaku pielgrzymkowego do Santiago de Compostella.

Bardziej w głąbi kraju blisko centrum pasa zaćmienia, czyli miejsca, gdzie będzie trwało ono najdłużej, znajdują się m.in. miasta: León (1 min 45 s), Burgos (1 min 43 s), Valladolid (1 min 28 s) i Saragossa (1 min i 23 s). Na wybrzeżu śródziemnomorskim będzie je widać od Tarragony (około minuty) po Walencję (1 min 49 s).

I jeszcze Baleary. Zaćmienie obejmie wszystkie wyspy archipelagu, czyli Majorkę, Minorkę i Ibiżę z Formenterą. Jest tu spora szansa na dobrą pogodę, ale z drugiej strony – jeśli w ostatniej chwili jednak się popsuje, nie ma jak przemieścić się szyb-

ko gdzie indziej. Opinię najlepszej na obserwację ma Majorka. W stołecznej Palmie zaćmienie teoretycznie potrwa 1 min 36 s, faktycznie jednak Słońce będzie w tym czasie już bardzo nisko i prawdopodobnie przesłonią je góry. Bezpieczniej więc pojechać gdzieś na zachodnie wybrzeże, najlepiej na klify w paśmie Serra de Tramuntana. Widziane z nich Słońce będzie stało zaledwie dwa-trzy stopnie nad horyzontem.

I to już koniec przedstawienia. Ale nie na długo, bo w kolejnych dwóch latach czekają nas kolejne: zaćmienie A.D. 2028 będzie widoczne z Australii i Nowej Zelandii, a to za rok – w sierpniu 2027 r. – z Hiszpanii i Afryki Północnej od Maroka po Egipt. To ostatnie będzie najdłuższym całkowitym zaćmieniem w XXI w., w okolicach Luksoru potrwa aż 6 min i 23 s. Rejs po Nilu, starożytne świątynie i Słońce, które zgaśnie w południe – to może być bardzo ciekawe doświadczenie. ▲

TEMAT NUMERU: ZDROWIE TO NOWY LUKSUS

Herstorie: Niewidzialne służące z Zamku Książ

Podróże: Ikaria, wciąż niezadeptana grecka wyspa

Balkon: Dekoracje na styl włoskiego podwórka



*suplement diety

Numer dostępny z prezentem do wyboru:
skarpetkami złuszczałymi **Silcatil**
lub kolagenem do picia **Primabiotic Collagen***